

# Stara Ziemia





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JERZY ŻUŁAWSKI

TRYLOGIA KSIĘŻYCOWA

# *Stara Ziemia*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## I

Nie umieli sobie zgoła określić czasu, który upływał. Godziny długie mijały, nieznaczone na żadnym zegarze — pocisk, pędząc w międzygwiazdnej przestrzeni, wpadał z otchłani światła słonecznego w rzucony na bezmiar cień Ziemi, a wtedy nagle noc i mróz obejmowały zamkniętych w stalowej lupinie mimowolnych podróżników... I znowu w czasie krótszym niż jedno mgnienie oka, bez przejścia żadnego — zupełnie niespodziewanie, kiedy marzli już z zimna, strachem bezgranicznej i na pozór wiecznej nocy oblakani — wpadali znów w światło, które ślepiło<sup>1</sup> im źrenice i rozgrzewało wkrótce do żaru niemal ściany ich wozu.

Ruchu nie odczuwali zgoła. Księżyc tylko mała za nimi i świecąc coraz żywiej, stawał się z wolna podobnym do tej gwiazdy zmiennej, co ziemskie noce rozjaśnia. Widzieli, jak cień go z wolna z jednej strony zakrywał i wrzynał się poszczerbionym półkolem w po raz pierwszy oczom ich pokazaną *Wielką Pustynię*... Ziemia natomiast rosła na czarnym, gwiazd pełnym niebie, i wydymała się do potwornych rozmiarów. Blask jej srebrny i mocny bladł, rzednął niejako — kiedy sierpem olbrzymim już połowę niebieskiej otchłani zajęła, wydawała się, jak gdyby zrobiona była z opalu, przez którego mleczną barwę przebiegały różne kolory mórz, lanów, piasków. Śniegi jeno gdzieniegdzie błyszcząły nieodmiennie światłem srebrzystym, rażącym wprost oczy, na tle aksamitnej czerności nieba.

I tak — nieruchomi na pozór, gnali przez przestrzeń między dwoma jasnymi sierpami: Ziemi i Księżyca, z których jeden — wklęsły — zwiększał się pod nimi nieustannie, drugi — wydęty — małał coraz bardziej w górze.

Uczony Roda nie odzywał się prawie przez cały ciąg tej niepojętej podróży. Wciśnięty w kąt wozu, siedział osowiały, jakby martwy — policzki mu pożółkły jeszcze więcej niż zwykle, oczy, szeroko rozwarte, przerażone, zapadły gdzieś w głąb orbit pod nastroszonymi brwiami. Mataret natomiast krzątał się i gospodarzył w tym tak nieszczęśliwie ovladniętym wozie Zwycięzcy. Znalazł wodę i różne zapasy wyciągów, którymi się żywił, zmuszając i towarzysza, ażeby wziął nieco w usta.

Roda jadł niechętnie, spoglądając z lękiem a nienawiścią na rosnącą wciąż Ziemię. W głowie jego kłębił się wir myśli, które na próżno starał się uporządkować. Wszystko mu się teraz wydało dziwnym, niepojętym i szalonym. Myślał wciąż od początku o tym, co zaszło — i gubił się ciągle w jakimś chaosie rzeczy sprzecznych i idących na wspak temu, w co dotąd wierzył jako w prawdę oczywistą i niewątpliwą.

Bo też istotnie było w tym dziwne i aż śmieszne nieprawdopodobieństwo... Urodził się i wyrósł na Księżycu wśród ludu przechowującego podanie, iż przed wiekami pierwsza para rodziców pod przewodnictwem legendarnego Starego Człowieka z Ziemi na Księżyc przybyła, dając tu początek nowym pokoleniom. I podanie mówiło jeszcze, że kiedy ludzkość, przez straszliwych księżycowych pierwobyłców<sup>2</sup>, potwornych szernów, nękana, w największym się znajdzie pognębieniu, zjawi się znów z Ziemi na Księżyc przybyły Zwycięzca, aby lud z ręki wroga wybawić. Karmiono go tymi baśniami od dziecka, ale on, zaledwie lat rozumu doszedł, rychło przestał im wierzyć. Owszem, przekonany był, że Księżyc jest odwieczną ludzi kolebką, a Ziemia lśniąca gwiazdą olbrzymią jedynie, co świeci nad martwą i pustynną, powietrza nieposiadającą półkulą Księżyca, martwa sama i pusta, wszelkiego życia na błyszczącej powierzchni swej pozbawiona.

Wierzył tak niewątpliwie w tę prawdę przez siebie odkrytą, którą jeno kapłani dla samolubnych celów chcą zakryć złotymi bajkami o ziemskim rzekomo ludzi pochodzeniu, iż stał się nawet założycielem bractwa mającego na celu rozpowszechniać i rozwijać to przekonanie. I właśnie kiedy zawiązane przezeń Bractwo Prawdy zaczęło rość<sup>3</sup> w moc i znaczenie, coraz liczniejszych gromadząc zwolenników, przybywa na Księżyc człowiek tajemniczy a olbrzymi, którego lud rychło z Ziemi oczekiwanym Zwycięzcą mianuje.

<sup>1</sup>ślepić — dziś raczej: oślepiać. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>pierwobyłec — pierwotny mieszkaniec; por. *tubylec*. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>rość — dziś: rosnąć. [przypis edytorski]

Tutaj nasuwały się Rodzie wspomnienia wszystkich walk jego i wysiłków krwawych w obronie Prawdy ze wzrastającą dziwnego przybysza przewagą...

Nie wątpił on ani na chwilę, że nie z Ziemi spadł ów człowiek ogromny, ale przybył po prostu w wozie swym latającym z tamtej strony Księżyca, pustynnej rzekomo, a w istocie kryjącej w głębokich, jak gdyby obronnych jarach kraj rozkoszny i żyzny, pierwotną ludzi ojczyznę, zazdrośnie przez żyjące tam szczęsne plemię przed wygnańcami ukrywaną.

Postanowiono tedy zagarnąć wóz Zwycięzcy, zajętego walką z szernami za morzem, i zmusić go w ten sposób do wyjawienia drogi do tajemnego wnętrza dawnej ojczyzny. Wóz ogarnięto istotnie i on — Roda — byłby z pewnością dopiął swojego celu podniosłego, dał wydziedziczonym raj utracony z powrotem, gdyby nie ten przeklęty Mataret o łysej czaszce, co razem z nim teraz, w metalowej łupinie zamknięty, pędzi przez otchłania międzygwiazdnej przestrzeni i patrzy nań drwiąco wylupiastymi oczyma.

Wiedział przecież dobrze — bo Roda zdołał to od Zwycięzcy wyciągnąć i jemu powiedział, że wóz jest gotowy do drogi, a mimo to, gdy weszli do wnętrza, pewni już tryumfu nad znieawidzonym przybyszem, pocisnął<sup>4</sup> przez nieostrożność czy też umyślnie guzik fatalny — i oto Księżyc rodzimy tak śmiesznie zniknął pod ich nogami, jak gdyby w otchłań się zapadł, i lecą teraz obaj w przestwór, bezradni, uwięzieni, niewiedzący<sup>5</sup> losu najbliższej chwili nawet.

Wściekłość go ogarniała tak szalona i wstyd, i rozpacz zarazem, iż wyc miał ochotę w bezsilnym gniewie i ręce targać zębami. Krępował go jednak w tych wybuchach wzrok Matareta spokojny i — jak mu się zdawało — drwiący. Zaszywał się więc tylko, on — uczony i przez zwolenników na Księżycu uwielbiany Roda — jak leśne zwierzę schwywane, w najskrytszy kąt wozu i przeżywał bez ustanku wstyd i nękające go myśli, nie mogąc dojść zresztą do żadnego rozumnego wyniku.

I teraz, kiedy siedział zadumany po raz tysięczny może nad tym położeniem swoim bez wyjścia, Mataret zbliżył się ku niemu i wskazał ręką na okno w posadzce, poza którym Ziemia rosła z przerażającą szybkością pod ich nogami.

— Spadamy na Ziemię! — rzekł.

Rodzie wydało się, że szyderstwo w jego głosie posłyszał, szyderstwo w treści tych prostych i krótkich słów, z jego uczoności, wiedzy, powagi, ze wszystkich jego nauk i teorii, wedle których ów rzekomy Zwycięzca nic nie miał z Ziemią wspólnego, i krew mu nagle uderzyła do głowy.

Było mu w tej chwili już zgoła obojętne, co się z nim stanie za godzinę czy dwie, byłby nawet chętnie dał życie w tym okamgnieniu, byle tylko znieawidzonego nagle towarzysza zawstydzić i upokorzyć.

— Naturalnie, ty głupcze! — zakrzyknął. — Naturalnie, że spadamy na Ziemię.

Mataret tym razem uśmiechnął się istotnie.

— Naturalnie, powiadasz, mistrzu, a więc...

— A więc bałwan jesteś — ryczał Roda, niezdolny już dłużej panować nad sobą.

— Bałwan, jeśli nie rozumiesz, że w tym wszystkim jest podstęp owego przeklętego przybysza!

— Podstęp!?

— Tak jest! A tylko człowiek tak ograniczony i nieprzenikliwy jak ty mógł się nań złapać... Gdybyś mnie był posłuchał...

— Nic nie mówiłeś, mistrzu!

Ten ostatni wyraz wymówił Mataret z pewnym naciskiem, mimowolnym może...

— Owszem, mówiłem ci, abys nie dotykał guzika. Czy ty myślisz, że ów Zwycięzca był głupi na tyle, aby pozostawić wóz gotowy do drogi, który za najlżejszym naciśnięciem przeklętej sprężyny powiezie byle durnia w kraj, skąd on przybył, w szczęśliwe miasta na tamtej stronie Księżyca? To śmieszne doprawdy! Przecież on widocznie naumyślnie wóz tak nastawił, aby nieproszonych natrętów wyrzucić na Ziemię.

— Sądysz? — szepnął Mataret, nie mogąc odmówić pewnego prawdopodobieństwa temu przypuszczeniu.

<sup>4</sup>pocisnąć — dziś: przycisnąć. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>niewiedzący — dziś raczej: niezający. [przypis edytorski]

— Sądzę, myślę, wiem! Pozbył się najniebezpieczniejszego przeciwnika, mnie się pozbył przez twoją głupotę. On w jakikolwiek inny sposób, gdy zechce, do ojczyzny swej się dostanie, a my jesteśmy zgubieni bez ratunku. Pędzimy przecie, jak dwa robaki w rzuconym z ręki orzechu bez woli, bez sensu, bez celu i spadniemy wcześniej czy później na Ziemię, gwiazdę przeklętą, pustą i niezamieszkaną, gdzie zemrzeć nam przyjdzie marnie i rychło, nawet gdybyśmy w chwili strasznego upadku ocaleli. Och, jakże on się teraz śmiać z nas musi, jak szydzić!

Na to przypomnienie szłał wściekłości go ogarnął. Wyciągnął pięści ku uciekającemu nad nimi Księżycowi i począł kłać grubymi, ludowymi wyrazami tego zwycięskiego przybysza, odgrażając mu się tak, jak gdyby go mógł jeszcze ujrzyć kiedy i pognębić.

Mataret nie słuchał już tych krzyków. Zamyślił się, a po chwili rzekł:

— Jesteś więc pewny ciągle, że Ziemia jest niezamieszкана i niemożliwa do życia dla żadnej istoty?

Roda patrzył przez chwilę w twarz towarzyszowi, własnym uszom nie wierząc, że taka bluźniercza wątpliwość z ust jego wyjść mogła, a potem roześmiał się gorzko.

— Czy jestem pewien! Patrz!

Mówiąc to, wskazał z kolei okno znajdujące się u ich stóp. Rzuceni w przestrzeń siłą wybuchu ściśnionych<sup>6</sup> gazów i — wobec szybkości obrotu Ziemi wolnym względnie postępowym ruchem Księżycy, zakreślając olbrzymią parabolę, coraz więcej do linii prostej się zbliżającą, spadali na Ziemię, która wirowała z zachodu na wschód przed ich oczyma, coraz nowe morza i lądy im pokazując. Byli jeszcze daleko w przestrzeni — i ruch ten, nieznaczny zrazu, i teraz jeszcze dość wolnym im się pozornie wydawał. Jednak lądy jakieś niedawno jeszcze widziane, zniknęły im już, za rąbek widnokregu nachylone; przelatywali właśnie ponad Oceanem Indyjskim, zajmującym niemal cały krąg ich widzenia aż po lukowatą linię cienia na zachodzie, którą noc uciekająca wrzynała się w jasny sierp dnia na Ziemi...

Mataret, dążąc oczyma za ruchem ręki mistrza, wpatrzył się w tę beznadziejnie pustą, srebrzystosiną powierzchnię. Zwykły uśmiech zginął mu na mięsistych wargach, wysokie czoło pokryło się siecią drobnych zmarszczek pionowych. Patrzył długo, aż wreszcie zwrócił na Rodę oczy posępne, choć spokojne.

— Zginiemy istotnie — rzekł krótko.

A z mistrzem Rodą stało się coś dziwnego. Zapomniał doszczętnie, że ten wyraz „zginiemy” — oznacza śmierć, nieuchronną śmierć dla nich obu, a uczuł tylko radosny tryumf, że on jednak miał słuszność, nazywając Ziemię gwiazdą niegościnną i pustą. Oczy mu się zaśmiały i począł potrząsać zwichrzoną czupryną dużej głowy, rzucając z ust zdania głośnie, jak wtedy, gdy pewien siebie bezwzględnie nauczał jeszcze rzeszę zwolenników na Księżycu.

— Tak, tak — mówił — zginiemy! Ja miałem słuszność i trzeba być głupcem takim jak ty, aby na chwilę bodaj przypuszczać, że ta gwiazda pyzata i świecąca, co się przed nami teraz jak szczenna suka wydyma, może być siedliskiem życia jakiegokolwiek! Cieszę się, że się przekonasz nareszcie, że się wy wszyscy przekonacie, iż to, co ja mówiłem zawsze...

— Wszyscy się nie przekonają — wtrącił Mataret, ruszając ramionami. — My pomrzemy...

Urwał i spojrzął na towarzysza, w którym pod wpływem słów powtórzonych zbudziła się nagle okropna świadomość beznadziejnego położenia. Zerwał się i zapieniony z gniewu przyskoczył do Matareta z zaciśniętymi pięściami, bełkocąc wyzwiska i obelgi.

— Ty głupcze, coś ty narobił! — powtarzał w koło bez końca, aż wreszcie schwycił się rękami za głowę i rzucając się na podłogę, począł jęczeć i zawodzić, a przeklinać dzień i godzinę, w której przyjął był jego, szaleńca i półgłówka, do wielce czcigodnego Bractwa Prawdy, co teraz osierocone przez mistrza swego zostało samo na Księżycu.

Przez chwilę jakąś patrzył Mataret na wijącego się w spazmatycznym, niemęskim płaczu nauczyciela, ale nie mogąc snadź<sup>7</sup> znaleźć słowa żadnego, aby go uspokoić, skrzywił jeno wargi i odwrócił się odeń pogardliwie.

<sup>6</sup>ściśniony — dziś: ściśnięty. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Czas mu się dłużył nieskończenie. Nie miał co robić — a zresztą nie było w ogóle nic do zrobienia. Pędzili ku Ziemi, a raczej spadali na nią z szybkością, z której Mataret nie umiał sobie zdać sprawy. Miał ochotę spojrzeć przez okno — i jakiś mimowolny strach go od tego powstrzymywał. Założył ręce na plecach i jał się przyglądać ścianom wozu bez myśli, bez czucia — z tą tylko chłodną a uporczywą świadomością, że wkrótce, może już za chwil parę, nastąpi coś potwornego, czemu zapobiec nikt nie jest w możności.

Bliskość Ziemi dawała się już odczuwać wzrostem siły przyciągania objawiającej się w powiększonym ciężarze wszystkich przedmiotów. Mataret, o karlim wzroście i drobnych siłach zwyrodniałego na Księżycu ludzkiego plemienia, czuł, jak z każdą chwilą własne członki coraz bardziej ciążyć mu zaczynają; poruszanie przedmiotów, które na Księżycu — sześć razy lżejsze — wznosił ręką bez natężenia, teraz przechodziło już zakres jego sił: zdawało mu się, że niewidzialne druty jakieś wiążą wszystko i spajają w jedną nierozzerwalną masę, dążącą jeno fatalnością swej wagi ku straszliwej Ziemi. Jeszcze chwil kilka — a ugiąć się począł pod własnym ciężarem. Ręce obwisły mu bezwładnie, kolana drżały pod naporem ciała.

Osunął się na podłogę tuż obok okrągłego okna — i spojrzął w dół...

To, co zobaczył, było tak straszne po prostu, że tylko niepokonana ociążałość powstrzymała go od rzucenia się w tył za pierwszym widokiem. Ziemia powiększała się teraz przed jego oczyma z niepojętą, nieprawdopodobną szybkością — a równocześnie miał wrażenie wiru, który go o zawrót głowy i mdłości przyprawiał.

Przed pociskiem, z nieznaczną względnie chyżością postępowym ruchem Księżycza z zachodu na wschód pchniętym, wirowała teraz bliska już powierzchnia ziemską w zawrotnym pędzie czterystu kilkudziesięciu metrów na sekundę, a w każdym mgnieniu oka, w miarę jak spadający pocisk się zbliżał, pęd ów potworny wzrastał pozornie, tak że za chwil parę to, co Mataret miał przed oczyma, nie było już zgoła podobne do żadnej rzeczy stałej, wydając się jeno burzą jakichś przelatujących pod nimi zarysów.

Horyzont cały wypełniała ta oszalala tarcza, w którą — wobec zwiększonego kąta widzenia z pobliza — zamienił się błyszczący do niedawna sierp pod ich nogami. Ocean nachylił się już za ograniczony nagle widnokrąg — lądy jakieś migwały w dole, których okiem niepodobna było chwycić, i naraz — jak gdyby ich orkan<sup>8</sup> kosmiczny porwał! Wpadli w wirującą atmosferę ziemską — pocisk, dotąd nieruchomy na pozór, zakolysał się nagle i zwinął — pod wpływem nacisku powietrza jakieś skrzydła ochronne automatycznie z boków jego się rozwinęły i prysły w tejsze chwili... Mataret uczył już tylko żar rozgrzanych momentalnie przez tarcie atmosfery ścian wozu — i przestrach nieludzki: chciał krzyknąć...

Nagła noc go ogarnęła.

## II

„Niesłychane, nieprawdopodobne wynalazki i odkrycia upływającego stulecia stawiają nas wobec problemu, który dumą, lecz zarazem i strachem przejść musi człowieka. Pędzimy w postęp krokiem tak chyżym, że straciliśmy już wszelką miarę szybkości tego dążenia naprzód; nic nam już się nie wydaje nieprawdopodobnym, nic niesłychanym. Dla jednych dlatego, że wiedzą tak wiele i takie skryte tajniki bytu poznali, że rozumieją każdą rzecz nowo się pojawiającą jako naturalny i konieczny wynik tego, co jest, jako tylko jedno z urzeczywistniających się kolejno w ludzkim mózgu zastosowań odwiecznych i niezmiennych sił przyrody...

A dla innych nie ma również nic dziwnego przez to po prostu, że nie wiedzą nic i o niczym już wiedzieć nie chcą, spodziewając się tylko z nałogu każdego dnia nowej rzeczy cudownej, której nie rozumieją, ale z góry za prostą uważają, tak jak cudo największe, mózgiem ludzkim dotąd nieprześcignione: rozwój organizmów, powstanie gwiazd i sam fakt bytu w ogóle, czemu się nigdy nikt z wyjątkiem najmędrzych nie dziwił.

Nie wiadomo dokąd zajdziemy, ale to pewne, że bardzo wysoko — aż po kres ludzkiej możności, jeśli ten istnieje w ogóle. Są bowiem ludzie, którzy twierdzą, że uświadamianie sobie sił przyrody i wielorakiego ich zastosowania do potrzeb człowieka nie jest niczym

<sup>8</sup>orkan — silny wiatr. [przypis edytorski]

innym, jak stwarzaniem ich w nowej formie w duchu ludzkim — a stwarzanie końca nie ma i mieć nie może, dopóki są pierwiastki dające się łączyć i wiązać z sobą.

W każdym razie jednak nie ulega wątpliwości, że za lat kilkadziesiąt lub kilkaset może zdobędzie ludzkość taką doskonałą władzę nad przyrodą, że to, co dzisiaj możemy, niczym się wyda po prostu przyszłym pokoleniom.

Duma to myśleć o tym rozwoju, ale — jak powiedziałem — i strach zarazem. Są dziwne sprzeczności w umysłowym bytowaniu człowieka, konieczne, nieuchronne, a w skutkach fatalne. Któż za lat kilkaset — a cóż dopiero parę tysięcy — zdolny będzie objąć umysłem ludzkim całokształt wiedzy ludzkim umysłem zdobytej? Czy ta potęga ducha wzrastająca nie będzie musiała przesilić się wreszcie w jakiś sposób niespodziewany a straszliwy?

Niegdyś — przed wiekami — postęp szedł krokiem bardziej równomiernym i między najuczestszym człowiekiem a chłopem na wół dzikim nie było nawet w przybliżeniu podobnej różnicy duchowego poziomu, jaki dzisiaj zachodzi między przodownikami a tłumem, z wynalazków ich i odkryć bez troski powszechnie korzystającym i kulturalnym na pozór.

Cezar rzymski, mieszkający w marmurowych pałacach w zbytku i wyuzdaniu, mimo wszystko mało się różnił wiedzą — choć nawet dumal nad Platonem — od parobka brudnego, gryzącego kawał cebuli w cieniu filarów amfiteatru, chroniących go od południowego żaru. Dzisiaj mój szewc żyje tak samo jak ja, owszem — w większy może dostatek opływa, korzysta ze wszystkich urządzeń i udoskonaleń wraz ze mną, z tej samej opieki prawa i z ustaw tych samych, osobie jego społeczną wartość nadających — a tymczasem on nie wie nic, a ja wiem wszystko...

Coraz cięższy to trud wiedzieć wszystko lub wiele bodaj — i brzemień dla coraz szczuplejszej garstki wybranych do podjęcia możliwe. Niesiemy oświatę dla wszystkich, uczymy lud wszystkiego, ale czymże może być to „wszystko” wobec ogromu wiedzy niepodobnej już prawie dziś do ogarnięcia ludzkim umysłem i pamięcią? Poza wiedzącymi naprawdę, którzy są jedynymi zaiste twórcami wiedzy, sztuki i bytu — a niezgłębioną przepaścią od reszty ludzi mimowolnie są oddzieleni: dwa typy się formują, a nie wiadomo który z nich gorszy. Jedni — to powierzchwnia, ludzie znający tytuły dzieł i nazwy wynalazków, którzy mówią radzi o wszystkim i za mądrych się częstokroć, a nawet przeważnie, uważają, a nie wiedzą nic — i drudzy, jednej poświęceni gałęzi i w jednym pracujący kierunku, którzy odrzucają z ciasną wzgardą wszystko inne, do ich zakresu nienależące, jakby to było niczym. Ci uważają się również za mądrych, a w istocie także nie wiedzą nic.

Na razie tworzą oni wiele i długo jeszcze tworzyć będą zapewne. Ale nie zawsze. Bo oto poczyna się już czas, że coraz ciasniej im jest w ich studniach wąskich, że zbytnią ufnością w głąb wierconych — i coraz bardziej brak powietrza dla oddechu.

Zbliżają się z wolna do serca bytu, gdzie wszelkie żyły się łączą, a kto nie zna ich wszystkich, gubi się w sieci niepojętej, niezdolny już posunąć się dalej, chyba po omacku. Więc na powierzchnię wychodzą, gubią się w powierzchni.

I tak coraz mniejsza drużyna wszystkowiedzących przodowników dźwiga postęp i los ludzkości na uginających się barkach — a jeśli ich zabraknie? Jeśli i ich siły nadludzkie ogromowi brzemienia nie podolają?”.

Jacek odrzucił książkę. Białą, wąską ręką przetarł wysokie czoło i uśmiechnął się blade bezkrwistymi ustami; czarno płonące oczy jego powlokła jakaś mgła zamyślenia...

Tak oto pisano już z końcem dwudziestego wieku, a ileż to stuleci przeszło od tego czasu! Po okresie niesłychanych, nieprawdopodobnych wynalazków, gdzie jedno odkrycie rodziło dziesięć nowych i zdawało się istotnie, że ludzkość jest na drodze jakiegoś bajecznego rozwoju bez końca, który aż przeraża swoją wielkością — nastąpił zastój nagły, jak gdyby siły przyrody tajemne, mogące służyć człowiekowi, wyczerpały się wreszcie w swych kombinacjach i wszystkie już do tryumfalnego rydwanu ludzkiego dobrobytu wprzęgnięte, nie miały nic więcej do odsłonięcia. Nadszedł okres wyzyskiwania i zastosowywania coraz wszechstronniejszego tych zdobyczy ludzkiej myśli, która na pozór osiągnęła już wiedzę najgłębszą.

A tymczasem owi wiedzący, owi rzeczywiście coraz bardziej nieliczni wszystkowiedzący, przekonywali się z każdym dniem bardziej i dosadniej, że naprawdę nie wiedzą nic, tak jak ongi — na początku — kiedy duch człowieczy dopiero do lotu się zrywał.

W tymże samym czasie, kiedy szereg wynalazków, nim przerwał się nagle, zdawał się wzrastać z zawrotną jakąś szybkością, krokiem coraz większym, wiedza, prawdziwa wiedza o tym, co jest, na odwrót coraz wolniej posuwać się zaczęła. Było to tak, jak gdyby do sumy wiadomości już zdobytej wiek po wieku przydawał ciągle tylko połowę tej reszty, która pozostawała każdego czasu jeszcze do zdobycia, ukazując w dali coraz wyraźniejszą granicę możliwości, nigdy nieosiągniętą: można się do niej zbliżać, zbliżać się coraz wolniej, ale zawsze pozostanie jakaś połowa tego, czego się nie wie jeszcze, w cieniu tajemnicy — i w końcu uderza się głową o te same nierozwiązalne zagadki, przed którymi już greccy mędrzy z zadumą stawali.

Czym jest w najgłębszej istocie to, co jest, i dlaczego jest w ogóle? Czym jest myśl ludzka i sam duch poznający? Jakie są nici, łączące umysł ludzki ze światem, i na jakich drogach i w jaki sposób byt się w świadomość przeradza? I wreszcie — co z chwilą śmierci się dzieje?

Lekki uśmiech wydał piękne, kobiece niemal usta Jacka.

Ach, tak! Był czas — właśnie kiedy pisano książkę oną, przed chwilą rzuconą — że ludzie, nie mogąc sobie dać rady z tymi pytaniami, usiłowali je odrzucić po prostu, odmawiając im wszelkiego znaczenia, nawet sensu. Wówczas — kiedy to człowiekowi, postępowaniem wiedzy oszołomionemu, zdawało się, że takie tylko zagadnienia treść mają rzeczywistą, na które można odpowiedzieć albo co do których jest ta pewność lub nadzieja przynajmniej, że się na nie wcześniej czy później odpowiedzieć musi... A nad wszystkim innym, jako nad „metafizyką”, wruszano ramionami.

A ta „metafizyka” powraca tymczasem i staje wciąż przed człowiekiem z niezmiennie zakrytą twarzą, i dręczy go — bo w istocie, dopóki się nie wie tego, nie wie się nic właściwie...!

I jak przed wiekami, przed dawnymi wiekami, tak wstają i dzisiaj prorocy i niosą Objawienie, mające ludziom, chcącym i zdolnym wierzyć, uprościć wszelkie myślenie i serce uspokoić, i na pytania wszelkie odpowiedź dać ostateczną. Religie są, jako były zawsze, mimo że im tyle razy zachód i zgubę przepowiadano — silniejsze dzisiaj może niż kiedykolwiek, jeno że zmienił się ich zakres i znaczenie. Tłumy przestają wierzyć i bóstwa szukać za błękitami, te tłumy olśnione wiedzą, której nie rozumieją, zaślepione blaskiem skarbów przez najwyższe duchy zdobytych, z których korzystają, zgoła myśli do ich nagromadzenia nie przyłożywszy.

Ale za to ci najmędrsi, ci, którzy niegdyś w czasie nadmiernej w siły swe ufności pierwsi religię jako „zabobon”, jako rzecz zbyteczną i ciemną rozbijać zaczęli, teraz chronią się pod jej skrzydła — jeden po drugim — z lękiem jakimś w oczach, co zbyt blisko w nierozwiązywalne tajemnice patrzyły, i z pragnieniem ukoju<sup>9</sup> w wysiłonych mądrością sercach.

A obok tego wszystkiego — po staremu gdzieś z gór niebotycznych, gdzieś z głębi lasów, w Azji jeszcze ukrytych, idą ludzie dziwni, tajników przyrody w szczegółach niebadający, a mający nad nią moc prawie kuglarską, z której nie korzystają, nie potrzebując niczego, i w wielkim spokoju ducha z uśmiechem zagadkowym na ustach patrzą z politowaniem na tych „wszystkowiedzących”, co nicość wiedzy swej odkryli...

Bezwiednie nożem z kości słoniowej, w białej ręce trzymanym, począł przewracać kartki leżącej przed nim książki... W ciszy pokoju, odgradzonego drzwiami nieprzepuszczającymi głosu od świata, słychać było tylko szelest pożąłkłego papieru i tykotanie zegara elektrycznego, któremu wtórował w kącie gdzieś robak, stare meble drewniane toczący.

Oto on — Jacek — jest jednym z tych niewielu „wszystkowiedzących”... Nie wie nawet doprawdy, kiedy i jakim cudem zdołał objąć ten ogrom duchowego dobytku z dziesiątek stuleci, a nadto zapytuje się sam czasem: „Po co ten cały nieludzki wysiłek?”. Rozwarła mu niby przyroda wszystkie tajniki swoje i słucha go jak pana, ale on wie aż nadto dobrze, iż jest to tylko złudzenie, nawet nie jego własne, ale tych jeno, co nań patrzą i dziwią się jego mądrości a potędze.

On sam wie, że rozkazuje światu tak śmiesznie, jak ów wódz Irokezów, dawno wygubionych i zapomnianych, co stawał przed każdym świtem na wzgórzu i wskazując ręką na wschód, kazał słońcu wzejść tamtędy i palcem mu drogę aż na zachód przez niebo dla

<sup>9</sup>ukoju — D.lp; dziś: ukojenia. [przypis edytorski]



dziennego biegu wytykał. A słońce go słuchało. Zapewne — poznać rzeczy, to znaczy mieć władzę nad nimi, bo się wie, jak im rozkazywać, a jednak ta cała władza jego, której ludzkość tyle błogosławionych a cudownych zawdzięcza wynalazków, jako moc osobista niewarta jest jednego spojrzenia tego przed tygodniem spotkanego Azjaty, co przed nim czarę pełną wody woła tylko i oczyma wywrócił, nie znając nawet sposobu, w jaki to czyni, i nie przynosząc nikomu tym śmiesznym czynem korzyści...

A zresztą — czyż on wiele więcej wie od tego cudotwórcy o tym, co czyni sam, i o istocie sił, którym słuchać się każe — z mniejszym nawet woli wysiłkiem, bo tylko przez poznanie sposobu ich działania? Oto trzeci rok upływa, jak, nie wychodząc z tej izby, nakreślił dla przyjaciela swego, Marka, plan wozu, którym by się mógł dostać na Księżyc, i wozowi drogę nieuchronną jak obieg gwiazd wytknął przez przestworza, a potem przy tym stole siedząc, z miejsca się nawet nie ruszywszy, przez pociśnięcie guzika wóz z zamkniętym wewnątrz podróżnikiem we właściwej części sekundy wyrzucił w przestrzeń — i jest pewien bezwzględnie, że w obliczonym z góry momencie i w miejscu oznaczonym spadł bez szkody na powierzchnię starego towarzysza Ziemi; a w rzeczywistości cóż on wie o ruchu samym, który tutaj z taką ścisłością sprawił i zastosował?

Czyż nie jest pod tym względem mniej więcej w tym samym miejscu, co ów przed wiekami Zenon Eleata, usiłujący w naiwnych przykładach wykazać w samym pojęciu ruchu sprzeczność, jaka go uderzyła? Eleata twierdził, że Achilles zółwia nie dogoni, gdyż w czasie, który zużyje na przebycie dzielącej ich przestrzeni, zółw zawsze nieco naprzód się posunie... A on — po kilkudziesięciu wiekach wie nadto, że to, co się porusza, stoi zarazem, a to, co stoi, porusza się, bo ruch wszelki i spoczynek są względne — i gorzej jeszcze, że ruch, ta rzeczywistość jedyna a nieuchwytna, jest zmianą położenia w przestrzeni, która jest rzeczą zgoła nierzeczywistą...

Wstał i aby przerwać tok gnębiących go myśli, zbliżył się ku oknu. Lekkim dotknięciem umieszczonego w ścianie guzika rozsunał franki i kazał się lśniącem szybom roztworzyć. Do pokoju, oświetlonego bez lamp przebiegającymi pod stropem smugami jasności, wlał się pełną falą srebrzysty blask Księżycy. Jacek nieznacznym znowu ruchem dłoni zgasił sztuczne światła i zapatrzył się w Księżyc, właśnie pełni dochodzący.

Myślał o Marku, o tym dzielnym człowieku jakby nie z tego stulecia, bujnym, wesołym, skorym do czynu... Dalecy krewni, wychowali się razem, ale jakże innymi drogami poszło ich życie! Podczas gdy on wiedzę gromadził gorączkowo, z zapamiętałością jakąś, której sam w tej chwili nie rozumie, tamten szalał i działał, szukał przygód niesłychanych, rzucał się z miłostek w wir życia publicznego, brał udział w wielkich zgromadzeniach ludowych i bronił różnych spraw jemu, Jackowi, zgoła obojętnych, aby znowu niespodziewanie zniknąć na pewien czas z widowni, po prostu dla fantazji wdarcia się na jakiś niedostępny szczyt himalajski lub dla spędzenia paru tygodni w miłosnym oszołomieniu.

I oto ten szaleniec serdecznie ukochany, który wszystko przez różowe szkło widział, przyszedł doń dnia pewnego z oświadczeniem, że — ni mniej, ni więcej — tylko zrobić chce wycieczkę na Księżyc.

— Ja wiem, że ty wszystko umiesz i możesz, Jacku — prosił jak dziecko — zbuduj mi tedy wóz, którym mógłbym tam pojechać i wrócić!

Jacek zaśmiał się: „ach, wszystko!...”. Ale tę drobnostkę bez wątpienia zrobić potrafi — wdzięczny jest owszem Markowi, że mu się zachciało dostać na Księżyc tylko, a nie na którą z planet systemu słonecznego na przykład, bo wtedy rzecz byłaby do wykonania cokolwiek trudniejsza...

Śmiali się obaj i żartowali.

— I czemuż ty się tam wybierasz? — pytał Marka. — Czy ci już źle na Ziemi?

— Nie, ale wiesz, ciekaw jestem, co się stało z tą wyprawą O'Tamora sprzed kilku wieków, który w towarzystwie, zdaje się, dwóch mężczyzn i jednej kobiety dał się wyrzucić w pocisku na Księżyc, by tam założyć nowe społeczeństwo...

— O'Tamorowi towarzyszyło trzech mężczyzn i jedna kobieta...

— Ach! Mniejsza... Zresztą mam i inny powód. Sprzykrzyła mi się już Aza.

— Aza? Któż to jest?

— Jak to, nie wiesz? Aza!

— Twoja nowa suka myśliwska czy klacz?

— Cha, cha, cha! Aza! Cudo! Śpiewaczka, tancerka, którą się zachwycają obie półkule... Opiekuj się nią, Jacku, gdy odjadę!

Tak mówił wówczas Marek, roześmiany, wesoły, kipiący bujnym, młodym życiem...

Jack zmarszczył brwi i przetarł ręką czoło niecierpliwie, jakby chciał odegnąć przykre jakieś wspomnienia.

— Aza... Tak jest, Aza, którą się zachwycają obie półkule...

Wzniósł z wolna oczy na Księżyc.

— I gdzie ty teraz jesteś — szeptał — i kiedy powrócisz? I co opowiesz? Co tam zastałeś, co cię tam spotkało?

— Tobie wszędzie dobrze — dodał po chwili już na wpół głośno.

Tak, jemu dobrze będzie wszędzie, myślał, bo ma w sobie jeszcze ten pierwotny, niepowstrzymany, twórczy pęd życia, co umie wytworzyć naokoło pożądane stosunki, a nawet w najgorszych znajduje strony dobre...

Przecież on, Marek, i tutaj czuł się swobodnym i wesołym i nie skarżył się, chociaż to tak trudno wobec tego, co ich otacza... A przecie niepodobny jest do tych wszystkich innych, zadowolonych...

Zamknął okno i nie zapalając światła, powrócił do biurka na środku okrągłego pokoju. Przesunął się cicho po miękkim dywanie i macając ręką w cieniu, opadł w fotel wysoki. Cisnęły mu się na myśl przypomnienia wszystkich zmian w ciągu wieków zaszłych, co miały niby ludzkość uszczęśliwić, wyzwolić, podnieść...

Jakżeby się zdziwił ten człowiek w zamierzonych gdzieś czasach, w dwudziestym stuleciu tę książkę przed chwilą porzuconą piszący, gdyby spojrzeć mógł dzisiaj na mapę Zjednoczonych Stanów Europy! Wówczas to zdawało się tak odległym i niedoścignionym ideałem, a przecież przyszło względnie łatwo i nieuchronnie.

Jeno że wprzód potrzebna snadz<sup>10</sup> było tych wszystkich wstrząsających ludzkością przewrotów, o których mówi historia: strasznego, niesłychanego, bezprzykładnego pogromu Państwa Niemieckiego przez Cesarstwo Wschodnie, w jakie zamieniła się dawna Austria po zagarnięciu polskich krajów Rosji i połączeniu się z południowosłowiańskimi państwami... Tej nieoczekiwanej przez nikogo wojny trzyletniej potężnej Anglii, pani połowy świata, z Unią Krajów Łacińskich, po której Imperium Brytyjskie, niepokonane, ale też i niezwykście właściwie, rozpadło się jak strąk grochu dojrzały na kilkanaście państw samodzielnych — i jeszcze tych wszystkich burz, walk, zamieszkań!

I oto pewnego dnia zrozumiano nareszcie w sposób taki jakiś prosty i niewątpliwy, że nie ma o co walczyć właściwie i zaczęto się dziwić, po co tyle krwi z taką rozlano zapamiętałością? Ludy Europy po kilkudziesięciu wiekach historycznego rozwoju dojrzały do zjednoczenia i zjednoczyły się na zasadzie samoistnych jedności narodowych, jak największej zażywających swobody.

A krok w krok za tymi zmianami postępował rozwój stosunków społecznych i gospodarczych. Obawiano się niegdyś gwałtownych przewrotów w tej dziedzinie i nawet wszystko zdawało się wskazywać na konieczność nieuchronnej jakiejś katastrofy, a w istocie wszystko poszło tak gładko i... nudnie aż do obrzydliwości... Rozrost nadzwyczajny spółek i towarzystw spółdzielczych ułatwił przejście prawie niepostrzeżenie. Wyzyskanie nowych wynalazków, z jednej strony, wymagało zjednoczenia coraz większych sił — z drugiej zaś, podnosiło skalę dobrobytu ogólnego w tak niespodziewanie szybki sposób... Wkrótce nie warto już było posiadaniem osobistego majątku trosk sobie przysparzać.

Jeno że spodziewanej przez niektórych utopistów równości to nie sprowadziło bynajmniej. Zrównano prawa bezwzględnie i godność podniesiono człowieczą, dano wszystkim dobrobyt i oświatę dla wszystkich, ale — nie zrównano duchów ludzkich — ani — co za tym idzie — wartości i zakresu władzy jednostki. Och! Jakże to wszystko dalekie od tego śnionego niegdyś raj!

Byli po staremu bogaci i względnie ubodzy. Ludzie, którzy zajmowali jakieś stanowisko „pożyteczne” dla społeczeństwa i ważne, otrzymywali pensje częstokroć po prostu olbrzymie i po krótkim stosunkowo czasie służby — dożywocia, pozwalające im bez obowiązkowych zajęć na rozrywkach resztę dni spędzać. Rzadko się zdarzało, aby ci — wyzwoleni — dobrowolnej pracy jeszcze nadal się poświęcali.

<sup>10</sup>snadz (daw.) — przecież, widocznie. [przypis edytorski]

Rządy były właścicielem jedynym, ale nie mniej dbałym o swoją kieszeń niż dawniej ludzie prywatni. Miasta ogromne pełne były wykwintnych hoteli — teatry, cyrki i sale zabaw kapały od złota — śpiewaków zaś i histrionów wszelkiego rodzaju płacono jak po wszystkie czasy sumami nieprawdopodobnymi. Tymi drogami pieniądz z kieszeni dostojników i „emerytów” wracał na powrót do kas państwowych.

A iluż to ludzi „nieproduktywnych” dlatego tylko głodu nie znało, że pracować musieli obowiązkowo i jeśli się nie umieli rządzić tym, co im dawano za pracę niechętną, bywali zabierani pod państwową opiekę... A byli wśród nich ludzie młodzi nieraz, późniejsi wynalazcy i odkrywcy, pisarze i artyści do ręcznej pracy zmuszeni, marniejący często, sławni nieraz dopiero po śmierci, a za życia w cień przez szczęśliwych i modnych „kolegów”, schlebiaczy gawiedzi, zepchnięci...

Jacek myślał o tym wszystkim, ważąc znów w rękę książkę, przed chwilą czytaną...

Nie na dwie, jak się obawiał ten wyklęty ongi gwoli<sup>11</sup> pesymizmowi swemu pisarz dwudziestego wieku, ale na trzy części ludzkość się rozpadła. W środku jest tłum. Większość olbrzymia. Zgraja sytych, w miarę zażywających spoczynku i o ile możliwości jak najmniej myślących. Mają prawa, mają dobrobyt i oświatę — to znaczy uczą się w szkołach wszyscy tego, co dla nich zrobiono. Mają poczucie obowiązku i są przeważnie cnotliwi. Dzielą się na narody i każdy jest dumny z tego, że do swego narodu należy, chociaż, gdyby się był w innym urodził, byłby także z tego dumny. Niegdyś były narody świętością, z najserdeczniejszej krwi ulepioną — dzisiaj wyrodziły się z wolna w rodzaj strojów odmiennych, niemających głębszego znaczenia. Różnica duchów się zatarła. W treści swych małych dusz tłum się stał wszędzie mimo różnic mowy, dochodów, władzy tak rozpaczliwie do siebie podobny!

Odmienność rasy i plemienia tętni może jeszcze żywa u tych najwyższych — „wiedzających”, którzy ponad błyszczącym tłumem europejskim stoją, nieprzebytą przepaścią duchowego rozwoju odeń oddzieleni. A oni przecież najmniej o narodowości mówią, w jedno braterstwo wiedzy i ducha losem swym związani.

Ale i w dole pod tłumem sytym i zadowolonym jest czerni międzynarodowa, którą również przepaść od niego odgranicza. Przeczy się temu głośno i zawsze, a jednak tak jest. Nie pomogą tu najpiękniejsze i nawet szczerze słowa o równości, o prawie powszechnym do życia i dobrobytu, o nieistnieniu warstw uciśnionych! Zresztą — oni nawet nie są uciśnieni wcale.

Te miliony maszyn, ludziom służące, wymagają z swej strony do obsługi całej rzeszy robotników czujnych, umiejętnych, metalowej, nielitościwej dziwostworze po prostu zaprzędanych i niemyślących o niczym więcej, jak że w danej chwili trzeba pewien guzik pocisnąć lub dźwignię przetrząsnąć. Pracują względnie krótko, płatni są dobrze, ale umysł ich, zaostrzając się w jednym kierunku, tępieje dziwnie we wszystkich innych, robiąc ich z wolna obojętnymi na to, co się dzieje poza fabryką, warsztatem i kołem ich najbliższej rodziny.

I to jest znamienne, że się nie buntują ani nie podnoszą, jak niegdyś robotnicy minionych stuleci. Daje im się mądrze wszystko i wszystko przyznaje, czego chcą, aż w końcu — przestają chcieć czegokolwiek, nawet tych rzeczy, które by z łatwością mogły być dla nich dostępnymi. Nie mają ojczyzny, koniecznością pracy z miejsca na miejsce przerzucani, język sobie nawet wyrobili oddzielny, międzynarodowy, w dziwny sposób ze strzępów różnych języków sklejonny.

A więc właściwie wszystko jest, jak było! Jeno że te granice niewyraźne, o których utrzymanie z góry, zniesienie z dołu, ongi walczone, wyraźniejszymi się stały, szerszymi i trudniejszymi do przebycia z chwilą, kiedy w zasadzie istnieniu ich zaprzeczono. Ustało obustronne parcie na zewnątrz i siłą faktów warstwy poczęły się skupiać i zasklepiać, cofając się mimo woli i wiedzy coraz bardziej od siebie.

I wszystko jest tak, jak było. I mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa<sup>12</sup> niby doskonałe — tak samo dzisiaj, jak i przed wiekami, płytko jest na Ziemi i ciemno, i duszno coraz bardziej w tym życiu, u którego kresu czeka śmierć, z jednako zawsze zakrytą, niepojętą twarzą.

<sup>11</sup>gwoli — z powodu dla; z C. gwoli pesymizmowi, dziś z D.: z powodu pesymizmu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa (daw.) — mimo z rzecz. w B.; dziś z D.: mimo dobrobytu itd. [przypis edytorski]

A szczęście? Osobiste szczęście człowieka?

O, ludzka duszo, nigdy niesyta i niepoprawna! Nauka, wiedza ni mądrość żadna nie wytrzebią z głębi pragnień nierozumnych, śmiesznych a pożerających jak ogień, gdy wielce rozgorze.

Cień był w pokoju od chmur, co Księżyc zasnuły. Jacek mimowolnym niemal ruchem wyciągnął dłoń i dotknął na pamięć guzika w rzeźbach biurka ukrytego. Na owalnej tarczy z mlecznego szkła w ramie brązowej zamigotał barwny obraz: drobna, dziecięca na pozór twarz pod bujną falą jasnych włosów i oczy ciemnobłękitne, ogromne, szeroko rozwarte...

— Aza, Aza... — szeptał w ciszy, pochłaniając wzrokiem to nikłe odbicie.

### III

Mataret, odzyskawszy przytomność, nie umiał sobie przez długi czas zdać sprawy z tego, co się z nim stało właściwie i gdzie się znajduje. Przecierał oczy kilkakrotnie, niepewny, czy to istotnie ciemność nieprzenikniona go otacza, czy też powieki ma jeszcze zamknięte. Przypomniawszy sobie, że jest w wozie, który pędził z Księżycą na Ziemię, usiłował bezskutecznie zapalić światło elektryczne. Naprzód długo nie mógł znaleźć guzika — w wozie było dziwnie wszystko poprzewracane, a gdy wreszcie wyszukał, na próżno naciskał palcem. W przewodach coś się widocznie zepsuło: noc nie ustępowała.

Począł w ciemności wołać na Rodę. Przez długi czas nikt nie odpowiadał, aż wreszcie posłyszał stęknienie, które mu dało przynajmniej znać, że towarzysz jego żyje. Po omacku posunął się w stronę, skąd głos go dochodził. Trudno mu się było orientować w położeniu. Przez cały czas podróży wóz własnym ciężarem pod wpływem przyciągania — naprzód Księżycą, a potem Ziemi — tak się obracał, że podłogę jego zawsze mieli pod nogami, teraz Mataret, posuwając się, zauważył, że pełza po wklęsłej ścianie pocisku.

Znalazł mistrza i wstrząsnął nim za ramię.

— Żyjesz?

— Żyję jeszcze.

— Nie jesteś ranny?

— Nie wiem. Zawrót mam w głowie. Boli mnie całe ciało. I ciężko, tak ciężko straszliwie...

Mataret czuł to sam, mogąc się zaledwie z największym wysiłkiem poruszać.

— Co się to stało? — zapytał po chwili.

— Nie wiem.

— Byliśmy już blisko Ziemi. Widziałem, jak wiruje... Gdzież teraz jesteśmy?

— Nie wiem. Może to my przelataliśmy ponad nią! Minęliśmy Ziemię teraz widocznie i pędzimy znów w przestrzeni dalej, w cieniu jej pograżeni.

— Czy uważasz jednak, że wóz przybrał dziwne jakieś położenie? Chodzimy po ścianie.

— Cóż mnie to obchodzi? Wszystko jedno. Tak czy owak, śmierć nas czeka nieuchronna, na ścianie czy na powale<sup>13</sup>...

Mataret zamilkł, przyznając w duszy słuszność mistrzowi. Wyciągnął się na wznak i przymknął oczy, poddając się ogarniającej go z wolna senności, co przychodziła nań snadź<sup>14</sup> i jako zapowiedź zbliżającej się śmierci.

Nie usnął jednak. Majaczyły mu się tylko w jakimś na wpół przytomnym marzeniu księżycowe szerokie równiny i miasto przy *Ciepłych Stawach* nad brzegiem morza położone... Lud niby widział skądś wracający, z uroczystości jakiejś, od stopni świątyni, na których stał człowiek wyniosły, Zwycięzcą na Księżycu nazwany — i patrzył nań szyderczymi oczyma. Zawołał nawet na niego po imieniu. Raz i drugi.

Rozwarł oczy. Rzeczywiście wołano go.

— Roda...?

— Czy śpisz?

— Nie, nie śpię. Zwycięzca...

— Do licha ze Zwycięzcą. Krzyczę na ciebie już pół godziny. Wytrzeszcz ślepie!

— Blask!

<sup>13</sup>powala (daw.) — sufit. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Tak jest. Jaśniej się robi. Co to jest?

Mataret dźwignął się i usiadł, zadzierając głowę ku górze. Istotnie okrągłe okno boczne, przy tym położeniu wozu do góry teraz zwrócone, szarzało z wolna jaśniejącą plamą na tle ciemności.

— Dzień się robi — szepnął.

— Nie rozumiem — rzekł Roda. — Dotąd przechodziliśmy z światła w ciemność i na odwrót bezpośrednio, w jednym momencie...

W tej chwili ze zwiększającą się nagle jasnością szelest jakiś suchy doleciał ich uszu — pierwszy odgłos, który od czasu odlotu z Księżyca z zewnątrz ich dochodził.

— Jesteśmy na Ziemi! — krzyknął Mataret.

— Z czego się cieszysz?

Ale on już nie słuchał. Walcząc z nieznośnym ciężarem własnego ciała, wydrapał się bliżej ku oknu, ponad którym przesuwaly się jak gdyby tumany piasku, gęstniejące czasem tak, że mrok znowu gruby zalegał wewnątrz wozu. Mataret patrzył, nie rozumiejąc tego wszystkiego. W pewnej chwili przymknął oczy, niespodziewanym jaskrawym blaskiem uderzone. Piasek znikł i słońce oślepiające padło na okrągłą szybę. Słychać było wyraźnie świst wichru przewalającego się po świetle.

Kiedy znowu powieki rozwarł, jasno było dokoła — przez okno przeglądało się w górze niebo ciemnobłękitne, powietrzem malowane, nie czarne bynajmniej jak dotąd, kiedy przez przestrzeń międzygwiazdną przelatowali.

— Jesteśmy na Ziemi — powtórzył Mataret z przekonaniem i począł odkręcać śruby, zamykające wyjście z ich długotrwałego więzienia.

Nierazno szła mu robota. Wszystko ciężkim mu się nadmiernie wydawało, a członki obezwładnione, leniwe, nużyły się szybko, tak że co chwila musiał odpoczywać. Gdy wreszcie ostatnie śruby z brzękiem w dół opadły i świeży powiew przez okno otwarte w twarz go naraz uderzył, zachwiał się, powietrzem pijany i zmęczony trudem, nie mogąc zrazu w braku sił na świat się wydobyć.

Po dłuższym odpoczynku dopiero wrócił do równowagi i chwyciwszy się rękoma za obrzeże okna, dźwignął głowę, a potem i całe ciało na zewnątrz. Roda cisnął się już z nim i wysuwał dużą rozczochraną czaszkę z wozu.

Patrzyli długo obaj w milczeniu.

— A nie mówiłem, że Ziemia jest niezamieszкана! — ozwał się wreszcie Roda.

Przed nimi — dokoła — jak okiem zasięgnąć ciągnęła się roztoz piasku, żółta, w garby niby fale pogięta, jarkim<sup>15</sup> rozżarzonym słońcem spalona. Wóz ich, zlatując na Ziemię, wpadł był w wydmnę olbrzymią, z której go ustający teraz właśnie wiatr pustynny wygrzebał.

Mataret nie odpowiadał na słowa Rody. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma i porządkował w duszy dziwne wrażenia. Wszystko naokół niego było ciche, martwe, nieruchome; trudno mu było uwierzyć, że to jest ta sama Ziemia, którą widział był, zda się, przed chwilą w szalonym wirze mknącą pod swymi stopami... Przecierał oczy i zbierał myśli rozpierzchnie — niepewny, czy śni teraz, czy się też ze snu niepojętego obudził.

Chwilami lęk go ogarniał nerwowo, którego przyczyny sam zgoła nie znał. Drżał wtenczas febrycznie od stóp do głów z okropnym, szalonym pragnieniem w sercu, aby to wszystko, co zaszło, ta podróż i ta Ziemia — okazały się jeno sennym majakiem... Staral się zapanować nad sobą i myśleć przytomnie.

Wreszcie poczuł, że głód mu zaczyna dokuczać. Wrócił do wozu i wydobył stamtąd resztę wody w miechu z nieprzepuszczalnej błony i szczupłe zapasy pozostałej jeszcze żywności. Zwrócił się do Rody:

— Jedz!

Mistrz wrzucił ramionami.

— Właściwie nie wiadomo, po co mam jeść i życie o kilka godzin przedłużyć.

Mimo to rzucił się łapczywie na zapasy, aż go Mataret musiał powstrzymać uwagą, że żywność należy oszczędzać.

— Po co? — warknął Roda. — Głodny jestem. Zjem, co mam do zjedzenia, i powieszę się na czubku tego wozu przekłętogo!

<sup>15</sup>jarki — jasny, żarzący się; por. *jarzyć się*. [przypis edytorski]

Mataret, nie słuchając, ładował w worek resztę pożywienia i wynosił z wozu różne łatwe do zabrania drobne przedmioty, które mogły się przydać. Wreszcie, gdy związał wszystko razem, próbował zarzucić tobolek na plecy, ale spostrzegł, że się przeliczył ze swymi siłami, nie pamiętając o sześciokrotnie zwiększonej wadze na Ziemi. Rad nierad wyrzucił tedy wszystko, bez czego tylko można się było obejść, a resztę podzielił na dwa węzłki.

— Bierz — rzekł do Rody, wskazując jeden z nich — i pójdź<sup>16</sup>.

— Dokąd?

— Gdziekolwiek. Pójdziemy przed siebie.

— To nie ma zgoła celu. Mnie jest wszystko jedno, w którym punkcie tej płaszczyzny przestrzeni zginę.

— Gdy Ziemia przelatywała pod nami, wirując, widziałem morze i kraje jakies, zda mi się, zielone. Może dotrzemy do okolicy, gdzie się da żyć.

Roda, mruczając niechętnie, zarzucił tobolek na ramię i ruszył za Mataretem. Szli na wschód słońca, grzęznąć w piasku, obezwładnieni upałem i zbyt gęstym dla ich księżycowych płuc powietrzem Ziemi, a nade wszystko wagą ciał własnych, które — drobne i niepozorne — wydawały im się, jak gdyby naraz w ołów były zamienione. Odpoczywali co kilkadziesiąt kroków, ocierając znojny pot z czoła.

Na przystankach Roda, korzystając z każdego zauważonego szczegółu, dowodził w dalszym ciągu, że Ziemia nie jest zamieszkała i w ogóle nie może być zamieszkała przez żadne istoty.

— Pomyśl — mówił — ten ciężar tłoczący! Któreż stworzenie znieść go zdoła przez dłuższy czas!

— Jeśli tu jednak ludzie byli więksi i silniejsi od nas, jak na przykład Zwycięzca?

— Nie pleć głupstw! Gdyby tu ludzie byli więksi, ważyliby jeszcze więcej i nie mogliby się już zgoła poruszać.

— A jednak...

— Nie przerywaj, kiedy ja mówię! — oburzył się Roda. Ja nie rozprawiam z tobą, ale ci powiadam jeno pewne rzeczy, o których wiem. Ty słuchaj i ucz się.

Mataret wzruszył ramionami i podjąwszy swój tobolek, puścił się znowu naprzód w milczeniu. Mistrz postępował za nim, nie przestając dowodzić zdyszczonym głosem prawdziwości swego zdania.

— Zdechniemy jak psy — powtarzał. — Tu nie ma, mówię, żadnej żywej istoty.

— Więc my będziemy pierwszymi — wtrącił Mataret — cała Ziemia będzie do nas należała.

— Dużo ci przyjdzie z tego! Piasek i woda, którąśmy z góry widzieli, jeżeli to jest woda w ogóle, a nie jakiś na szkliwo ścięty kamień...

Mataret tymczasem przystanął i patrzył przed siebie z zajęciem.

— Widzisz! — rzekł po chwili, rękę wyciągając.

— Co?

— Nie wiem, co to jest... Pójdźmy bliżej.

Po kilkudziesięciu krokach, mając już twardszy, skalisty grunt pod nogami, mogli rozróżnić wyraźnie linię jakąś, drogę ich przecinającą i biegnącą w obie strony gdzieś w nieskończoność. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli sztabę żelazną, metalowymi koźłami nieco nad poziom wzniesioną, która, jak okiem zasięgnąć, przekrawała pustynny kraj od końca do końca.

— Co to jest? — szeptał Roda zdumiony.

— Tu jednak muszą być jakieś żywe istoty — odezwał się Mataret. — Ta dziwna rzecz zda się być ręką ludzką zrobiona.

— Nie ludzką! Nie ludzką! Ostatecznie... może istotnie jakieś życie tutaj jest, ale ludzi nie ma na Ziemi! To pewne, przekonasz się... Po cóż by zresztą człowiek rozumny taką rzecz robił; marnował tyle żelaza nie wiadomo na co?

— Więc ktoś Ziemię zamieszkuje?

— Bo ja wiem kto? Jakiś rodzaj istot...

<sup>16</sup>pójdź (daw.) — chodź. [przypis edytorski]

— Szernowie — bąknął przez zęby Matarret i obaj poczuli, jak dreszcz przeszedł ich członki na samo wspomnienie straszliwych księżycowych pierwobyłców.

Oglądali zagadkową szynę z zajęciem, która tymczasem od pewnej już chwili poczęła z lekka dzwonić; naraz...!

Odkoczyli obaj w tył z przestrachem. Potwór jakiś olbrzymi, lśniący, ze splaszczoną głową, przeleciał z hukiem po szynie w pędzie tak straszliwym, że nim mieli czas oprzytomnieć, on już był daleko. Patrzyli z lękiem a zdumieniem, nie śmiejąc nawet myśleć, co by to było właściwie.

Po dłuższym czasie dopiero ozwał się pierwszy Matarret, spoglądając nieufnie w stronę, w której zniknęło zjawisko.

— Jakiś zwierz ziemski...

— Ładna rzecz — mruknął Roda — jeśli tu takie potwory żyją. Przecież to miało ze sto kroków długości albo i więcej. A mknęło jak wichur. Czy nie zauważyłeś nóg?

— Nie. Spozstrzegłem tylko wzdłuż całego ciała aż do ogona szereg ócz, które wyglądały jak okna... Mnie się jednak zdaje, że się posuwało na kołach. Może to nie potwór, ale wóz jakiś dziwny?

— Głupiś. Gdzieżby wóz mógł pędzić tak szybko przez nic zgoła nie ciągniony?

— A nasz kto ciągnął przez przestworza? — wtrącił Matarret. — Może na Ziemi taki zwyczaj.

Roda zamyślił się na chwilę.

— Nie, to niemożliwe. Po jednej tak gładkiej szynie wóz nie mógłby biec, przewróciłby się niewątpliwie.

— To prawda — przyświadczył Matarret.

Przesunęli się chyłkiem między kozłami pod szyną, spoglądając na nią nieufnie, i szli znów dalej z troską i niepokojem w sercach. Obcymi się czuli na tej Ziemi, która, wedle zwalczanej przez nich na Księżycu legendy, miała być pono kolebką ludzi pierwotną, a im się wydała straszną i pustą. Roda, nużąc się szybciej od towarzysza, przystawał co chwila i skarżył się na nieznośny upał, który, chociaż nie dochodził księżycowych żarów w południe, dotkliwszym im się wydał w gęstym ziemskim powietrzu. Naokół zaś, wśród żółtej piasku roztoczy — nigdzie cienia nie było.

Jeno tam gdzieś daleko przed nimi majaczyły skały jakieś o dziwnych kształtach, w oślepiającym słońcu aż białe, a pośród nich coś jakby olbrzymie pióropusze strzępiaste na wysokich, z lekka wygiętych słupach.

Dążyli tedy ku owym skałom, resztę sił wyteżając w nadziei, że chłodu trochę znajdą pod nimi, gdy naraz zwróciły ich uwagę cienie jakieś przemykające przed ich oczyma szybko po piasku. Roda odwrócił się pierwszy i dostrzegł na niebie, między sobą a słońcem, niby stado ptaków potwornych o szerokich białych skrzydłach i splaszczonych ogonach. Matarret zauważył u niektórych, bliżej lecących, że zamiast nóg miały koła pod sobą, a posuwały się w powietrzu chyżo, nie poruszając rozpiętymi skrzydłami. Natomiast przed głową ich, niewyraźnie się od ciała odcinającą, szedł jakiś wir, który zaledwie z trudnością można było okiem złapać.

Zniknęły rychło w stronie, ku której i pierwszy potwór błyszczący był podążał.

— Na Ziemi wszystko jest straszne — wyszeptał Roda zmartwiałyymi ustami<sup>17</sup>.

Matarret nie odpowiadał. Gdy patrzył za ptakami, uderzyło go położenie słońca na firmamencie. Stało już nisko i poczynąło różowieć, za śreżogę<sup>18</sup> jakąś złotawą zachodząc.

— Już dawno temu, gdyśmy wyszli z wozu? — spytał po chwili.

— Bo ja wiem? Może cztery, może pięć albo sześć godzin...

— Słońce stało wówczas w zenicie?

— Tak.

Matarret wyciągnął rękę ku zachodowi.

— Patrz, już się skłania. To niepojęte po prostu. Czyżby tak szybko przebiegało po niebie?

W pierwszej chwili i mistrz nie umiał sobie zdać sprawy z tego dziwnego dlań zjawiska. Przeraził się znów strasznie i patrzył osłupiałymi oczyma na słońce, które snadź

<sup>17</sup>zmartwiałyymi usty — dziś forma N.Im: (...) ustami. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>śreżoga — rozedrgane powietrze nad rozgrzaną powierzchnią, tworzące wrażenie mgły np. nad asfaltem w upalny dzień. [przypis edytorski]

oszałało, przebiegłszy w sześć godzin połowę niebieskiego sklepienia, podczas gdy na Księżycu zużywa na to godzin kilkadziesiąt. Ale wnet uśmiech rozjaśnił jego szerokie usta.

— Mataret! — ozwał się — czy ty już naprawdę nic nie wiesz z tego, czegom ja was w Bractwie Prawdy nauczał?

Łysy uczeń spojrzął z pytaniem na mistrza.

— Przecież — ciągnął dalej Roda — dni na Ziemi są krótkie i tylko dwadzieścia cztery nasze godziny wynoszą, a zatem...

— A prawda, prawda.

Mimo to uspokojenie patrzyli obaj z podziwem na słońce, mknące w oczach po niebie, jak im się zdawało.

— Za godzinę gotowa być noc — szepnął Mataret.

— Przekleństwo! — syknął mistrz, zapominając o tym, co sam przed chwilą mówił — przekleństwo! Trzysta pięćdziesiąt godzin ciemności i mrozu. I cóż my zrobimy? Nie trzeba nam było wozu opuszczać...

Teraz Mataret pierwszy połapał się w nowych warunkach.

— Dwadzieścia cztery, a nawet tylko dwanaście godzin ciemności, przecież to Ziemia.

— A prawda, prawda! — rzekł Roda z kolei.

— Jednak to dziwne — dodał po chwili — bardzo dziwne. W każdym razie mróz nam na pewno dobrze dokuczy, nim słońce wzejdzie. Chociaż nie wiem, jak będzie ze śniegiem? U nas, to jest na Księżycu, spada śnieg dopiero w dwadzieścia lub trzydzieści godzin po zachodzie słońca, a tu będzie już dzień nowy.

— Może tutaj śnieg rychlej<sup>19</sup> spada?

Rozmawiając, posuwali się wciąż naprzód. Upał dnia ustawał nieco, a i oni już trochę przywykli do zwiększonego ciężaru swych ciał, tak że szło im się cokolwiek rażniej.

Skały były już blisko. Pod nogami wyglądał tu i ówdzie z piasku calec granitowy, w którego szczelinach trafiała się czasem nikła jakaś i pożółkła trawka.

Stawali wtedy obaj nad nią i oglądali długo, starając się z tego źdźbła marnego wnioskować, jak może bujniejsza roślinność na Ziemi wyglądać, o ile istnieje w ogóle.

Słońce właśnie zaszło i dwaj Księżyzanie, do skał dotarłszy, szukali legowiska na noc, gdy w gęstniejącym szybko mroku uderzyła ich oczy olbrzymia jakaś postać kamienna, na poły ludzka, zwierzęca na poły. Ciało tego potwora, ze wszystkich znanych im istot, najwięcej jeszcze przypominało psa, który jako jedyne czworonożne zwierzę chował się wśród ludzi na Księżycu, jeno<sup>20</sup> okrągłejsze było i więcej muskularne, a na wzniesionej szyi człowieczą dźwigało głowę.

— Tutaj są myślące istoty na Ziemi, jak my, ludzie albo szernowie — zagadnął po pewnym czasie niemego podziwu Mataret — kiedy umieją robić takie rzeczy z kamienia.

— Jeśli jednak tak wyglądają! — dorzucił Roda, wskazując ręką nieruchomego potwora...

Straszno im było i smutno niewypowiedzianie. Wyszukali sobie kryjówkę w szczelinie skały, o ile możliwości jak najdalej od niesamowitego posągu, i robili przygotowania, aby się jakoś zabezpieczyć przed spodziewanym mrozem nocnym, kiedy wschodnia część nieba poczęła się z wolna złościć i pokrywać jasną luną, gwiazdy rozbłysły zaćmiewającą — aż wreszcie wypłynęła z niej kula jakaś ogromna, czerwona, świetlista.

Było to dziwne i niepojęte, jak wszystko, co ich w tym — najkrótszym w ich życiu — dniu spotkało. Kula tymczasem, jak gdyby bania światłem napelniona, wznosiła się w górę, wydając się coraz mniejszą, ale i coraz jaśniejszą zarazem. Cień pierzchał — łagodny, srebrny obrzask lśnił się na piaskach i skałach, nadając pozór życia straszliwemu potworowi z kamienia.

— Co to za gwiazda może być?

Roda szukał długo w myśli, aż wreszcie potrząsnął głową przecząco.

— Nie znam tej gwiazdy — rzekł, patrząc na Księżyc, z którego właśnie przed kilku godzinami przybyli.

<sup>19</sup>rychło — szybko. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]



Ale Mataretowi przypomniał się nagle widok, jaki miał z okna wozu, pędząc w przestworzu — a chociaż tamto, z bliska widziane, większe było i mniej jasne, to jednak — pewne podobieństwo...

— Księżyc! — zawołał.

— Księżyc...

Patrzyli obaj ze straszną, żrącą tęsknotą w biednych sercach na tę płynącą spokojnie po niebie, niepowrotnie straconą, ojczyznę swoją.

#### IV

Z pociągu błyskawicznego Sztokholm-Aszuan wysiadła młoda dziewczyna o jasnych włosach i dużych ciemnobłękitnych oczach, patrzących na świat jak gdyby z dziecięcym jeszcze zdumieniem... Postępował za nią, niosąc w ręku drobne walizki, siwy, ale czerstwy jegomość o wylupiastych nieco oczach w twarzy zarazem patriarchalnej, chytrej, tępej i pocziwej. Niewygodnie mu było w stroju, wedle najświeższej mody skrojonym, do którego snadź<sup>21</sup> nie przywykł, i czuł się trochę zmęczonym uporczywie graną rolą młodzieńca, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie.

Do dziewczyny, ledwo stanęła na dworcu, przybiegł żywo sam dyrektor największego hotelu Old-Great-Cataract-Palace i z pełnym godności pokłonem wskazał jej ręką oczekujący samochód elektryczny.

— Apartamenty są od wczoraj przygotowane — rzekł z lekkim wyrzutem w głosie.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Dziękuję, kochany dyrektorze, iż się sam trudziłeś, aby mnie powitać, ale ja do prawdy wczoraj przybyć nie mogłam. Wszak telegrafowałam.

Dyrektor skłonił się znowu.

— Wczorajszy koncert odwołano.

Mówiąc to, wskazywał znów ręką pojazd czekający.

— Ach nie! Rzeczy moje tylko zabierzcie... Pan ma gdzieś kwity — zwróciła się do towarzysza. — Ja pójdę piechotą. Nieprawdaż, panie Benedyckie? Będzie przyjemnie. To tak niedaleko.

Rzeński staruszek bąknął coś pod nosem, szukając kwitów po kieszeniach, a dyrektor cofnął się dyskretnie, usiłując nie okazać zgorznienia. Sławna Aza mogła mieć fantazje nawet tak nieprawdopodobne, aby chodzić piechotą.

Śpiewaczka, minąwszy kolejowe zabudowania, szła żwawo aleją niskimi palmami wysadzoną. Z lubością wciągała w pierś słodkie powietrze skłaniającego się dnia wiosennego. Dzisiaj rano, w futra ciepłe otulona, wsiadła do wagonu w Sztokholmie — w ciągu kilkunastu godzin przeleciała tunelem popod<sup>22</sup> Morze Bałtyckie i wszecz przez Europę i znowu tunelem pod wodami Śródziemnego Morza i przez wschodnią krawędź Sahary — i oto, nim słońce zaszło, patrzy na nie z brzegu Nilowego, wyciągając z rozkoszą w ciepłe młode gibkie członki, długim siedzeniem nieco zdrętwiałe.

Szła, rada z ruchu, tak szybko, zapominając o swym towarzyszu, który zaledwie mógł jej nadążyć, że nie spostrzegła nawet, jak się znalazła przed ogromnym hotelem. Przygotowano jej pokoje na uprzywilejowanym najwyższym piętrze z szerokim widokiem na zalew Nilu, który niegdyś, przed wiekami, za młodu, rzucił się tutaj ze skał kaskadą, zgubioną obecnie w podniesionej tamami wodzie, użyźniającej pustynną ongi<sup>23</sup> okolicę...

Siadając do liftu<sup>24</sup>, spytała o kąpiel — była naturalnie gotowa. Do stołu kazała podać za dwie godziny we własnej jadalni, nie chcąc schodzić do wspólnej sali.

Poleciwszy panu Benedyktowi czuwanie nad służbą znoszącą pakunki, zamknęła się zaraz w swej sypialni i odprawiła nawet garderobianą. W ścianie obok łóżka były drzwi do łazienki; otworzyła je szeroko i poczęła się zwinnymi rękoma sama rozbierać. W bieliznie już siadła na sofie i twarz podparła dłonią. Duże oczy jej straciły wyraz dziecięcy, upór jakiś niezłomny wyrzwał z nich twardym, zimnym polyskiem i zaciął drobne usta purpurowe. Dumiała chwilę...

<sup>21</sup>snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>popod (daw.) — pod; pod spodem. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>ongi (daw.) — dawniej, niegdyś. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>lift (z ang.) — winda; siadając do liftu dziś: wsiadając do (...). [przypis edytorski]

Szybkim ruchem zerwała się i podbiegła do telefonu, po przeciwnej stronie łóżka umieszczonego. Zadzwoiła gwałtownie.

— Proszę mnie połączyć z centralną stacją telefonów europejskich...

Nadsluchiwała jakiś czas w milczeniu.

— Tak. Dobrze. Tutaj Aza. Gdzie jest doktor Jacek obecnie? Proszę sprawdzić.

W kilka sekund jej odpowiedziano:

— Jego Ekscelencja Naczelny Inspektor sieci telegraficznej Stanów Zjednoczonych Europy znajduje się teraz w swym mieszkaniu w Warszawie.

— Proszę o połączenie i znak...

Rzuciła słuchawki i przeszła znów ku sofie, wyciągając się na miękkich poduszkach z podwiniętymi pod głowę rękami. Uśmiech dziwny rozchylił teraz jej usta — oczy, zapatrzone w strop, błyszcząły.

Lekki odgłos dzwonka przywołał ją znowu do aparatu.

— Czy to ty jesteś, Jacku?

— Tak, to ja.

— Jestem w Aszuan.

— Wiem. Miałś tam być już wczoraj.

— Nie byłam. Nie chciałam, aby się wczorajszy koncert odbył.

— Tak?

— Nie spytasz, dlaczego?

— Hm...

— Przecież ty wczoraj miałeś doroczne zebranie Akademii...

Chwyciła szybko wyciągniętą ręką mały notatnik z kości słoniowej, który rozbierając się, na krzesło obok porzuciła, i spojrzawszy na zapisek, pośpiesznie z jakiegoś dziennika po drodze zrobiony, mówiła dalej:

— O godzinie ósmej wieczorem, w Wiedniu. Miałeś mówić o...

Nie mogła przeczytać niewyraźnie napisanego słowa, więc rzuciła notatnik i dokończyła z lekkim wyrzutem w głosie:

— Widzisz, ja wiem!

— Więc cóż?

— Nie byłbyś mógł być obecnym. Koncert odbędzie się jutro.

— I jutro ja nie będę.

— Będziesz!

— Nie mogę.

— Wszakże samolotem w parę godzin...

— Więc nie chcę.

Zaśmiała się głośno, srebrzyście.

— Chcesz! O, jak ty chcesz, Jacku... I będziesz. Do widzenia! Nie... jeszcze.... Jesteś? Wiesz, co ja robię w tej chwili?

— Jest pora obiadowa. Siądziesz wkrótce do stołu.

— Nie. Idę do kąpieli! Nie mam już prawie nic na sobie...

Rzuciła ze śmiechem słuchawki i zdarłszy jednym ruchem rąk z siebie koszulę, skończyła do wanny marmurowej.

Pan Benedykt tymczasem, odprawivszy służbę, poczał jeszcze raz troskliwym okiem przeliczać złożone pakunki. Było wszystko w najzupełniejszym porządku. Przeszedł teraz do swojego pokoju, który go zaraz na wstępie zaniepokoił. Wydał mu się zbyt wielkim i ozdobnym. Szukał przez pewien czas oczyma cennika po ścianie, a gdy go nie mógł znaleźć, zadzwonił.

Wchodzącego lokaja zapytał o cenę. Służący spojrzal zdumiony: takie pytania nie były w zwyczaju w Old-Great-Cataract-Palace, mimo to jednak odpowiedział z szacunkiem, wymieniając kwotę istotnie wysoką.

Pan Benedykt z wyrazem dobrodusznej chytryści rozwarł wylupiaсте oczy i przybrał minę tajemniczą a poufałą.

— Mój kochanku, czy nie macie pokoju trochę tańszego? Widzisz, to dla mnie jest za drogo.

Dobrze wychowany lokaj usiłował mimo wszystko zachować kamienny wyraz twarzy.

— Na tym piętrze nie ma innych pokojów.

— Czemuż nie spytaliście się?  
— Sądziliśmy, że w towarzystwie pani Azy...  
— Tak, tak, serce, ale ja całe życie ciężko pracowałem nie na to, aby wam teraz niepotrzebnie napychać kieszenie.

— Więc chyba o piętro niżej...

— Ha, cóż robić! Każ przenieść moje rzeczy, kochanku.

Przeszedł na dół i rozgościł się we wskazanym mu przez złośliwość lokaja pokoju, który wprawdzie nie o wiele był tańszy, ale za to ciemny prawie zupełnie i pełen ohydnej woni benzyny, zalatującej od jakiegoś umieszczonego w podwórzu motoru. Pan Benedykt westchnął ciężko i uporządkowawszy rzeczy swoje, wyszedł na przechadzkę, nie zapominając zamknąć drzwi szczelnie na klucz za sobą.

Naprzeciw hotelu był ogromny dom gry. Stary pan wolnym krokiem zwrócił się w tamtą stronę. Wprawdzie on sam nie byłby nigdy zaryzykował ani jednej sztuki złota dla rzeczy tak niepewnej, jak ruleta, ale lubił patrzeć, jak inni pieniądze tracili. Dawało mu to wzruszenie dosyć dziwnego rodzaju. Czuł się mianowicie podniesionym na duchu i rozrzewnionym niemal myślą o własnej rozumnej oszczędności w porównaniu z lekkomyślnymi albo chciwymi graczami. Bo pan Benedykt chciwym ani też skąpym zasadniczo nie był. Miał namiętność do śpiewu i włóczył się chętnie po świecie kosztownymi pociągami, byle tylko być w towarzystwie zachwycających go śpiewaczek. Namyslał się też poważnie nad tym, żeby mieć jaką przygodę miłosną, ale ponieważ brak mu było wprawy w tym względzie, więc odkładał rzecz na później.

We drzwiach sali gry zaczął go wytworny lokaj.

— Pan nie we fraku? — rzekł, obrzucając go krytycznym spojrzeniem.

Wściekłość ogarnęła pana Benedykta.

— Nie jestem we fraku, głupcze! — odparł z godnością, o ile możliwości, jak największą i odepchnąwszy zastępującego mu drogę służącego, wszedł do środka.

Ale to drobne zajście zepsuło mu humor. Krążył przez pewien czas po sali, gniewało go to, że ludzie, na których dziś patrzył, przeważnie wygrywali, dochodząc do pieniędzy bez trudu, a jemu sprawiając zgorzienie, a gdy wreszcie jakaś wymalowana kokotka poprosiła go o pożyczkę stu sztuk złota, odwrócił się bez słowa na pięcie i podążył z powrotem do hotelu.

Tutaj Aza oczekiwała go już w jadalni.

Po obiedzie we dwoje zjedzonym pan Benedykt podsunął śpiewaczce papierośnicę. Usunęła ją lekko dłonią.

— Nie, dziękuję. Nie będę palić. A i pana proszę, abyś nie palił dzisiaj przy mnie. Muszę gardła na jutro szanować.

Staruszek schował papierośnicę skwapliwie, choć z pewnym smutkiem na dobrotliwej twarzy.

— Przejdź pan do swego pokoju na papierosa — rzekła Aza — i wróć za chwilę. Wszakże to obok.

— Nie. Przeniosłem się o piętro niżej.

— Dlaczego?

— Tutaj było dla mnie zbyt drogo.

Aza wybuchnęła śmiechem.

— Pyszny jesteś, staruszkule! Przecież pan masz mnóstwo pieniędzy.

Pan Benedykt uczuł się dotkniętym. Pojrzał z ojcowską pobłażliwością na śmiejącą się dziewczynę i z lekkim wyrzutem w głosie wypowiedział głęboką sentencję:

— Moja droga pani, kto pieniędzy nie szanuje, tego i pieniądze szanować nie będą. Ja mam, bo ich nie wyrzucam na próżno.

— Ba, więc po cóż je pan masz?

— To moja rzecz. Bodaj aby móc po każdym występie zasypać panią kwiatami. Pracowałem ciężko przez połowę życia... Gdybym tak postępował jak pani...

— Jak ja?!

— Naturalnie. Odwołała pani telegraficznie koncert wczorajszy i musi pani teraz zapłacić olbrzymią karę Towarzystwu...

— Tak mi się podoba!

Pieniądz

— Ach, gdyby się to pani przynajmniej tak podobało! Ale spóźniła się pani droga tylko przez lekkomyślność: przez nieuwagę opuściła pani ostatni pociąg, zasiedziawszy się na tym przyjęciu w klubie. A nie mówiłem!...

Śpiewaczka zerwała się nagle. Dziecięce jej oczy zapłonęły gniewem.

— Panie, ani słowa! Ani słowa o tym nikomu! To zresztą jest nieprawda. Nie przyjechałam wczoraj, bo nie chciałam.

— Ależ, paniusiu droga, po cóż ten gniew? — łagodził przerażony staruszek. — Ja doprawdy nie chciałem pani zrobić przykrości i nie myślałem...

Aza już się śmiała.

— Nic wielkiego. Och, jaką pan masz minę zakłopotaną!

— Panie Benedykcie — rzuciła naraz niespodziewanie — czy ładna jestem?

Stała przed nim wyprężona w lekkiej barwnej sukni domowej o szerokich rękawach, w klin pod szyję wyciętej. Głowę w jasnej włosów koronie odrzuciła w tył, dłonie na karku zaplotła, wysuwając białe łokcie krągłe z opadłych rękawów. Naprzód podane usta zadrgały jej wabiącym uśmiechem, co wzdyma wargi, bojąc się nazbyt ich rozchylić, by nie umknęły pocałunkowi...

— Ładna, ładna! — szeptał mężczyzna, patrząc na nią zachwyconymi oczyma.

— Czy bardzo ładna?

— Bardzo...

— Piękna?

— Piękna! Cudowna! Jedyna!

— Zmęczona jestem — odezwała się znowu, niespodziewanie ton zmieniając. — Idź pan już do siebie.

Ale po jego odejściu nie udała się na spoczynek. Wsparła białe łokcie na stole i wciśnawszy brodę w dłonie, siedziała tak zamyślona ze ściągniętymi brwiami i twardo zaciśniętymi ustami<sup>25</sup>. Niedopity kieliszek wina szampańskiego stał przed nią, grając topazową tęczę w bijącym zewsząd blasku świec elektrycznych. Szkło było weneckie, stare, nieprzeplacone — cienkie jak płatek róży — o barwie nieco zielonej, jak gdyby lekką mgłą opalową i złotą przyprószonej. Obok na śnieżnym obrusie wały się olbrzymie, prawie białe grona winne z Algieru i mniejsze, do krwi skrzepłej barwą podobne, z greckich wysp szczęśliwych. Brzoskwinia, na pół rozłamana, rozchyliła — jak kobieta — wonne, wilgotne, pocałunku żądne a chłodne usta...

Na progu stanął lokaj.

— Czy pani pozwoli już zabrać?

Drgnęła i powstała.

— Tak, tak. Proszę mi przysłać jeszcze przez pokojową flaszkę szampana do sypialni. Niezbyt mrozić.

Przeszła do buduaru i wyjąwszy podróżną stalową kasetkę, otworzyła ją tajemnym złotym kluczykiem, który wisiał wśród breloków u jej paska. Wyrzuciła na stół zwitek notatek i rachunków. Liczyła przez pewien czas sumy jakies, kreśląc cyfry szybko ołówkiem na tabliczkach z kości słoniowej, a potem wyjęła plik telegramów, osobno złożonych. Przeglądała je rażno, wypisując z nich czasem daty i nazwy miejscowości. Były to przeważnie wezwania różnych miast ze wszystkich stron świata, aby raczyła je zaszczyścić odwiedzinami i wystąpić raz lub dwa w jakimś największym teatrze. Depesze były krótkie, w tych samych prawie słowach spisane, a wymowne jeno cyfrą na końcu wymienioną i zawsze bardzo wysoką.

Aza odrzucała niektóre z nich z wyrazem pogardliwym albo niechętnym, nad innymi namyślała się długo, nim zanotowała datę na tabliczkach.

Spomiędzy telegramów wyleciała, zamieszana w nie przypadkowo, kartka papieru. Był na niej wypisany jeden tylko wyraz: „kocham!”, i imię. Śpiewaczka uśmiechnęła się. Czerwoną ołówkiem podkreśliła imię dwa razy i pomyślawszy chwilkę, dopisała datę sprzed paru tygodni, po czym sięgnęła do szkatułki, szukając w jej wnętrzu właściwego miejsca dla dokumentu.

Wysypały się spod jej ręki listy i kartki, nieraz z notatników wydarte, na których z pośpiechem parę słów tylko skreślono. Na niektórych z nich były krótkie dopiski jej

<sup>25</sup>usty — dziś popr. forma N.lm: ustami. [przypis edytorski]

ręką zrobione: daty, cyfra, znak jakiś. Przeglądała je teraz, uśmiechając się albo marszcząc brwi, jak gdyby sobie chciała z trudem coś przypomnieć. Jedną kartkę zbliżyła ku światłu, niewyraźne nazwisko czytając.

— Ach, to on — szepnęła. — Umarł.

Rozdarła papier i rzuciła w kąt. W rękę trzymała teraz bilet z czerpanego papieru, żółtkły nieco i jakby częstym dotknięciem palców wygładzony.

Zalatywała od niego woń jej sukni i ciała — snadź długo był niegdyś przy niej, nim się tu dostał do stalowej skrzyneczki między inne papiery.

Usta jej zadrgały — wpatrzyła się uporczywie w kilka słów ołówkiem na bilecie nakreślonych i już niemal zatartych...

Dwa tylko wyrazy, przy których ręka silniej ołówek nacisnęła, znać było dobrze: „Jesteś piękna”, i na dole imię: Marek.

Przez długi czas patrzyła Aza na te słowa, początkowo myśląc o tym, który je kreślił, i o dniu i chwili, kiedy nakreślone zostały, a potem — cofając się pamięcią wstecz coraz dalej — o życiu swoim całym od pierwszej młodości, od zagubionego gdzieś we wspomnieniach dzieciństwa.

Przypomniały jej się dni prawie nędzy obok pijanego wciąż ojca i nieustannie płaczącej matki, praca w jakimś zakładzie koronkarskim i pierwsze spojrzenia mężczyzn oglądających się za nieletnią dziewczyną na ulicy.

Wstrząsnęła się ze wstrętem i odrazą.

Przed oczyma zamajaczył jej cyrk jakiś i taniec na wyciągniętej w powietrzu linie, i oklaski... Tak, oklaski w tej chwili, kiedy w bezczelnej pantomimie miłosnej, trzymając się liny palcami jednej nogi, z drugą podniesioną w tył — gwałtownie przegięta — dawała całować biedne dziewczęce usta ohydnyemu błaznowi, który stał za nią...

Teatr trząśł się od oklasków, a jej mróz przerażenia ścisnął serce, bo błazen za każdym razem, patrząc w nią zaczerwienionymi oczyma, szeptał głosem zdławionym: „Zepchnę cię, małpo, i skręcisz kark, jeśli się nie zgodzisz...”.

Kolacje po wielkich restauracjach i spojrzenia znowu, i uśmiechy lubieżne dostojnych emerytów, uśmiechy, które umiała już na złoto zamieniać — dziewczeczka kilkunastoletnia...

Dobrodziej znieawidzony, ohydny dobrodziej, którego imienia już prawie zapomniała — nauka śpiewu i występ pierwszy — potem dalsze... kwiaty — sława — bogactwo. Ludzie, którymi się nauczyła pomiatać i wabić ich, zimna sama, i rzucać obojętnie, kiedy się sprzykrzą albo zrujniają.

Spojrzała znowu na kartkę papieru w rękę utrzymaną. Przed tym jednym człowiekiem uciekała, bojąc się go. Pamięta — pisała do niego — jak niegdyś przed wiekami w dawnych śmiesznych czasach pisywano: „Gdybym nie miała tego całego życia za sobą, gdybym całując cię, mogła powiedzieć, że jesteś pierwszym, którego całuję...”.

Zerwała się nagle i wrzuciwszy bez ładu wszystkie papiery na powrót do szkatułki, zatrzasnęła ją nerwowym ruchem. Chodziła jakiś czas szybko po pokoju, błyskając oczyma spod opuszczonych brwi. Piękne drobne usta wykrzywiły jej się w uśmiechu, który miał być szyderczy, ale wznosił drżące kąty jej warg, jak gdyby się miała rozpłakać.

Sięgnęła ręką po szklankę i czekającą od chwil paru butelkę szampana. Nalała po brzegi i wychyliła duszkiem perlisty płyn, z lekka tylko zamrożony i spływający jej białą pianą po palcach.

Naraz zapragnęła powietrza. Skoczyła do windy, osobno dla jej użytku w ścianie umieszczonej, i kazała się jej wynieść na dach.

Ogród tu był na płaskim dachu olbrzymiego budynku, pełen palm karłowatych, krzewów dziwnych, wyszukanych kaktusów i kwiatów o silnym, duszącym zapachu. Przeszła szybko po ścieżkach, trzciniowymi wyłożonych matami, i stanęła przy okalającej platformę balustradzie.

Nocny, rzeźwy wiatr wiał od pustyni. Szeleściły w nim sucho palmy karłowate i drżały liście pergaminowe figowców. Stała, wciągając wiatr z rozkoszą rozdętymi nozdrzami. Pustynia była za nią ogromna, nieprzenikniona, dotąd pracowitej ręce ludzkiej bezmiarem swym urągająca; przed nią w dole olbrzymi zalew Nilowy, nad którym gdzieś od strony Arabii Szczęśliwej, od dalekiego Morza Czerwonego księżyc wschodził właśnie ognisty.

Woda poczęła się lśnić i błyskać srebrzystymi smugami, aż daleko, daleko zaczerniały na niej jakieś punkty, jak gdyby głazy i pnie z powodzi sterczące, i odrzynały się coraz wyraźniej od tarczy księżyca, pełniejszej z każdą chwilą... Zwaliska świątyni, niegdyś poświęconej Izydzie, na zatopionej od wieków wyspie.

Wzrok dziewczyny błędzący zatrzymał się na tych ruinach i powoli uśmiech tryumfu rozchylił jej piękne wargi.

## V

Hafid pogardzał w głębi duszy całą cywilizacją i wszystkimi jej wymysłami. Po staremu — na grzbiecie wielbłądów zwoził na targ daktyle, jak ojciec jego i praojciec, i prapradziad w zamierzchłych onych czasach, kiedy Pustyni Libijskiej nie przerzynały jeszcze koleje jedno- ani dwuszynowe i nie latały nad nią ptaki z płótna i metalu, noszące ludzi we wnętrzu.

On też był jedynym może człowiekiem na świecie, który się cieszył całym sercem, że mimo nadzwyczajnych wysiłków nie udało się zamierzone nawodnienie Sahary. Jemu wystarczała zupełnie rodzinna, palm daktylowych pełna oaza i targ ludny w mieście nad Nilem.

Ranek był wczesny. Z dwoma pomocnikami, siedząc na grzbiecie starego dromadera, prowadził osiem wielbłądów, uginających się prawie pod ciężarem juk — i cieszył się naprzód myślą, że oddawszy ładunek do magazynów, za otrzymany grosz upije się wraz z towarzyskami do nieprzytomności. Bo trunek to była jedyna rzecz, którą w cywilizacji cenił i poważał. Ałłach też na starość stał się wyrozumiałym i aby nie zniechęcać do reszty słabo wierzących weń zwolenników, nie zabraniał już im tak srodze rozpalających napojów.

Cieszył się więc Hafid w prostym sercu swoim, że na oazie rosną palmy i rodzą daktyle i że on ich owoc wozi do Aszuan, gdzie go ludzie chętnie kupują, a wreszcie, że Bóg jedyny a dobrotliwy pozwolił niewiernym psom szynki pobudować i przymyka oczy, gdy się wierni w nich upijają. Dumał właśnie nad tym prawdziwym a doskonałym porządkiem świata, gdy Azis, parobek jego, sprzykrzywszy sobie długie milczenie, ozwał się, ościeniem na zachód wskazując:

— Mówią ludzie, że wczoraj tam gdzieś za kolejną kamień spadł z nieba ogromny.

Hafid ruszył filozoficznie ramionami.

— Może się gwiazda która oberwała, a może jeden z tych sztucznych ptaków przeklętych skrzydła zwichnął...

Zaśmiał się szeroko.

— Bardzo przyjemnie jest patrzeć, gdy zlatuje człowiek, co niepotrzebnie latał po powietrzu, zamiast siedzieć na grzbiecie wielbłąda, którego nam Bóg dał dla wygody.

Ale jako że był człowiek praktyczny, obejrzał się i dodał z zajęciem:

— Czy nie wiesz, gdzie to upadło?

— Nie wiem. Mówią, że za kolejną, ale to może nieprawda.

— Może być prawda, może być nieprawda. W każdym razie, gdy będziemy wracać, trzeba poszukać. Kto zlatuje, ten się zabija, a kto się zabił, ten już nie potrzebuje pieniędzy, które mógł mieć przy sobie. Szkoda by była, gdyby to zabrał jaki zły człowiek.

Jechali znowu z godzinę w milczeniu. Słońce już żywo dopiekało, kiedy dojeżdżali do skał, poza którymi widać już było mury miasta nad Nilem. Hafid na skały patrzył z przyjaźnią: stanowiły one jedno ważne ogniwo w łańcuchu boskiej harmonii świata. Kiedy powracał pijany do domu, poczuciem obowiązku bohaterskim mimo znużenia gnany z powrotem, dromader jego, duszy obowiązkowej w sobie niemający, klękał tutaj w znanym miejscu i zrzucił pana w cień na skąpą trawkę pod skałą. W ten sposób Hafid nie miał sobie nic do wyrzucenia, a mógł się przespać i odpocząć.

Myślał właśnie o tym mądrym zrzędzeniu Opatrzności, kiedy wielbłądy naraz prychnąć zaczęły i wyciągać długie szyje ku popękanej skale z piasku sterczącej. Azis zaniepokoił się i wraz z drugim parobkiem, Selmą, poszedł zobaczyć, co by to tam być mogło. Za chwilę zaczęli wołać obaj na Hafida.

Naszli<sup>26</sup> oni wśród skał drżących z przestrchu przybyszów z Księżyca...

<sup>26</sup>najść — znaleźć, spotkać; tu: 3.os.lm cz. przesz.: *naszli*. [przypis edytorski]

Roda, otworzywszy oczy tego dnia, miał wrażenie, że dopiero przed chwilą był zasnął. Zdziwił się też niepomiernie, widząc, że słońce już weszło na horyzont i zaczyna dobrze dogrzewać. Po chwili dopiero przypomniał sobie, że jest na Ziemi i że tutaj taki zwyczaj. Towarzysz jego spał czujnie, zerwał się też zaraz na równe nogi, gdy tylko mistrz się poruszył.

— Co się stało? — spytał, przecierając oczy.

— Nic. Słońce świeci.

Wyszli obaj z kryjówki, zdziwieni jeszcze i tym, że noc przeminęła bez śniegu i mrozu. Okolice po dniu wydała się im nie mniej pustą i straszliwą, jak w mroku wieczornym. Przekonali się tylko, że Ziemia nie jest zgoła bujniejszej roślinności pozbawiona — o kilkadziesiąt kroków przed nimi chwiały się osamotnione drzewa dziwne o wysokich pniach z zieloną koroną liści ogromnych u góry. Natchnęło ich to pewną otuchą, że zdołają tu życie utrzymać, a tylko wspomnienie wczoraj widzianych okropnych potworów duszę im niepokojem zatruwało.

Ostrożnie, oglądając się za każdym krokiem, zaczęli się zbliżać ku drzewom. Po drodze, mijając załom skały, stanęli nowym, a niespodziewanym uderzeni widokiem. Przed nimi wznosiło się coś niby dom dla wielkoludów w gruz się rozsypujący. Patrzyli na kolumny niesłychanej grubości i na skały na nich spiętrzone, mające stanowić powałę<sup>27</sup>.

— Istoty, które tutaj mieszkały, musiały być znacznie większe od Zwycięzcy, może sześć, może dziesięć razy — mówił Mataret, zadzierając głowę do góry.

Roda założył ręce na plecach i przypatrywał się ruinom.

— To już bardzo dawno opuszczone i rozwalone — rzekł. — Patrz, jakieś krzewy kolczaste w szczelinach murów rosną...

— Rzeczywiście. A jednak, mistrzu, to dowód, że Ziemia nie jest pusta, jak nauczyłeś zawsze. Muszą tu być ludzie, choć pewnie ogromni. O, wizerunki jakieś na ścianach! Przecież to zupełnie ludzkie istoty. Wprawdzie niektóre z nich mają psie i jakieś ptasie głowy na karku...

Roda zagryzł usta niechętnie.

— Mój drogi — ozwał się po chwili — ja utrzymywałem zawsze, że ludzi nie ma teraz na Ziemi, ale mogli niegdyś być. O tym nic nie mówiłem. Owszem, jest wielkie prawdopodobieństwo, że dawniej było na Ziemi inaczej i nim stała się pustynią bezpłodną, ludzie po niej chodzili lub przynajmniej istoty do ludzi podobne. Teraz, jak widzisz, dawne ich domy są w ruinach; życie tutaj wszelkie wygasło i...

Urwał, zaniepokojony jakimś głosem, który od strony pustyni go doszedł. Zbliżyły się dziwne i przerażające istoty o czterech nogach i dwóch głowach, z których jedna na długiej szyi była na przodzie, druga — do człowieczej zgoła podobna — nad grzbietem zwierza sterczała.

— Uciekajmy! — krzyknął mędrzec i puścili się obaj pędem do kryjówki, w której noc spędzili. Tutaj, w suche liście palmowe zagrzebani, oczekiwali w śmiertelnym strachu, aż cudaczne potwory ich miną.

Nadzieja ta jednak zawiodła; zwierzyły ich wielbłądy i wkrótce parobcy Hafida ich wygrzebali, wołając na pana swojego w zdumieniu niesłychanym z powodu tego odkrycia.

Arab zbliżył się z wolna, pomocnicy bowiem jego byli czarni i nie wypadało, aby na ich głos zbyt dużą skwapliwość okazywał — i zobaczył rzecz zaiste dziwną.

Obok rozwalonej komyszy<sup>28</sup> z kamienia i ziela suchego stały dwie figurki o kształtach człowieczych, ale śmiesznie małe i niesłychanie wystraszone. Jeden z tych człowieczków łysy był i miał wyłupiaste oczy, drugi kręcił zbyt wielką na wzrost swój głowę o rozwihrzonej czuprynie, mamrocząc coś i mamląc, czego żaden porządny człowiek nie byłby zdolny zrozumieć. Parobcy wyciągali ku nim kije z udaną groźbą, śmiejąc się do rozpuku z ich obłądnego strachu.

— Co to jest? — zapytał Hafid.

— Nie wiadomo. Może małpy uczone, a może ludzie. Mówią coś.

— Gdzieżby zaś ludzie tak wyglądali! Przecież to do niczego niepodobne.

<sup>27</sup>powala — sufit; sklepienie [przypis edytorski]

<sup>28</sup>komysz — krzak, zarośle, zwłaszcza na miejscach podmokłych. [przypis edytorski]

Zsunął się z grzbietu dromadera i ująwszy rozczochranego człowieczka za kark, podniósł go na wysokość twarzy, aby mu się przyjrzeć dokładnie. Człowieczek zaczął wrzeszczeć i wierzgać nogami, co parobków doprowadziło znowu do szalonego śmiechu.

— Zabierzemy to ze sobą do miasta czy co?

— Może kto kupi...

Hafid potrząsnął głową.

— Nie warto sprzedawać. Więcej można zarobić, pokazując w klatce albo na sznurku. Co to robiło, gdyście przyszli?

— Leżeli obaj ukryci — odparł Azis. — Ledwie ich mogłem wyciągnąć. Przestraszyli się bardzo i patrzyli to na mnie, to na wielbłądy, bełkocąc coś do siebie.

Łysy człowieczek tymczasem wdrapał się na kamień, aby być wyższym, i zaczął coś gadać, ruszając rękoma. Patrzyli wszyscy trzej na niego, a gdy skończył, wybuchnęli niepohamowanym śmiechem w przekonaniu, że jest to jedna ze sztuk, jakiej karzełka gdzieś w cyrku wyuczono.

— A może to głodne? — zauważył Hafid.

Selma wyjął z troków garść daktyłów i podał je karzełkom na dłoni. Patrzyli obaj nieufnie, nie śmiejąc wyciągnąć ręki po owoc. Wtedy parobek, litościwym sercem uniesiony, pochwyił włochatego karlika za kark lewą dłonią, a prawą usiłował mu wepchnąć owoc do gęby. W tej chwili jednak zaklął straszliwie. Człowieczek chwycił go zębami za palec.

— To kąsa — rzekł Azis i oddarłszy kawałek brudnej szmaty od burnusa<sup>29</sup>, przewiązał nią mocno głowę niebezpiecznego potworka. Po czym umocowali ich obu łykiem na jucnych wielbłądach i ruszyli ku miastu z niespodziewaną zdobyczą.

— Trzeba będzie naprzód kupić klatkę — mówił Hafid po drodze. — Tak ich pokazywać nie można. Jeszcze by uciekli.

Pomyślał trochę i dodał:

— Nie trzeba też, aby ich ludzie przedwcześnie na targu za darmo widzieli. Najlepiej będzie, jeśli ich tymczasem w worki schowamy.

Jakoż nim dojechali do miasta, narzucił broniącym się karlikom worki palmowe na głowy i rzetelnie ich w nich zawiązał.

Przez dzień, kupią<sup>30</sup> zajęty, zapomniał był prawie o nich, zwłaszcza że to był dzień, gdzie było się czemu podziwować. Podobno śpiewaczka jakaś sławna miała tego wieczora dawać przedstawienie i ludu nazjeżdżało się mnóstwo ze wszystkich stron świata. Z każdego pociągu, co się na dworcu zatrzymywał, wysypywały się tłumy, a samoloty spadały na ziemię ciągle całymi stadami jak jesienią jaskółki z europejskich krajów lecące. Dużo było strojnych pań i panów, którzy nie mieli snadź<sup>31</sup> nic lepszego do roboty, jak przebierać się kilkakrotnie na dzień i pokazywać się ludziom w coraz innym stroju, jak gdyby w maskaradę się bawili.

Hafid, zładowawszy z wielbłądów daktyle, włóczył się, patrzył i cudował<sup>32</sup>. Nad wieczorem dopiero w szynku przypomniał sobie o znalezionych za dnia potworkach. Zaczął wołać na parobków, aby mu je przynieśli. Pobiegnął tedy Selma do wielbłądów po zdobycz, a Azis tymczasem ją opowiadać, jak mu się z wielkim trudem udało zyskać tyle u dziwostworów zaufania, że je mógł nakarmić mlekiem kokosowego orzecha.

— Oni nie są głupi — rzekł — i mają imiona! Wskazywali kolejno na siebie i potwarzali ciągle: „Roda, Mataret”!

— Aha! Tak ich pewno wołali w cyrku, skąd snadź<sup>33</sup> uciekli. To jakieś bardzo uczone małpy — zauważył Hafid.

I licząc naprzód na wielką ilość pieniędzy, jakie za pokazywanie ich zbierze, kazał sobie podać pełną flaszkę wódki. Uczuł też szcudrość w zacnym sercu i zawołał do osobnej izby kilku przyjaciół, aby ich poczęstować i na początek za darmo pokazać krasnoludków, których Selma tymczasem był przywiódł.

<sup>29</sup>burnus — rodzaj wierzchniego okrycia z kapturem, bez rękawów, najczęściej wełnianego, noszonego przez Arabów. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>kupia — czynności kupieckie; kupiectwo; handel. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>snadź — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>cudować się — dziwić się. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>snadź — widocznie, prawdopodobnie, najwyraźniej. [przypis edytorski]



Uprzątnięto stół i postawiono ich na środku. Poganiacze wielbłądów, oślarze, przewoźnicy i drażkarze przyglądali im się z zajęciem, obracając rękoma na wszystkie strony i dotykając brudnymi palcami skóry na twarzy, czy podobna do człowieczej. Hafid jął się popisywać ich zmyślnością.

— Roda, Mataret — mówił, wskazując na nich palcami.

Przyświadczały skinieniem głowy żywo i z widocznym ukontentowaniem, że ich narzeczcie zrozumiano. Więc różni różnie im teraz zadawali pytania, nie otrzymując naturalnie żadnej dającej się wyrozumieć odpowiedzi. Usiłowano poradzić sobie znakami i ruchami rąk, aby się dowiedzieć, skąd przybyli. Po jakimś czasie karzełki pojęły widocznie, o co pytającym chodzi, a jeden z nich, Roda, nachyliwszy się ku oknu, przez które właśnie Księżyc do izby zaglądał, zaczął nań wskazywać uporczywie, mówiąc przy tym jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Spadli z Księżycy — rzucił w formie dowcipu Hafid. Odpowiedziano mu chórem śmiechu. Więc dla zabawy pokazywano teraz malcom Księżyc i wskazywano ruchami rąk, że spadli z niego. I za każdym razem, gdy ci przyświadczały głowami, wybuchał wśród obecnych, a nieco już pijanych, śmiech nieposkromiony i długi.

Wreszcie ktoś podsunął łyskowi, który się wabił Mataret, szklankę z wódką. Ten, spragniony widocznie, pociągnął nieopatrznie spory łyk i począł się ku ogólnej ucieście krztusić straszliwie. Wtedy drugi człowieczek zapłonął gniewem i wymyślał coś, tupiąc nogą w stół, a wywijając rękoma. Było to tak zabawne, że kiedy skończył i ochłonął nieco, jeden z obecnych, przewoźnik, wziął pióro z indyka i drażnił nim po nosie krasnoludka, aby go do nowego wybuchu pobudzić.

Mataret tymczasem, wódką zatruty, leżał na stole i jęczał, trzymając się oburącz za łysą głowę.

## VI

Łagodnie, wolno jak ptak, który się waży na szerokich skrzydłach spływając ku ziemi, opuszczał się spod nieba biały samolot na cichy w wieczornej godzinie zalew Nilowy. Jacek leciał sam, bez pilota. Powstrzymał już przed chwilą wirującą śrubę powietrzną — i ślizgał się teraz na skrzydłach rozpostartych jak olbrzymi latawiec, lekko z tchnieniem wiatru na boki się kołysząc. Daleko przed nim, w stronie gdzie była niegdyś święta wyspa File, biła łuna od rozjarzonych tysiącami świateł ruin.

W chwili kiedy już prawie wody dotykał, odjął ręce od sternicy i nagłym ruchem szarpnął dwie po bokach znajdujące się dźwignie. Pod spodem samolotu rozpięło się czółno płócienne i uderzyło ostrą piersią o falę, rozpryskującą się w krople pełne srebrnego Księżycy.

Teraz ruchem dwóch dźwigni znowu wywinął Jacek skrzydła białe ku górze, tak że utworzyły one dwa na krzyż złożone żagle, jak u łodzi owych, co pod Alpami po Lemańskim pływają Jeziorze.

Wiatr szedł słodki gdzieś od strony Arabii i drobna łyskliwa fala szła za nim po wodzie. On dał się nieść fali i wiatrowi, słuchając szelestu miążkiego rozbryzgiwanych przodem łódki kropel. Dopiero gdy brzeg przed nim bliski zamajaczył, ocknął się z zamyślenia i żaglami począł chwytac powiew, zwracając dziób ku widnym ruinom w oddali.

Przez czas pewien mknął samotnie w blasku Księżycy, ale w miarę jak się zbliżał ku dawnej świątyni Izydy, spotykał łodzie coraz liczniejsze, różnorakie, aż w końcu dostał się w tłum, spod którego wody prawie nie było widać. Dążyli wszyscy w stronę zwalisk, prześcigając się wzajemnie i cisnąc; tu i ówdzie rozlegały się kłątwy przewoźników lub krzyk kobiet, przestraszonych nachyleniem się wątłego statku, z boku przypadkiem wiosłem uderzonego. Liczne łodzie motorowe, elektrycznością gnane, zaledwie mogły się poruszać w tym tłumie, torując sobie z trudem drogę błyszczącymi dziobami.

Jacek, zyskawszy szczęśliwie parę metrów wolnej przestrzeni, rozpostarł znów skrzydła samolotu i puścił w ruch śrubę powietrzną.

Lekko jak mewa, zrywająca się z toni do lotu, uniósł się w górę i zakołował wysoko ponad ciżbą ludzi stłoczonych. Błyszczały pod nim w dole różnymi światłami łodzie na szeroki zalew rzucone, jak garść ogników z ręki wysypana... Gdzie miejsca było nieco

więcej, toń powtarzała odbiciem ognie na łodziach płonące, rozrywając je drobną falą na żywe, rozedrgane, złote plamy wydłużone.

Świątynia Izydy gorzała światłem od wnętrza, jak gdyby słońce w niej schowano pod rozpiętymi na bezgłowych kolumnach purpurowymi zasłonami.

Przy resztkach pylonów u wejścia czuwały strażę, odbierające od przybyłych karty wstępu i oddające ich pod opiekę przewodnikom, którzy w zalanej wodą chramie<sup>34</sup> łodziom wskazywali miejsca. Jacek z góry rzucił w chustkę owinięty swój bilet i opadł skrzydlatym czółnem na wodę w pierwszym, nienakrytym przedsionku świątyni.

Kolumny potwornych rozmiarów sterczały tu z gładkiej toni połową ciała, pleśnią już na granicy zetknięcia się z wodą objęte, ale u góry błyszczące niezniszczalną krasą barw, co tyle już wieków przetrwała, że płacze się myśl, chcąc ją policzyć. U wejścia do szeregu dalszych naw gigantycznych, olbrzymim peplonem<sup>35</sup> z purpurowej materii teraz nakrytych i pełnych światła jarzącego, stali znowu na małych, przy dwóch pylonach nad wodą uczepionych balkonikach dozorczy, bacząc, by się kto w głąb bezprawnie nie wcisnął. Tutaj zwinął Jacek skrzydła łódki swej zupełnie i odjąwszy je, do boków przytroczył i płynął dalej w niepozornym czółenku, w które się zamienił jego samolot.

Świątynia była jak buda jarmarczna — pełna cywilizowanych i bogatych barbarzyńców ze wszystkich części świata na Ziemi. Pływała ta gawiedź w łódkach najrozmaitszych, w barkach, czółnach motorowych i w weneckich czarnych gondolach, snuła się po przyczepionych naprędce do ścian i między kolumnami zawieszonych bezczelnie metalowych galeriach, ocierając się łokciami o hieroglify stare i wizerunki bóstw przed kilkudziesięciu wiekami w kamieniu rzezane i zatopione częstokroć po kolana wodą, co wypę ich świętą zalała.

W niepozornym, podróżnym ubraniu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, mijał Jacek tych ludzi, dążąc w głąb między coraz gęstszym lasem kolumn rzeźbionych wieńcem sztucznych świateł elektrycznych u kapiteli owitych<sup>36</sup>.

W ostatniej sali lamp już nie było. Pod stropem, co się sprzed wieków ostał jeszcze, granitowymi złomami ciężąc na olbrzymich pąkach lotosu, kolumny kończących — pod ciężkim stropem kamiennym pływała jeno świetlista mgła niebieskawa, niby zamarzła i uwięziona błyskawica letnia, rozchodząca się na wszystkie strony od głowy olbrzymiego posągu tajemniczej bogini... Woda, płytka w tym miejscu na dawnej świątyni posadzce, przepojona była również falami światła błękitnego, zdając się być jakimś stawem z bajki, cysterną źródła zakłętego...

Stary posąg Izydy czerniał w tych blaskach nieruchomy, ogromny, z wzniesioną dłonią, z ustami w dziwnym półrozwarciu zastygłymi, na których, zda się, przed wiekami słowo tajemnicy niewypowiedziane zamarło i trwa przez wieki niepojęte.

A u stóp posągu na wielkim, sztucznie zrobionym liściu lotosu stała kobieta. Włos jasny nakryty miała, jak bogini egipska, chustą w pasy i uwieńczony tiarą o ptasiej głowie i słonecznym dysku z góry. Ramiona drobne owijała jej gaza jeno srebrzysta, biodra ściśnięte były osłoną sztywną i pasem, w pachwinach spiętym opalem ogromnym i bezcennym. A spod zasłony wysuwały się nogi białe, nagie, złotymi obręczami w kostkach ujęte, podobnie jak przeguby dłoni, w górę właśnie wzniesionych.

Jacek skłonił nagle głowę, widząc, jak patrzy na nią poządliwie tłum — i usta zacisnął.

Aza śpiewała, wtórując sobie ledwo dostrzegalnymi tanecznymi ruchami ramion i bioder<sup>37</sup>. Śpiewała dziwną, rytmiczną pieśń o bogach, których już nikt od dziesiątek wieków nie czcił.

O walce światła z ciemnościami, o mądrości najwyższej, w tajemnicę niezgłębianą okrytej, o Życiu i Śmierci.

Śpiewała o bohaterach i o krwi, i o miłości...

Muzyka dostrojona, ukryta, zda się, gdzieś z toni przeświecionej bijąca, szła za jej głosem posłuszna, drżąca, jakby w świętym lęku, gdy o tajemnicy Powrotu mówiła —

<sup>34</sup>chram — świątynia. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>peplon — tu: długi i szeroki, prostokątny pas materiału; w starożytnej Grecji materiał taki, spinany kłamrą, stanowił kobiece okrycie wierzchnie, także: *peplum*, *peplos*. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>owity — owinięty. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>biódr — dziś forma D.lm: bioder. [przypis edytorski]

burzą dźwięków ją wspierając, kiedy obwoływała cześć zwycięskich światła bohaterów — szepcząc cicho, gorąco, obłądnie, gdy usta jej rozkosz i szczęście miłości sławiły.

Śpiewała w na w pół rozwalonej, wodą podmytej świątyni Izydy, wobec tłumu błyszczącego, co w bogów nie wierzył ani w bohaterów, w życie ni w śmierć, ani miłość... A przyszedł tutaj jeno dlatego, że rzecz to była niesłychana i niebywała, aby w chramie starym koncert dawano, i że występowała w nim Aza, sławna po całej Ziemi — i jeszcze, że za wstęp trzeba było zapłacić sumę, która by biedakowi na rok życia starczyła...

Niewielu tu było takich, co by istotnie przybyli dla wielkiej sztuki artystki i napawali się teraz głosem jej cudnym a wyrazistym, stwarzającym na powrót czarem przedziwnym to wszystko wielkie, co było i przeszło, i już się niemal zapomniało. Patrzano też przeważnie na jej twarz tylko, na kolana nagie i ramiona, liczone wartość niewielu, ale najprzedniejszych klejnotów, które miała na sobie, i oczekiwano niecierpliwie, kiedy hymny hieratyczne skończywszy, tańczyć pocznie przed oczyma tłumu.

Powoli jednak cud się poczył dokonywać. Artystka chwyciła głosem dusze ludzkie, gdzieś w głębi trzew<sup>38</sup> ukryte, i budziła je... Otwierały oczy nieporadne, zdumione własną istnością i falować zaczynały w rytm własnego śpiewu. Ten i ów ręce cisnął do piersi i szeroko, jakby raz pierwszy rozwartymi oczyma, łowił przypomnienia dziwne, od pokoleń w najskrytszych zwojach jego mózgu śpiące — i śnił pod przemocą artystki na krótką przelotną chwilę, iż rzeczywiście bóstwu jest oddany i gotów za światło do walki wzniesić ramię i iść, gdzie usta te go zawołają, królewskie, uwodzjące, mocne... Łowiono tedy uchem każdy dźwięk jej głosu, śledzono zapamiętałymi oczyma każdy ruch jej ciała prawie nagiego. W krótkich przerwach, kiedy śpiewać przestawała, krążąc jeno w poświętnym tańcu i kołysząc się rytmem, który jej z głębi gdzieś ginąca muzyka rzucała — w takich chwilach cisza tak doskonała zalegała dawną świątynię, że słyhać było plusk fali ledwo dostrzegalnej, co podmywała niestrudzenie od wieków potężne kolumny i wygryzała tajemne znaki, ryte w granicie...

Jacek wznosił oczy powoli. Światło przechodziło teraz nieznacznie z błękitu przez fiolet w blask płomiennie<sup>39</sup> krwawy, smugi jasne, pod stropem błędzące, zgasły nie wiadomo kiedy — paliła się tylko woda, jak morze chłodnego płomienia, i czerwone jakieś zastygłe błyskawice szły spoza posągu Izydy, który poczerniał na tym tle jeszcze więcej i zda się, urósł jeszcze, wyolbrzymiał... Nie widać już było w cieniu tajemniczego uśmiechu dziwnych ust bogini — ręka tylko, wzniesiona na wysokość twarzy, nieodmiennie subtelnym, dyskretnym ruchem na próżno nakazywała milczenie, czy też znak jakiś dawała, niepojęty od wieków, niezrozumiany...

Zdawało się Jackowi przez chwilę, że na ciemnej twarzy widzi oczy boskie, żywe, na siebie zwrócone... I nie było w nich gniewu ani oburzenia na tych ludzi, co urządzają sobie zabawę w miejscu poświęconym niegdyś najgłębszym tajemnicom, nie było żalu za dawnym uwielbieniem ni smutku, że chram zbezczeszczony w gruz się rozpada, jeno<sup>40</sup> dziwne, tysiąclecia już trwające oczekiwanie, jak gdyby człowiek, co posłucha gestu bogini, nakazującego milczenie, i z ust jej przyjmie zagadkę najwyższą, miał przyjść dopiero... Jutro, za wiek czy za tysiąc lat...

Izisz na wysokim tronie nie widzi zniszczenia naokół się rozpościerającego, nie widzi tłumu, nie słyszy gwaru, krzyków, śpiewu, jak ongi<sup>41</sup> snadź<sup>42</sup> nie widziała kornych pątników ani kapłanów, nie słyszała modlitw, próśb, uwielbień. Patrzy w dal i ręką nakazuje milczenie, i czeka...

Czy idzie? Czy idzie już ten oczekiwany?

Czy przyjdzie kiedykolwiek?

Naraz światła jaskrawe wraz z wracającym śpiewem uderzyły Jacka. Aza śpiewała teraz o straconym, boskim kochanku Hatorze, wydając głosem i tańca zapamiętałymi ruchami miłości rozkosz i upojenie, żądzę, tęsknotę i rozpacz...

Dreszcz przebiegł Jacka; odwrócił głowę, czując, że jakimś wstydem niepojętym czoło mu się rumieni. Chciał sobie uprzytomnić uśmiech i widziane przed chwilą w my-

<sup>38</sup>trzew — dziś popr. forma D.: trzewi. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>płomiennie — dziś: płomiennie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ongi (daw.) — niegdyś, dawniej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>snadź — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

ślach oczy bogini, ale zamiast tego mającyl mu uporczywie w wyobraźni złapany żrenicą w przelocie ruch piersi tancerki i usta jej drobne, dziecięce, na wpół rozwarłe, wilgotne... Gorąca fala uderzyła mu do głowy; wzniosł powieki i wpatrzył się w nią wyzywająco, namiętnie, zapominając o wszystkim, o wszystkim...

A jej drżały ramiona białe i dreszcz ciała od stóp do głów przechodził, kiedy z ust, jakby żądzą nabrzmiałych i bolących jeszcze od pocałunków, mówiła o boskim Hatorze i o rozkoszy uścisku, i o unicestwiającym, płomiennym oddaniu... Pryszał czar wielki, który przed chwilą trzymał jeszcze ludzi w kole zaklętym. Dusze — na wpół z ciał wychylone, ukryły się rażno jak biedne zwierzątka leśne w dziuplach drzew: nie umiano już tego słuchać inaczej, jak lubieżnymi nerwami, wystygłą krew podniecającymi. Oczy powlekły się mgłą, usta obleśny uśmiech wykrzywił, przez gardła pożądliwe szło łaskotanie...

Teraz ten tłum zaś był panem — ona kupioną jego niewolnicą, co za pieniądze ramiona i łono obnaża i pod pozorem sztuki pozwala się kochać myślom lepkiem i obrzydłym, i pod pozorem sztuki tajemnicze wzruszeń swych na widok rzuca publiczny...

Jacek mimo woli wzniosł oczy na twarz bogini: niezmacona była, jak zawsze, dziwnie uśmiechnięta, oczekująca...

Naraz — chwila jedna ciszy głębokiej, i świątynia cała zatrzęsa się od grzmotu oklasków, ze wszech stron się zrywających, jak nawałnica. Woda pod rozchwianymi łodziami pluskać jęła i falować.

Aza skończyła śpiew i oparła się wyczerpana o kolana posągu Izydy. Dwie służące płaszcz na nią zarzuciły białe, a ona nie cofała się jeszcze, dziękując oczyma i ustami<sup>43</sup> za oklaski obłędne, szalone, które ciągle, bez przerwy wznawiając się, biły. Ludzie krzyczeli jej imię bez końca, rzucając kwiaty pod jej nogi, tak że wkrótce stała jak gdyby w pływającym ogrodzie — władna, tryumfująca. Nad nią wznosiła się ciągle ręka bogini, gestem tajemnym próżno ciszę nakazująca...

W pewnej chwili Aza, jakby przypomniała sobie o czymś, poczęła szukać wśród tłumy oczyma — i nagle spojrzenie jej skrzyżowało się ze wzrokiem Jacka. Uśmiech zaigrał jej na ustach przelotny; zwróciła oczy w inną stronę. Jacek widział, jak zbliżył się ku niej znany mu pan Benedykt, włóczący się za nią wszędzie po świecie. Mówiła coś doń, a potem rozmawiała jeszcze z innymi, co się wokół cisnęli — uśmiechnięta, zalotna razem<sup>44</sup> i królewska. Znać było, że upewniwszy się o jego obecności, umyślnie unika teraz jego wzroku...

Wpłynął między olbrzymie kolumny i przemykał się między nimi ku wyjściu. Gnębił go jakiś wstyd — drażniły go spojrzenia ludzi zdumionych, że ktoś opuszcza teatr właśnie teraz, kiedy Aza, skończywszy pierwszy numer programu, ma odtwarzać następnie postać Salambo, kreację swoją najslawniejszą, w której wykonuje naga taniec z węzami i drugi ze świętą zasłoną bogini...

Duszno mu było w ogromnej hali i ciasno. Chciał co prędzej wydostać się na przestwór, zobaczyć gwiazdy i roztocz wody, Księżycem jeno posrebrzoną.

Ścisk przed świątynią już ustał. Część łódek była wewnątrz, inne, nie znalazłszy miejsca, powróciły do miasta. Czekają tylko kilka parowców na tych, co w świątyni na galeriach się pomieścili. Jacek minął je i z wolna zwrócił się ku brzegowi. Nie chciało mu się skrzydeł rozpinać ani puszczać w ruch motoru, płynął więc z lekkim wiatrem od Arabii wiejącym, kołysany drobną, cicho pluszczącą falą.

Niedaleko brzegu zdawało mu się, że ktoś zawołał nań po imieniu. Obejrzał się zdumiony w tę stronę — pusto tam było i cicho, od miasta daleko, jeno w Księżycu trzy palmy wyniosłe rysowały na niebie smukłe swe kibicie. Już miał dalej popłynąć, gdy znów ów głos wołający go usłyszał, czy uczył raczej...

Przybił do brzegu i wyskoczył na ląd. Pod palmami siedział człowieczek na wpół nagi, bo burnusem jeno zniszczonym odziany, z gołą głową, której długie czarne włosy na barki mu spadały. Trwał nieruchomy, z oczyma w gwiazdy zapatrzonymi, z zaplecionymi na piersiach rękoma.

Jacek nachylił się i spojrział mu w twarz.

— Nyanatiloka!

<sup>43</sup>oczyma i usty — dziś forma N.Im: oczyma i ustami. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>razem — tu: zarazem, jednocześnie. [przypis edytorski]

Dziwny człowiek odwrócił z wolna głowę i uśmiechnął się przyjaźnie, nie okazując zdziwienia.

— Tak. To ja.

— Co tutaj robisz? Skąd się bierzesz? — wołał Jacek.

— Jestem. A ty?

Młody uczony nie odparł nic — czy nie chciał odpowiedzieć... Po chwili dopiero zagadnął znowu:

— Skąd wiesz, że ja tu jestem?

— Nie wiedziałem.

— Wołałeś na mnie. Dwukrotnie.

— Nie wołałem. Myślałem tylko o tobie w tej chwili.

— Słyszałem twój głos.

— Myśl moją słyszałeś.

— To jednak dziwne — szepnął Jacek.

Hindus uśmiechnął się.

— Czy więcej dziwne niż wszystko, co nas otacza? — rzekł.

Jacek usiadł w milczeniu na chłodnym piasku. Buddysta nie patrzył nań, ale on miał wrażenie mimo to, że go widzi, więcej nawet, że przegląda na wskroś jego myśli. Było to uczucie aż gnębiące. Poznał był niedawno tego niepojętego człowieka w jednej ze swoich częstych wędrówek i on, który posiadał całą wiedzę współczesną, on, który miał w rękach moc, jak mało kto na świecie, i z samotnej wieżycy swego ducha z pogardą mimowolną na ludzki tłum poglądał, czuł się dziwnie onieśmielonym w obecności tego wtajemniczonego pustelnika o duszy przepaścistej a prostej na pozór jak dusza dziecka. Ale równocześnie pociągało go coś ku niemu nieprzeparcie...

Od czasu pierwszego poznania spotykał go często i w sposób zgoła niewytłumaczony w różnych stronach świata. I dzisiaj to dziwne spotkanie nad Nilem...

Nyanatiloka uśmiechnął się i nie zwracając głowy, rzekł, jakby odczuł jego zdumienie:

— Przybyłeś tutaj samolotem, jak widzę?

— Tak.

— Dlaczego przybyłeś?

— Bo chciałem.

— Czemu się więc dziwisz, że ja tu jestem, gdy ja także mogłem chcieć?

— Tak, ale...

— Ja nie mam samolotu, myślisz?

— Tak.

— Czymże jest maszyna? Czyż nie środkiem tylko, za pomocą którego wola twoja wywołuje zmiany w położeniu twego ciała i w obrazach, które widzą twe oczy?

— Zapewne.

— Czy nie sądzisz, że wola może sprawić to samo bez sztucznych środków i zawiłych?

Uczony skłonił głowę.

— Wszystko, co wiem, kazałoby mi powiedzieć: „nie!”, a jednak, odkąd poznałem ciebie i tobie podobnych...

— Dlaczego nie chcesz sam spróbować siły swojej woli bezpośrednio?

— Nie wiem, jakie są jej granice.

— Nie ma granic.

Milczeli przez pewien czas obaj, patrząc na Księżyc płynący w górę i coraz jaśniejszy. Po chwili Jacek ozwał się znowu:

— Widziałem już dziwne rzeczy, które robiłeś. Przewracałeś oczyma czarę pełną wody i przechodziłeś przez drzwi zamknięte... Jeśli potęga woli nie ma granic, powiedz, czy mógłbyś tak samo ten Księżyc na niebie w inną pchnąć drogę lub przebyć bez ochrony i środków pomocniczych przestrzeń, która nas od niego dzieli?

— Tak — odpowiedział Hindus spokojnie, ze zwykłym na ustach uśmiechem.

— Więc czemu tego nie robisz?

Nyanatiloka zamiast odpowiedzi zapytał Jacka z kolei:

— Nad czym pracujesz teraz?

Uczony ściągnął brwi.

— Mam w swej pracowni wynalazek przedziwny i straszny. Zabijam to skupienie sił, które nazywają materią. Znalazłem prąd, który przepuszczany przez jakiegokolwiek ciało rozluźnia jego atomy na pierwotne ich części składowe i unicestwia je po prostu...

— Robiłeś próby?

— Tak. Z niesłychanie drobnymi cząstkami miligrama. Taki pyłek, rozluźniając się, powoduje wybuch, jak garść spalonego dynamitu...

— Ale z tą samą łatwością mógłbyś zmusić do rozluźnienia się większe masy? Wysadzić i unicestwić dom, miasto, łąd?

— Tak. To jest przedziwne właśnie, że z tą samą zupełnie łatwością. Dość by mi było przepuścić prąd ów...

— Dlaczego tego nie robisz?

Jacek powstał i przechadzał się jakiś czas pod palmami.

— Pytaniem mi na pytanie odpowiadasz, ale to nie jest to samo — rzekł. — Ja szkodę bym tym sprowadził, zniszczenie...

— A ja — odparł Nyanatiloka — nie sprowadziłbym zamieszania we wszechświecie, który snadź<sup>45</sup> musi być takim, jak jest, gdybym rzucał gwiazdy na inne drogi?

— Wiem ja — ozwał się znowu po chwili — wy się śmiejecie z wyzwolonych, że robią jeno sztuczki drobne i zabawne... Nie przecz! Jeśli ty się nie śmiejesz, to śmieje się wielu innych uczonych zarówno z tego, jak i z ćwiczeń naszych w ruchach i oddychaniu, z mudnych i długich a dziecinnych na pozór... A jednak trzeba zapanować nad sobą, trzeba się dowiedzieć o woli swojej. Te ćwiczenia, te posty, to zaparcie się i osamotnienie wiodą właśnie do tego. A gdy wola się już oswobodziła i moc swą skupiać umie, czyż nie wszystko jedno, w czym się objawia?

— Sądzę, że nie. Moglibyście działać na pożytek...

— Czyj? Tylko człowiek sam na swój pożytek działać może. Pożytkiem człowieka jest oczyszczenie duszy. Wola wyzwolona innego pożytku nie widzi ani nie dąży ku innemu celowi. Jakże chcesz, abym sprawiał rzeczy, które mi są obojętne i może wklepałyby mnie na powrót w grube formy życia, z których się właśnie wybiłem?

— Wszystko jest dziwne, co nas otacza — rzekł Jacek po pewnym czasie — dziwniejsze, niżby się śnić nawet mogło ludziom w głąb niepatrzącym. A jednak mam wrażenie, że najdziwniejsze ze wszystkiego, o czym wiem, są właśnie te rzeczy, które ty czynisz.

— Dlaczego?

— Nie wiem, jak je czynisz.

— A wiesz, w jaki sposób poruszasz ręką lub co się dzieje, gdy kamień z dłoni upuszczony spada na ziemię? Zbyt mądrym jesteś, abyś mi odpowiedział słowem nic nieznanym, które nową niewiadomość w sobie kryje.

Młody uczoney milczał zadumany, a Hindus prawił tymczasem dalej.

— Wytłumacz mi, jak to się dzieje, że wola twoja podnosi powiekę twego oka, a ja ci wytłumaczę, jak gwiazdy wolą poruszać. Równy cud i równa tajemnica jest obojga. Wola jest większa niżli wiadomość, ale ciało jest poddana, a to są jej zwykłe granice. Musi się odważyć wyjść poza ciało, musi nie chcieć niczego dla ciała, a wtedy bytem całym zawładnie, bo już nie będzie dla niej różnicy między „ja” a „nie ja”.

— I wtedy nie ma granic?

— Nie może ich być. Są granice dla ruchów, dla pożądań, dla poznania wreszcie, dla woli ich być nie może, bo w samym zaczątku swoim przez ten sam fakt, że stoi nad ciałem, stoi nad formą wszelką i wszelkim bytowaniem... Wszak to wasz poeta przed wiekami powiedział:

„Czuję, że gdybym mą wolę  
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,  
Może bym sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił!”

I miał słuszność. Jeno ten wyraz „może” był niepotrzebny. To było wątpienie i dlatego upadł.

Jacek patrzył nań zdumiony.

<sup>45</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Skąd ty znasz naszych poetów?

Pustelnik milczał przez pewien czas.

— Nie zawsze byłem „bikhu” jak teraz — rzekł wreszcie z pewnym wahaniem.

— Ty nie jesteś Hindusem z krwi?

— Nie.

— A imię twoje?

— Przyjąłem je później, Nyanatiloka, Trójświatowiedny, gdym poznał tajemnicę trzech światów: materii, formy i ducha...

Zamilkł — i Jacek nie pytał już o nic, widząc, że pustelnik niechętnie odpowiada. Usiadł był znowu na trawie pod pnem palmowym i patrzył po toni, kędy w oddali błyskały nagle światelka łodzi i jarzyła się między olbrzymimi pylonami brama świątyni, z dala do czeluści gorejącego pieca podobna...

Naraz — jakby się ocknął z zadumania, wznosił głowę i spojrzał bystro w oczy Trójświatowiednemu.

— Dlaczego ty mnie szukasz? — zagadnął zniechęcony.

Bikhu zwrócił nań z wolna jasne, szeroko rozwarte oczy.

— Żal mi cię — rzekł. — Czysty jesteś, a z trzęsawiska materii wyzwolić się możesz, choć wiesz już sam, że jest ona złudzeniem i mniej nawet niż wyrazem tylko.

— Cóż mi ty pomożesz... — szepnął Jacek, głowę spuszczać.

— Czyham na chwilę, kiedy zapragniesz iść ze mną w puszcę...

Jacek miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili zajął go ruch na wodzie i z dala dochodzące głosy. Zaroily się światelka i zakotłowały przed bramą starej świątyni, i powoli układały się w długi łańcuch ciągnący ku brzegowi — do miasta.

Okrzyki były w cichym nocnym powietrzu, nawoływanie przewoźników i śmiechy jakieś kobiece, toczące się jak perły po szklanej tafli sztucznego jeziora. Przedstawienie snadź było skończone.

Jacek zwrócił się do buddysty żywo, nie mogąc ukryć nerwowego pomieszenia.

— Nie, na puszcę... nie pójdę — rzekł — ale chciałem cię prosić, abyś mnie odwiedził w Warszawie.

Nyanatiloka cofnął się był o krok i patrzył nań z łagodnym uśmiechem w oczach.

— Przyjdę.

— Obawiam się tylko — uśmiechnął się Jacek — że obco ci będzie, przywykłem do samotności, słyszeć gwar życia...

— Nie. To obojętne. Dzisiaj już potrafię samotnym być w tłumie, tak jak ty nie zdołasz jeszcze być samotnym nawet wtedy, gdy jesteś sam.

Mówiąc to, skinął głową z lekka i zgubił się w cieniu palm na wybrzeżu.

Orszak tryumfalny Azy zbliżał się coraz bardziej; Jackowi zdało się nawet, że głos jej słyszy srebrzysty.

## VII

Klatka, na grzbiecie osła umieszczona, była wprawdzie dość obszerna jak na dwóch ludzi tego wzrostu, ale siedzieć w niej nie było na czym. Były tam dwie huśtawki, u górnej kraty uwieszone, ale zarówno Roda, jak i Mataret uważali za rzecz nieprzystojną korzystać z tego śmiesznego urządzenia.

Chwiejny chód osła nie pozwolił im zaś stać, siadali więc z konieczności na dnie palmową wyłożonym matą, unikając o ile możliwości wzajem swego wzroku.

Wstyd i rozpacz odbierały im wprost ochotę do życia. Nie wiedzieli zgoła, co się z nimi dzieje. Złośliwi wielcy ludzie ziemscy uwięzili ich w klatce, jak nierozumne zwierzęta — ich, dumę niegdyś i ozdobę wielce czcigodnego Bractwa Prawdy na Księżycu, i obwożą ich teraz po ludnych placach nie wiadomo dlaczego i w jakim celu. Nadto dodano im trzeciego towarzysza, co do którego nie umieli sobie jasno zdać sprawy, czy jest zwierzęciem, czy też człowiekiem. Wzrostu był mniej więcej tego, co oni, twarzy cokolwiek ludzkiej, ale miał ciało włosem porośnięte i drugą parę rąk tam, gdzie zwykle bywają nogi.

Ten towarzysz czuł się zupełnie zadowolonym ze swego losu w klatce i zabrał nawet na wyłączną własność obie huśtawki, przeskakując ustawicznie z jednej na drugą. Roda próbował się z nim porozumieć, zrazu mową i na migi, on jednakowoż słów wysłuchał,

grymasy czyniąc nieprzystojne, a w końcu skoczył mędrcomi na kark i począł gwałtownie grzebać w jego rozwichrzonej czuprynie.

Uznali go tedy za istotę zwierzęcego rodzaju mimo pewnego do człowieka podobieństwa. To towarzystwo jednak jeszcze więcej ich upokarzało, zwłaszcza że zmuszeni byli, by nie cierpieć głodu, jeść z jednej misy z tym przedziwnym potworkiem.

Około południa nareszcie, po długim milczeniu, Mataret zagadnął mistrza, poglądając mu ukradkiem w oczy:

— I cóż? Ziemia jest zamieszкана?!

Roda pochylił głowę.

— Nie czas na kpiny. W każdym razie wszystkiemu ty jesteś winien, bo przez ciebie tutaj jesteśmy.

— Nie wiem... Gdybyś się ty nie był upierał przy swoim zdaniu, że Zwycięzca nie z Ziemi pochodzi...

— To jeszcze nie jest pewne — bąknął mistrz, aby resztki honoru salwować<sup>46</sup>.

Mataret roześmiał się gorzko.

— Mniejsza z tym — rzekł po chwili. — Omyliłeś się czy omyliliśmy się obaj, mniejsza z tym. Chwilami gotów jestem ja sam przypuszczać jeszcze, że chyba skądinąd Zwycięzca przybył na Księżyc, bo przecież jest człowiekiem rozumnym, a z tymi dogadać się nie można. Za co oni nas mają?

— Bo ja wiem?

— A ja sądzę, że się domyślam. Uważają nas po prostu za zwierzęta czy co... Wszak widzisz sam, jak się nam przyglądają.

Roda chodził po klatce na grzbiecie osła, rzeczywiście, jak mały lewek uwięziony, bujną grzywą potrząsając. Gniew, rozpacz, wstyd, oburzenie dławili go tak, że słowa nie mógł ze siebie wydobyć. A Mataret szydził, jak gdyby się znęcać chciał nad nim.

— Spróbuj skoczyć na huśtawkę — mówił — i wywin koziolka, jak ten zwierzak kosmaty; zobaczysz, jak się ci ludzie ucieszą! Wszak oni na to czekają. Jeśli jeszcze zaryczysz pięknie i język wystawisz, gotowi ci dać garść owoców, które by się naprawdę przydały, bo głodni jesteśmy. To bydlę czterorękie zjadło wszystko, co tu było.

Roda nagle przystanął.

— A wiesz ty, mnie się zdaje...

Urwał.

— Co takiego?

— Może oni nas... karzą? Może oni się domyślają, żeśmy wóz Zwycięzcy ukradli? Wszak mogli go znaleźć tam, w piasku...

Mataret zmarszczył brwi.

— Tak, to byłoby najgorsze. Wtedy nie mielibyśmy już nadziei...

— A przecież ty jesteś winien temu, jak zawsze — ty! Po co dawałeś tym ludziom do zrozumienia, żeśmy przybyli z Księżycą? Trzeba było udać...

— Co udać? Co?!

— O, Ziemskie Potęgi! — jęknął Roda, z dziecięcego jeszcze nawyku wzywając mocy, wśród ludu na Księżycu za boską uważanej — cóż my teraz pocniemy?

Mataret ruszył ramionami; rzeczywiście nie miał pojęcia, jak wyjść z tego nad wyraz okropnego położenia.

Stali obaj zadumani i zatroskani. Małpa, towarzysząca im w klatce, zbliżyła się także, starając się postawę ich naśladować. Ale ta nieruchomość dziwotworów znudziła któregoś z widzów, więc rzucił w nos Rodzie pestkę daktyla, a gdy to nie pomogło, począł go łaskotać kawałkiem trzciny i kluc przeważnie tam, gdzie małpy prawdziwe zwykle ogon miewają.

Hafid pozwalał na takie poufałości jedynie tym, którzy osobno za to płacili, a że tym razem był to chłopak, za grosz jeden mieszkańcom klatki się przypatrujący, więc wpadł w gniew i napastnika kawałkiem powroza przegonił.

W ogóle Arab nie był dzisiaj w dobrym humorze. Interes wprawdzie szedł doskonale i w pół dnia wróciły mu się nie tylko pieniądze na kupno klatki i wynajęcie osła wydane,

<sup>46</sup>salwować (z łac.) — ratować. [przypis edytorski]



ale nadto napchane miał dobrze obie kieszenie. Z tej strony tedy nie było powodu do zmartwień. Chodziło o co innego.

Hafid miał wrodzony i nieprzewyciężony wstręt do obcowania z władzami i w ogóle z istotami rodzaju ludzkiego, przedstawiającymi porządek publiczny, a niejasne przecucie mówiło mu, że wcześniej czy później zawezwą go i poczną rozpytywać, skąd przyszedł do posiadania krasnoludków i jakim prawem je w mieście pokazuje. O tym nie myślał był z góry, a teraz czuł już, że coś niedobrego się święci. Przyjaciel jego, przewoźnik, człek bardzo rozumny, pokręcił był głową dziś rano, gdy się on na targ wybierał, a policjant, stojący zwykle na rogu placu, coś nazbyt długo patrzył w jego stronę.

Ostatecznie więc Hafid chciał się pozbyć zdobyczy i kłopotu jak najprędzej, to znaczy sprzedać obu karlików, ale jak na złość kupiec się nie trafiał. W dzielnicy, po której się z kłatką włóczył, mieszkali ludzie sami nie mający do zbytku na swe potrzeby, a w sąsiedztwo wielkich i lśniących hoteli, gdzie przesiadują cudzoziemcy bogaci, Hafid jakoś nie śmiał się zapuszczać.

I tak namyślał się już, co zrobić, czy podarować komu tych małpoludzi, czy też wieczorem utopić ich w Nilu, bo przecież na oazę brać ich ze sobą zgoła sensu nie było — kiedy zobaczył jakiegoś dostojnego pana o siwej głowie, co szedł z wolna na plac zadumany. Pan Benedykt to był, który umyślał kupić dla Azy, odjeżdżającej nazajutrz, wielki kosz owoców i wyrachował, że taniej mu to wypadnie, jeśli sam się na targ uda, nie dowierając służbie niesumiennej.

Hafid, zoczywszy go, zaczął wołać we wszystkich nieznanym mu językach, to znaczy wydawać dźwięki, które według jego przekonania oznaczały w tych mowach osoby godne i poważne. Pan Benedykt zauważył Araba i zbliżył się doń w myśli, że ma banany na sprzedaż.

Zdumiał się, zobaczywszy kłatkę z zamkniętymi w niej ludźmi i małpą.

— Co to jest? — zapytał.

Hafid zrobił tajemniczą minę.

— O, panie! To są... to są takie istoty...

— Jakie istoty?

— Bardzo rzadkie.

— Skąd to masz?

— O, panie! Gdybym ci zaczął opowiadać trudy, z jakimi walczyć musiałem dla zdobycia tych dwóch niby-ludzi, trawa by porosła świeża wokoło nas, a my byśmy się jeszcze z miejsca nie ruszyli, ty słuchając, ja mówiąc ciągle!

— Więc mów krótko: gdzie to żyje?

— O, panie! W sercu Sahary, w piaskach, po których samum się jeno przechadza, jest oaza pewna, ludzkim okiem dotąd niewykryta! Ja i dromader mój wierny byliśmy pierwszymi, którzy tam...

— Nie łzyj. Gdzie tych karlików znalazłeś?

— Panie, kup ich ode mnie.

— Czyś ty oszalał?

— Oni są naprawdę bardzo pocieszni. Mnóstwo sztuk umieją, tylko teraz zmęczeni są trochę, więc ich nie chcę pokazywać. Ten z dużymi włosami wywija koziołki na huśtawkach, a tamten łysy udaje, że umie czytać, naśladowując zupełnie człowieka! Aż się małpa śmieje, z którą są w wielkiej przyjaźni...

Panu Benedyktowi zaświtała jakaś myśl w głowie.

— Czy myślisz, że wyuczyliby się oni służby w pokoju?

— O, doskonale! U mnie w domu zamiatają izbę i babce mojej czyszczą buty, która wprowadzie boso chodzi, ale tylko przez upór, bo ja jej niczego nie żałuję. Stara jest...

— Nie pleć!

— O, panie! Będę milczał jak grób, jeśli ci się to spodoba.

— Do stołu usługiwać by umieli?

— Jak najlepszy lokaj w Old-Great-Cataract-Palace, który zresztą jest moim przyjacielem i może poświadczyć...

— Ile chcesz za tych małpoludzi?

— O, panie, gdybym trud mój chciał obliczyć...

— Mów, tylko prędko.

Hafid wymienił jakąś sumę i po półgodzinnym targu zgodził się odstąpić swą zdobycz za dziesiątą część żądanej początkowo ceny. Pan Benedykt zapłacił, a Arab schował przede wszystkim pieniądze w zanadrze, po czym, przygotowawszy dwie pętle z powroza, otworzył klatkę i zaczął łapać wystraszonych Księżyczan. Wreszcie udało mu się to. Uwiązał każdemu postronkowi do nogi i wysadziwszy ich na ziemię, wetknął końce w rękę pana Benedykta.

— Niech cię Bóg błogosławi, panie! — rzekł, zabierając się do odejścia.

— Czekaj! Czekaj! Przecież ja ich tak nie powiodę! Musisz mi ich zanieść do hotelu.

Hafid potrząsał głową.

— O tym nie było mowy, panie! Ja nie mam już czasu.

To mówiąc, popędził osła i zniknął w tłumie, rad, że się pozbył za dobry grosz niebezpiecznego nabytku.

Zgraja ulicznej gawiedzi otoczyła zakłopotanego pana Benedykta. Nie wiedział on, co począć. Nagabywano zewsząd karlików, zalęknionych znów niepewnością swego losu, i śmiano się, gdy ich nowy właściciel kijem groził napastnikom. Rozpoczęła się naokoło gonitwa, wśród której niepodobna się było naprzód posunąć.

Pan Benedykt po pewnym czasie, nie mogąc sobie dać rady, zaczął obiecywać obskakującym go wyrostkom dobry napiwek, byle mu tylko potworków do hotelu zawiedli. Ale ci — rozbawieni — udawali, że się ich boją, i uciekali z krzykiem, gdy tylko któremu z nich chciał wetknąć postronki w rękę.

Rad nierad, ruszył ku hotelowi, wiodąc sam owych człowieczków, odprowadzany tłumem dzieci, uliczników i podmiejskiej gawiedzi.

Po drodze wstąpił jeszcze do magazynu strojów dziecięcych i wybrałszy dla swych pupilów aksamitne spodniki i bluzki marynarskie ze złotymi galonami, kazał ich zaraz przestroić. Gdy się z tak ubranymi członkami Bractwa Prawdy pokazał znów na ulicy, radość pospólstwa, czekającego nań cierpliwie, nie miała po prostu granic. Szczególniej zachwycał ich Mataret z łysą czaszką, w szerokiej, białej kryzie na szyi. Bawili się również i Rodą, rzucającym obłąkane z wściekłości spojrzenia naokół.

I tak szli w tryumfie zgrają całą ku hotelowi, gdzie Aza mieszkała.

## VIII

Z przygasłym cygarem w zębach spoza rozłożonej szerokiej gazety poglądał Grabiec przez okna rozwarne na tłum przed kawiarnią. Niedopita filiżanka wystygłej już kawy czarnej stała przed nim; w ręce, niedbale wspartej na marmurowej płycie stołu, obracał bezmyślnie próżny kieliszek z koniaku. Wysokie czoło, w dużą łysinę na szczycie wspaniale sklepionej czaszki przechodzące, pokrywała mu od skroni sieć zmarszczek drobnych i ruchliwych — dolna część dziwnie zmiętej twarzy ginęła w długiej jasnej brodzie. Usta jeno błyszczały spod nikłych wąsów — pełne, młodzieńcze, niespokojne, kłójące się wyrazem z przygasłymi na pozór oczyma, w których zimnym stalowym błysku znać jednak było spod znużenia wyglądającą niepożytą moc i upartą — jak gdyby uśpioną.

Gazety nie czytał już od dawna, choć trzymał ją ciągle w rękę, może, by się od spojrzenia zasłonić lub przedzielić papierową ścianą od siedzącego przy stoliku towarzysza. Wzrok jego obojętny błędził po strojnych, śmiejących się damach, które w towarzystwie męczyzn otaczały małe stoliki przed kawiarnią rozstawione, lub szedł dalej na drugą stronę gazonami zasłanego placu, gdzie przed ogromnym i obrzydliwie ozdobnym pałacem gry ruch się już wszczywał popołudniowy. Po szerokich wschodach, kilkoma błyszczącymi mosiężnymi poręczami przedzielonych, szli po wzorzystym chodniku w górę, chyłkiem, drobni gracze z niewielkimi snadź sumkami w kieszeni, wybierający z umysłu<sup>47</sup> tę wczesną porę, kiedy ich jeszcze nie będzie krępowała obecność nababów, rzucających całe majątki na sukno zielone. Przez natłok spacerujących w dole przeciskali się też, nie patrząc na boki, szulerzy zawodowi, opętani, zaledwie śniadanie w pośpiechu przełknawszy, aby nie stracić czasu drogiego i tej chwili, która właśnie może szczęście przynieść. Kilka automobilów zatrzymało się przed portalem; między wysiadającymi Grabiec poznał niektórych stałych i poważnych bywalców domu gry, co przybywali wcześniej, aby im

<sup>47</sup> z *umysłu* — tu: umyślnie, specjalnie, z premedytacją. [przypis edytorski]

ulubionych miejsc nie zajęto. Lokaje stali na schodach znudzeni, rozmawiając półsłówkami ze sobą.

Co chwila wstawał też ktoś od stolików przed kawiarnią i odchodził w stronę szerokich wschodów. Czasem młodzieniec jakiś ozdobny i wymuskany, częściej emeryt dostojny lub która z dam, śledzących badawczymi oczyma tych, co mają obficie złotem nabite kieszenie. Te poławiaczki kruszcu już wygranego poznać można było na pierwszy rzut oka między szulerkami spieszącymi, aby szczęścia przy czarodziejskich stołach na własną rękę próbować: szły wolno, ociągając się, a chociaż zbyt wartość swoją targową znały i cenily, aby zachęcać łaskawym spojrzeniem przechodniów, to jednak wyraz ich twarzy i ruch cały mówiły niemylnie, że nie są płochliwą zwierzyną, zwłaszcza dla chcących i mogących złoto sypać myśliwców.

Grabiec wodził po przechodniach wzrokiem roztargnionym, który zdawał się jeno w przelocie dotykać głów ludzkich tak obojętnie, jakby to drzewa były lub toczące się z góry kamienie. Czasem na jedno mgnienie oka zatrzymywał wzrok na twarzy jakiejś niby senatorskiej, na jakiejś niby rycerskiej postaci — i wiódł okiem znowu dalej z wyrazem zawodu po tłumie kobiet strojnych i głośno się śmiejących, po tym mrowiu ludzkim, dziwnie ze siebie i z życia zadowolonym — jeno usta wyginały mu się ledwo dostrzegalnym, wzdargliwym uśmiechem, który z wolna tak do warg jego przyrastał, że w końcu wyglądał już jakby przyrodzone skrzywienie.

— Co pan sądzi o współczesnej literaturze?

Drgnął z lekka, jakby mu owad niemyły usiadł na twarzy. W zamyśleniu zapomniał był prawie zupełnie o nieproszonym towarzyszu, który siedział naprzeciw niego, po drugiej stronie stolika. Średniego wzrostu, pękaty, z obrzydliwą głową żydowską na cienkim karku, trzymał w piegowatych i brylantami ustrojonych palcach zeszyt jakiegoś tygodnika i nachylał się poufale przez stół, patrząc z godnością wylupiastymi i rybimi trochę oczyma spoza grubych szkielec, na śmiesznie garbatym, czerwonym nosie osadzonych. Rzadkie, tłuste włosy zaczesane miał na przód głowy z widocznym zamiarem ukrycia pod nimi pryszczów pokrywających łysinę — mięsiste i naprzód podane, choć wąskie wargi poruszały mu się jeszcze, jak gdyby powtarzał po cichu i przeżuwał dopiero wypowiedziane pytanie.

— Nic nie sądzę, panie Halsband — odparł Grabiec po chwili, zmuszając się do tonu towarzyskiej uprzejmości.

Żyd odrzucił tygodnik i gestykułując żywo rękoma, zaczął mówić głosem gardłowym z charakterystycznym akcentem, który przetrwał tysiąclecia.

— Pan zawsze dziwnie odpowiadasz! Zupełnie jakby pan chciał uniknąć rozmowy. A to przecież ja pana pytam, i jeśli pytam...

— Wiem, słyszę — uśmiechnął się Grabiec. — Ale to tak nieokreślone pytanie...

— Jakże mam mówić inaczej? Nie chodzi mi o jakiś poszczególny wypadek, ale o sąd pański ogólny, o syntezę pańskiego sądu. Właśnie czytam w tym „Przeglądzie”...

Uderzył dłonią w porzucony tygodnik.

Grabiec wzruszył z lekka ramionami.

— Nie znam się na tym — rzekł, patrząc z udanym zajęciem na ludzi rojących się przed kawiarnią.

Halsband zaperzył się.

— To wcale nie jest odpowiedź, to wykręt! Przecież pan sam jesteś literat. Jakże więc można...

— Nie, panie. To, że sam przypadkowo piszę, nie kwalifikuje mnie bynajmniej do wydawania sądów, zwłaszcza takich, które by panu mogły się na coś przydać. Raczej przeciwnie... Od gadania, od nicowania bez celu i końca tego, co zostało stworzone lub choćby tylko napisane, wy jesteście: redaktorowie<sup>48</sup> wielkich dzienników, krytycy, prężni historycy literatury i sztuki. Ja nie znam nawet tytułów dzieł, o których pan możecie rozprawiać godzinami.

— Zbyttnia skromność — uśmiechnął się Halsband zjadliwie. — Wiadomo powszechnie, że pan jesteście erudyta<sup>49</sup>. Ale pan się myli, sądząc, że ja potrzebuję pańskiego

<sup>48</sup>redaktorowie — dziś popr.: redaktorzy. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>erudyta — dziś popr.: erudyta. [przypis edytorski]

zdania. Jeśli pytam, to tylko dlatego, że mnie to zaciekawia, w jaką syntezę skupiają się pewne fakty w soczewce pańskiej indywidualności... Pan sam mnie zaciekawia — dodał z odcieniem pewnej łaskawości w głosie.

Grabiec nie słuchał. Zastanowiło go coś istotnie na placu przed kawiarnią, bo jął patrzeć pilno przez otwarte okno w stronę, gdzie przy stoliku siedział samotnie jakiś dziwny nad wyraz człowiek. Nie był on garbaty, a robił wrażenie ułomnego z powodu długich rąk i głowy olbrzymiej, głęboko wciśniętej w ramionach. Ubrany był starannie, ale nieumiejętnie; włosy jeżyły mu się niesfornie we wszystkich kierunkach na czaszce, z której zdjął był właśnie kapelusz. Postać cała byłaby śmieszna, gdyby nie oczy ogromne, otchłanne i tak niepojęcie przykuwające, że spojrzawszy na nie, zapominało się o reszcie niemal potwornego ciała.

— Kto to jest? — zapytał Grabiec żywo, przerywając potok słów swemu towarzyszowi.

— Czy pan nie wie przypadkiem?

Halsband spojrział niechętnie we wskazanym kierunku.

— Jak to, pan go nie zna? To Łacheć.

— Łacheć?!

— Tak jest, ten sam, co zrobił muzykę do pańskiego hymnu, który wczoraj Aza w świątyni Izdy śpiewała. On u mnie pracuje. Przygarnąłem go...

Grabiec, nie czekając dalej, rzucił pieniądze na stół i począł się zabierać do odejścia. Nim się jednak zdołał wśród tłumnie wchodzących gości kawiarnianych precyzyjnie ku drzwiom, dziwny człowiek, siedzący przy stole, zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Na próżno szukał go wśród ciżby oczyma. Zagubił się snadź wobec niskiego wzrostu między przechodniami, czy też zdążył już wejść do wnętrza domu gry, na którego wschodach<sup>50</sup> szerokich coraz rojniej było od ludzi. Jeno<sup>51</sup>, że teraz wielu już wychodziło, krzyżując się w ścisłości z przybywającymi. Niektórzy wracali z obojętnymi maskami na twarzach, tak jak byli weszli, ale w większej części można było wyczytać z ruchów, z postawy, z oczu, z wyrazu ust, jaki los spotkał ich złoto tam, przy zielonych stołach: czy uciekają, w niewielu minutach grosz ostatni straciwszy, czy też unoszą na razie zdobycz upragnioną, którą przyjdą znów stracić, nim wieczór zapadnie.

Przez jakiś czas, stojąc przed kawiarnią, myślał Grabiec o tym, aby pójść do kasyna i tam w salach Łachcia poszukać. Nie znał poprzednio jego muzyki; Łacheć był młodym, początkującym dopiero kompozytorem, którego imię zaledwie kilka razy obilo mu się o uszy, jako imię oryginała raczej niż mistrza. Aza, prosząc go kiedyś o pozwolenie użytkowania na koncert jego *Hymnu o Izydzie*, mówiła mu wprawdzie, że Łacheć, dziwny, fenomenalny Łacheć, słowa jego na dźwięki przetapia, ale Grabiec nie zwrócił na to uwagi. Było mu to zresztą obojętne. Nierad przystawał — i jedynie pod nieodpartym wpływem śpiewaczki — na udział swój w tej farsie zamiany ruin przedwiecznej świątyni w teatr i w owym parodiowaniu w niej, jak mówił, dawnych szczerych obrzędów — więc się też nie chciał mieszać do niczego.

Dopiero wczoraj... Uległ długim i uporczywym namowom Azy (był bowiem jednym z tych niewielu, którym ona nie rozkazywała) i przybył wieczorem do filajskiej świątyni w tej szyderczej i gorzkiej myśli jedynie, że będzie słuchał słów własnych jak dźwięku zgola obcego, co w zbezczeszczonych ruinach brzmi śmiesznie, przez nikogo nieodczuty, niezrozumiany i przeto bluźnierczy. Przecież Grabiec wielkość tam śpiewał, bohaterstwo i tajemnicę, i namiętności moc — wszystkie te rzeczy, dla których ów tłum dostojny wrogiem byłby z urodzenia, gdyby je na tyle chociaż rozumiał, aby je mógł nienawidzić i lękać się ich.

Myślał o tym wczoraj z pogardliwym uśmiechem na ustach, o wyżarte wilgocią hieroglify na granitowej kolumnie wsparty, gdy nagle zabrzmiał śpiew Azy, ginący niemal z początku w potężnych falach orkiestry, przedziwnej, niepojętej. Nie słyszał dotąd tego śpiewu i dźwięków tych — nie chciał z umysłu bywać na próbach — toteż teraz miał wrażenie nagłego, olśniewającego objawienia.

Jak gdyby ktoś, odeń silniejszy, porwał go w orle szpony i wznosił nad ziemię, i pokazał na jawie światy jakiegś, przezeń tylko wyśnione... Jak gdyby słowa jego stawały się żywymi

<sup>50</sup>*wschody* — dziś w tym znaczeniu: schody. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

istotami, jak gdyby myśli jego własne dostawały skrzydeł, piorunów i bożej mocy zabijania i wskrzeszania! Zobaczył wir cherubinów, tańczących na powietrzu z ognia, nie wierząc prawie, że z niego wzięły początek, tak wielkie i płomienne mu się bowiem wydały. Morze zobaczył rozchukane, wściekłymi, spienionymi falami o brzegi bijące!

Pojrzał mimo woli po słuchaczach. Na morskim brzegu był piasek. Miałki, syпки, ani odporu, ani echa falom niedający piasek. Śledzono oczyma śpiewaczkę, na stopy jej patrzono i nagie kolana, kiwano z uznaniem głowami, gdy zespół orkiestralny jakiś nadzwyczajny snop błyskawic wyrzucił — i nie płoniono się pod biczem małość smagającym — i nie wyciągano rąk ku pokazanej na złotych chmurach wielkości, ku odsłaniającej twarz tajemnicy...

Uciekł wczoraj ze świątyni starej przed własnym krzykiem, wcielonym na próżno i marnie ginącym — ale łomot tych skrzydeł myślom jego przez muzyka przypiętych huczał mu ciągle w uszach i mózgu... Huczał poprzez drobne sprawy dnia całego, poprzez rozmowy puste różnych natrętnych Halsbandów.

I w tej chwili obłądnym przypomnieniem zatańczyła mu w pamięci orkiestra burz, morza i słońca śpiewającego na chmurach zwelzionych, na pryskających pianą bałwanach.

— To musi, to musi, to musi być! — wyrzekł do siebie niemal głośno, w myśl jakąś własną zapatrzony.

Zakotłowało w nim coś i zawrzało. Zdjął z głowy kapelusz szerokoskrzydły i nie zważając, że ludzie nań z podziwem patrzą, począł chodzić wielkimi krokami dookoła gazonu z rzadka palmami ocienionego. Zapomniał, że miał Łachcia szukać w kasynie, zresztą wstręt go objął nieprzeparty na myśl samą, że mógłby się teraz znaleźć w tłoku, w ciżbie, wśród ludzi zajętych dzisiaj w sposób podobny, jeno w wyższym stopniu i bardziej jeszcze interesownie, śledzeniem padającej kulki rulety, jak wczoraj ruchów śpiewaczki... Mimo wolnie zwrócił się w lewo, w stronę rozległych ogrodów, co na falistym gruncie rozsiadły się tutaj, ponad domem gry i złożonymi hotelami, aż gdzieś po żółty brzeg Nilowy.

Słońce wiosenne paliło, ale pod palmami świeżość szła wonna od trawników właśnie zroszonych i od krzewów rozkwitych, rozrzuconych kępami po całej ogromnej przestrzeni. Sztuczne strumyki roznosiły życiodajną wilgoć wyszukany drzewom, ze wszystkich stron świata tutaj sprowadzonym — nad małymi stawkami, pełnymi lotosów, siedziały figowce rozrosłe o lśniących liściach, z wiszącą w powietrzu siecią korzeni. Na wzgórkach ręką ludzką usypanych, wśród poukładanych pracowicie głazów, sterczały kaktusy najrozmaitszego kształtu i pochodzenia: podobne do słupów, kul i węży dziwnie powyginanych — opuncje kolczaste, z potwornie zgrubiałymi lodygami, i srebrnozielone agawy, strzelające w górę spośród mięsistych liści olbrzymimi świecznikami kwiatostanów. W grotach, ukryte przed zbytnim słońcem, w powietrzu ochłodzonym wodą, przez sztuczne lodozwały przepływającą, chowały się paprocie i rośliny północne, zdumione sąsiedztwem palm, chwiejących się u wejścia na tle ciemnobłękitnego nieba.

Grabiec minął główne, szerokie aleje i począł się błąkać po bocznych ścieżkach wśród zagajników różnych i lasków ponad małymi strumykami o brzegach gęsto zarosłych bambusem i trzciną szerokolistną. Ludzi spotykał tutaj coraz rzadziej; upał popołudniowy rósł i wisiał ciężko w nieruchomym powietrzu, wilgocią gorącą przesycony, duszący. Grabiec szedł wciąż przed siebie, ze spuszczoną głową, w myślach zatopiony. Nie zauważył nawet, jak się dostał w obszerny zwierzyńiec na wyniosłości ponad ogrodami. Mijał, nie patrząc, łązki ogrodzone, na których wśród sztucznie poukładanych kamieni pasły się antylopy, ogromnymi, tępymi oczyma patrząc przez sztachety gdzieś w stronę dalekiej, rodzinnej pustyni — przechodził około sadzawek pełnych krokodyli, w płytkiej, cieplej od słońca wodzie aż po nozdrza ukrytych — koło klatek potężnych, w których drzemały lwy niewolą osowiałe, z przygasłymi oczyma, z sierścią skudloną i nieczystą.

Na szczycie wzniesienia stała klatka wysoka, kilkoma palmami daktylowymi ocieniona. W środkowej, wąskiej jej części, błyszczącymi kratami od bocznych skrzydeł oddzielonej, siedziały na gałęziach uschłego jakiegoś drzewa cztery sępy królewskie, na podziw ogromne. Łby, potężnymi hakami dziobów zbrojne, wcisnęły między ramiona obwisłych skrzydeł, nastroszyły pióra u nasady nagich, muskularnych szyj, oczy okrągłe na słońce zwróciły i trwały tak nieruchome, zastygłe, jak dawne jakieś cztery bogi egipskie, strasznych i tajemnych ofiar oczekujące.

Ale naokoło nich zgiełk był tylko nieprzystojny i beczelny. Przez mimowolną zapewne, a dziwnie złośliwą głupotę pomieszczono w obu skrzydłach klatki ogromnej zgraję papug i małp ruchliwą, pstrą, ustawicznie wrzeszczącą. Co chwilę gibbon jakiś lub magot, z ohydnie gołym, czerwonym pośladkiem, wyciągał przez kratę rękę kosmatą, usiłując dla psoty dosięgnąć piór w ogonie ptaków królewskich; papugi wieszały się na prętach przegrody i rozdziawiając dzioby karykaturalnie do orlich podobne, wtórowały zgiełkliwym krzykiem miauczeniu wykrzywiających się małp.

Sępy wyglądały jak ślepe i głuche w kamiennym swym spokoju. Żaden z nich ani razu głowy nie zwrócił, żaden nawet nie załopotał na postrach skrzydłami. Gdy jednego z nich magot obrzydliwą długą ręką za lotki obwisłe dosięgnął i szarpnął, garść pierza wyrwijając, on posunął się tylko o pół kroku dalej na gałęzi, nie spojrzawszy nawet na napastnika, tak właśnie, jakby się usuwał kędyś na skałach przed rzuconą wiatrem gałęzią.

Grabiec przypatrywał się ptakom zrazu mechanicznie, myślom dalekim oddany, później z rosnącym nagle zajęciem. Wsunął dłoń ostrożnie między pręty i spróbował przegrody.

— Mocna — szepnął do siebie — szkoda.

Małpa jedna, większa i złośliwsza nad inne, wyciągnęła znów swe kosmate ramię i długimi, spłaszczonymi na końcach palcami starała się chwycić za pierze na piersiach sępa. Ptak wznosił szyję i głowę w tył rzucił, przechylając ją nieco na bok. Krwawe oczy jego wpatrzyły się w ruchliwą dłoń małpią, przebierającą przed nim palcami. Głowę jeszcze więcej cofnął, jakby do uderzenia, dziób trochę rozchylił.

— Bij! — syknął Grabiec, patrząc na tę scenę.

Ale sęp, widząc, że mimo wysiłku małpa dosięgnąć go nie może, nie raczył się trudzić i przymknąwszy oczy, wsunął znów łeb straszliwy pomiędzy skrzydła, nie zważając już na nic więcej.

Grabiec uśmiechnął się wzgardliwie.

— Głupi! — szepnął na wpół głośno — myślisz, że to jest wielkość.

— Tak, to wielkość — odpowiedziano za nim.

Obejrzał się ze ściągniętymi brwiami, nierad, że go ktoś śledzi i słucha jego słów.

Stał tuż za nim pod baldachimem ogromnych liści rosnącego obok bananu człowiek młody i smukły, w obcisłym stroju awiatora, z puklami włosów kędzierzawych, wypadających spod zsuniętego nieco w tył kaptura.

— Mistrz Jacek!

Zadrzał mu w głosie obok zdziwienia jakiś szacunek mimowolny, choć bez śladu uniżenia.

Uczony wyciągnął dłoń ku pisarzowi. Podali sobie ręce w milczeniu.

Stali jakiś czas bez słowa obok siebie; Jacek patrzył na klatkę rojną od małpiej gawiedzi ze zwykłym, pobłażliwym w smutnych oczach uśmiechem; Grabiec odwrócił się w bok, gdzie między strzępiastymi koronami palm niżej sadzonych błyskał ogromnym i szklisto<sup>52</sup> mętnym zwierciadłem daleki zalew nilowy. W pośrodku słońce tylko pływało po samotnej toni, przybladłe, jakby na wodzie po wierzchu rozlane, ale u brzegów pełno było łodzi, śpiących w żarze popołudniowym z obwisłymi na łukowatych rejach żaglami. Byszczące czołna motorowe pochowały się gdzieś, czy też nie widno ich było z dala spomiędzy czarnych kadłubów barek — łaskawe liście palm zakryły przed okiem nowe miasto, bogatym a pospolitym stylem swym obrzydliwe... Grabiec miał na chwilę przelotne wrażenie, że czas się cofnął i oto on jest świadkiem wieku jakiegoś, znanego z podań jeno dawnych, kiedy królowie żyli i bogi<sup>53</sup>...

— Słyszałem wczoraj pański hymn Izdy...

Odwrócił się. Jacek nie patrzył nań, mówiąc te słowa: oczy miał wyteżone na zalew nilowy, w stronę ruin w rozświetlonej wodzie tonących.

— Słyszał pan...

— Tak. I gdybym nawet nie wiedział, że to pan, byłbym musiał poznać... Ten krzyk, to wołanie...

Mówił to z wolna, żrenic nań nie zwracając.

<sup>52</sup>szklisto — dziś popr.: szkliście. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>bogi — dziś M.lm: bogowie. [przypis edytorski]

Pisarz wzruszył nieznacznie ramionami. Z wolna wznosił rękę i w zamyśleniu położył ją na prętach klatki.

— Panie — zaczął — przed chwilą skarcił mnie pan, że chciałem widzieć sępa miażdżącego dziobem bezwstydną łapę zaczepiającą go małpy. Przyznam się, że rad bym tym i ptakom klatkę otworzył, aby sprawiły rzeź. Ale co by pan powiedział, gdyby te sępy królewskie — nie walcząc — spokoju nawet nie umiały w niewoli zachować i poczęły tu, wobec papuziej hołoty, dawać widowisko ze siebie! Łbami bić o pręty i włóczyć skrzydłami po ziemi? Wołać wichru, wołać skał i morskich bałwanów, które tutaj nie wejdą? Aby wiedziano, że wielkość znają i swobodę i że za nią tęsknią obłądnie... Aby papugi wiedziały mianowicie i małpy.

— Gubimy się w porównaniach — odparł Jacek — dajmy spokój zwierzętom i ptakom, choćby nawet królewskim. To może pięknie brzmi, ale nigdy nie jest ściśle i do fałszywych wniosków wiedzie. Bez względu na to, co pana otacza, pan jak monarcha stoi nad tłumem, który pana słucha...

Ostry, zgryźliwy śmiech przerwał mu zdanie.

— Ha, ha! Znam! Znam te stare piękne teorie, któreśmy sami na własną pociechę ukuli! Wiem, pan myśli: „Wszelka sztuka prawdziwa jest władaniem nad duszami, jest narzucaniem ludziom innym własnych uczuć, wyobrażeń, pomysłów!”. Czy pan wierzy, że tak jest istotnie?

— Tak jest istotnie.

— Było. Ale to czasy tak dawne, że na legendę już dzisiaj zakrawają, i nieprawdopodobną. A przecież tak było. Tutaj, gdzie teraz stoimy, kiedyś się świątynie wznosiły potężne i szeregi tajemniczych, grozą przejmujących bóstw granitowych; tu na miejscu tych hoteli, domów pospolitych, jakimi obecnie świat się cały upodobnił. Ale wtedy nie tylko sztuka, lecz i mądrość, i wiedza wszelka była królową, a nie sługą płatną jak ninie<sup>54</sup>.

Jacek milczał, słuchając. Z wyrazu jego twarzy trudno było odgadnąć, czy przyznaje słusność Grabcowi, czy tylko nie chce mu się sprzeciwiać. Ten zaś tymczasem, wsparty się plecami o pień palmy, mówił z wolna, jak gdyby — nie dbając o to, czy go kto słucha — myśli jeno rozsnuwał sam przed sobą, z dawna przemyślane, bolące.

— Tak było w Grecji, w Arabii, w Italii, w Europie jeszcze gdzieś aż po połowę wieku XIX. Byli artyści najwięksi, z głodu nieraz ginący, władcami ludów samopańskimi, wiedli, wznosili, rzucali w proch. Zapalali pożar albo zwierzęta dzikie zamieniali na zamysłone duchy. Mieli poddanych, którzy zdolni byli słuchać, ale stracili ich, gdyż sami się dostali pod władzę poddańców swoich. Jesteśmy najemnikami, których się utrzymuje dla dostarczania wzruszeń, słów wielkich, dźwięków, barw, jak was, mędrców, dla wiedzy, krowy dla mleka.

Jacek rzucił głową z wyrazem niechęci.

— Kto winien temu?

— My. Z chwilą kiedy sztuka przestała być panią samowładną i ludziom życie formować, rwać ludzi do czynu (bo o czyny przecież chodzi jedynie!), trzeba ją było rzucić, jako rzecz zużytą, i innych środków władzy dla ducha poszukać albo stworzyć sobie nowy świat, w którym by znowu byli ludzie mogący jej podlegać. Sztuka była środkiem życia i mocy, zrobiono z niej, a raczej z jej formy, cel: kunszt, zręczność rzemieślnicza, zabawkę. Nie chodzi już o to, co się ludziom na głowy rzuci, w którą stronę się wichrem łan zamiecie, skąd się Słońcu nad nim wzejść każe lub Księżycowi, ale o to, jak słowa brzmieć będą, jak się barwy lub dźwięki dowcipnie ułożą... Z czarodziejstwa marne kuglarstwo powstało, bo to już tylko uszom i oczom jest dostępne. Dzisiaj już za późno piorunami bić w piasek. Ocean by nań trzeba wypuścić, który zatapia, ryje, pochłania! Nie sztuka nim dzisiaj będzie.

— A jednak są dzisiaj, jak zawsze byli, wielcy twórcy i doprawdy, że w ustach swoich słońca czasem miewają — mówił Jacek w zamyśleniu.

Grabiec skinął głową.

— Tak, są. Jenó wartość ich w stosunku do społeczeństwa się odwróciła. Przestali wieść słowem, bo nie ma kogo wieść, więc mówią wciąż do siebie, aby się wygadać. Wynaleźli nawet łachmanik dla okrycia tej nędzy swojej: sztuka dla sztuki. O, jak to ładnie

<sup>54</sup>ninie (daw.) — teraz. [przypis edytorski]

brzmi! Nie chodzi mi o sztukmistrzów słów, dźwięków, barw, jak o linoskoczków nie dbam i polykaczy żywych żab, myślę o twórcach! Dla nich dziś sztuka (sztuka dla sztuki, panie!) to kłapa bezpieczeństwa, aby im światy w duszy poczęte piersi nie rozsadziły, gdy oni mocy nie mają w czynie i prawdzie na zewnątrz ich wyrzucić. Patrz pan! Obnaża się zawsze do głębi swej istoty twórca i artysta, lecz gdy Fryne niegdyś na słonecznym brzegu morskim wobec ludu naga stanęła, to nie mlaskano lubieżnymi językami, oczu nie wytrzeszczano, ale się głowy wszystkie pochyliły jak przed objawieniem, a ona wiedziała naprzód, że tak się stanie, bo w jej piękności była święta moc. My dzisiaj obnażamy się bezwstydnie, jak dziewczęta sprzedajne w tinglu<sup>55</sup> mającym pozory pałacu, ba, nawet kościoła, tyle tam złocień, marmurów i światel! Ale to tylko pozory: kram to jest brudny w istocie!

Podniósł rękę w górę i prysnął rozłożonymi palcami, jakby pustkę w dłoni pokazywał.

Jacek słuchał go, usiadłszy na ławce kamiennej, z brodą na dłoniach opartą. Utkwił w nim oczy nieruchome, spokojne i głębokie... Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnym, smutnym uśmiechem.

— Miej pan odwagę powiedzieć — rzekł — że od myśli tylko naszej i od naszego zamiaru zależy, aby się każde miejsce, gdzie jesteśmy, w świątynię zmieniło prawdziwą...

Grabiec udał, że nie słyszy słów, czy też nie dosłyszał ich rzeczywiście, myślami swymi zajęty. Milczał przez jakiś czas, w dół ku miastu oczy zwróciwszy, a potem zaczął znów mówić głosem stłumionym a pełnym bezbrzeżnej nienawiści i wzdargy.

— Zbyt dobrze jest na świecie dla małą, papug i wszelkiego bezmyślnego plugaństwa, które przez liczbę i zorganizowanie władzę ma jedyną! O buntach wiemy już tylko z powieści. Buntowali się niegdyś uciśnieni, najbiedniejsi, zdeptani, a pracą rąk swych maszynę świata trzymający, i wołali: „chleba!”. Przywódcy dla przyzwoitości kazali im jeszcze dodać: „praw!”, ale to głupstwo, bo o chleb chodziło naprawdę. Teraz mają go już zadość, więc siedzą spokojnie, bo i czegoż mogliby jeszcze chcieć? Aż nazbyt wiele jest na świecie równości, zbyt wiele chleba, powszechnych praw i szczęścia pospolitego!

Zwrócił się teraz wprost do Jacka i spojrzął mu przenikliwie w twarz.

— Czy nie sądzi pan — rzekł, nagle ton zmieniając — że nadszedł już czas, aby się zaczęli buntować najwyżsi duchem, którym na pozór niczego nie braknie? Czy nie pora, aby zaprotestowali czynem przeciw ustanowionej równości, co jest dla nich obelgą?

Jacek powstał, twarz spoważniała mu naraz.

— Panie, nie ma potrzeby protestować przeciw temu, czego nie ma. Nie jesteśmy równi. Pan wie o tym sam. A ze społeczeństwa korzystamy zarówno, jak ono z nas...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Grabiec. — Otóż jedna z baśni przez tłum nam narzucana! Ja właśnie mówię, że pora nadeszła, by najwyżsi przestali wreszcie wierzyć w rzekomą łaskawość społeczeństwa małą, które im niby umożliwia myślenie i twórczość, dając obfite środki do życia, ułatwiając badania... Mniejsza z tym, że to szczęście nie wszystkich spotyka, że połowa duchów największych z głodu mrze po dawnemu, marnując się; mniejsza już o to, powiadam! Ale dla mnie, dla pana, dla nas wszystkich hańbą jest dostawać, jakby z łaski i pod miarą to, czym byśmy winni rozporządzać sami, nieograniczenie! Wszelkie dobro i wszystek życia cud do nas należy, bo nasze to duchy stworzyły, a obdarowany jest tylko tłum. Świat dzisiaj podobny do zwierzęcia potwornego, u którego brzuch się rozrósł, wielki nad potrzebę, kosztem nóg i głowy. Zamiast tłumowi, jak słuszna, kazać pracować na siebie, my wszyscy pracujemy na ten tłum ohydny, głupi, próżniaczy, niemający zajęcia poza urzędem nadanym. Pracują nań robotnicy, mędracy pracują, a on trawi i...

Urwał w połowie zdania.

— Ordynarny wyraz ciśnie się na usta — rzekł po chwili — ale to trudno: ordynarne jest wszystko, co nas otacza. Trzeba z tego wyjść lub zdechnąć. Zacząć się teraz musi odwrotny bieg: fala przyływu cofającego się od wieków morza. Pocznie się nowa wojna święta i zdobywanie, raczej urzeczywistnianie praw najwyższych, zgoła niepowszechnych. Nie wolności nam dzisiaj potrzeba, lecz władzy i niewoli! Nie równości, lecz różnic! Nie braterstwa, lecz walki! Do najwyższych należy świat!

<sup>55</sup>tingel (z niem., daw.) — podrzędna kawiarnia lub restauracja, miejsce występów piosenkarzy, tancerzy, striptizerek; także: tingel-tangel. [przypis edytorski]



— Jakie siły stawia pan w tej walce naprzeciw siebie? — spytał Jacek, oczy nań podnosząc. — Z jednej strony społeczeństwo całe, zorganizowane doskonale, zadowolone z tego, co jest, i gotowe przeto bronić istniejącego stanu wszelkimi siłami, a z drugiej?

— My.

— To znaczy?

— Twórcy, myśliciele, wiedzący: żywi.

— Dramat pan układa.

— Nie. Chcę życia. Życie tworzę. Można poruszyć pracowników istotnych, masę olbrzymią, świat z dołu na atlasowych barkach trzymającą: niechaj nim zatrzęsa! Będą woleli służyć najwyższym niż tej gawiedzi urzędniczej, tym emerytowanym, bezmyślnym próżniakom i darmozjadom.

— Złudzenia.

— A zresztą...

— Co?

— Wy sami jesteście potęgą. U was jest wiedza, u was jest moc!

Jacek zaprzeczył głową powoli, ale stanowczo i rzekł z dumą jakąś wewnętrzną:

— Nie, panie. Tylko wiedza. Moc, którą ona ze sobą przynosi, wynalazki wszystkie i praktyczne zastosowania oddajemy ludzkości do wspólnego użytku. To jest właśnie to, co pan służbą naszą nazywa. Wiedzę zostawiamy sobie, bo z tłumy nikt jej nie udźwignie. Więcej nic.

Grabiec spojrział na Jacka ciekawie, jakby miał powody niezupełnie wierzyć, iż on wszystką moc czarodziejską i straszną, z wiedzy płynącą, tłumowi oddaje, lecz pohamował się i głosem na pozór spokojnym zapytał tylko:

— I czy zawsze tak ma być?

— Nie widzę wyjścia. Prawem ciężkości woda użyźniająca z podniebnych lodowców spływa w doliny.

— Dobre porównanie. Pan wie, że ta woda góry rozkrusza i z powierzchni Ziemi zmywa po to, aby poziom ogólny podnieść o jeden palec, by morskie dno dźwignąć nieznacznie? Płasko będzie na końcu. Gór zabraknie i lodowców, a doliny się ku niebu nie wzniosą.

— Gasną też gwiazdy życiodajne, wyczerpawszy moc swą na ogrzanie bezpłodnej przestrzeni. To snadź<sup>56</sup> prawo przyrody Ziemią, wszechświatem i ludzkim społeczeństwem rządzące.

— Tak, ale nie jedyne. Prawem przyrody zderzają się także wygasłe słońca, by z nich nowe, przyszłymi światami ciężarne mgławice wyblęsy, prawem przyrody wewnętrzne ognie nowe łańcuchy górskie z głębin Ziemi wysadzają. Jeno przed każdym odrodzeniem iść musi zagłada! Jest i nam potrzeba trzęsienia Ziemi, co miasta w gruz wali i na powal<sup>57</sup> łądy całe wywraca.

— A jeśli po nim nowe życie nie wykwitnie?

— Musi.

Jacek pochylił głowę w zadumie.

— Władza, czyn, bój, życie... Czy nie przecenia pan sił ludzi, którzy całą swą istotę myśli oddali? Nie mówię już nawet o samej walce; przypuśćmy rzecz nieprawdopodobną, że powstaną ci najwyżsi i z pomocą, bo ja wiem? może wiedzy swojej i geniuszu; może tych mas roboczych, spokojnie dzisiaj drzemających i wyzyskiwanych zawsze, zawsze uwodzonych zwyciężają: cóż dalej? Wierzy pan, że będą władać? panować? działać? Pan mówi, że sztuka prawdziwa i wielka jest dzisiaj tylko marnym, bo bezcelowym ujściem dla energii ducha, która by mogła w czynach się wyładować. Otóż to jest już złudzenie, żeby mogła. Oddzieliła się myśl nasza od naszych czynów i nam się tylko zdaje, żeby do nich zdołała powrócić. Pozostań pan przy sztuce swojej i przy granach na teatrze dramatach i nam pozwól pozostać w tym szerokim świecie myśli, do którego nikt niepowołany wedrzeć się nie zdoła. Nie warto schodzić w dół.

— A lord Tedwen? — rzucił Grabiec.

Na chwilę zaległo milczenie.

<sup>56</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>powal — zwalone drzewo w lesie; stos powalonych drzew; wywrócenie się drzew w lesie. [przypis edytorski]

— Lord Tedwen — odparł wreszcie Jacek — rzucił władzę i jest dzisiaj tylko mędr-  
cem. To właśnie dowodzi, że życia z myślą dzisiaj łączyć już niepodobna. Zostaw nas pan  
w spokoju.

— To pańskie słowo ostatek? — rzekł Grabiec z chmurnie namarszczonymi brwiami.

Uderzyło Jacka coś w jego głosie czy w wyrazie twarzy, że spojrzał mu bystro w oczy.

— Dlaczego pan pyta?

Grabiec nachylił się ku niemu.

— A gdybym ja panu rzekł, że Ziemia już drży, że tam, pod jej skorupą zastygła,  
wzdyma się już fala ognistego przypływu, czy i wtedy, i wtedy?

Nagłym ruchem wznosił Jacek głowę. Patrzyli sobie przez pewien czas w oczy w mil-  
czeniu.

— Czy i wtedy? — powtórzył Grabiec.

Jacek długo nie odpowiadał. Wreszcie powstając, rzekł spokojnie, lecz twardo:

— Tak. I wtedy nawet nie dam innej odpowiedzi. Nie wierzę w tłumny ruch. Niech  
mnie pan słucha: to, co jest, jest ohydne, ale gdy wstręt we mnie wszystkie uczucia  
przemoże, gdy zwątpię ostatecznie i uznam, że od takiego bytu lepsza zagłada i to już  
spół ostatni, by odepchnąć zalewającą nas płytką falę, to, co potrzeba, zrobię ja sam.

Powiedziawszy to, skinął głową i zwrócił się do odejścia ku miastu.

## IX

„Idę teraz rozbijać bank” — mówił Łacheć do siebie, przeliczając złoto, które mu jesz-  
cze zostało z honorarium wypłaconego onegdaj<sup>58</sup> przez Towarzystwo Międzynarodowych  
Teatrów.

Niewiele już tego było: coś około dwudziestu sztuk, po odrzuceniu srebra, którego  
na stołach gry nie przyjmowano. Uśmiechnął się.

— To właśnie dobrze; więcej nie przegram.

Ale smutek dziwny go ogarnął. Onieśmielali go ci krążący gęsto we wspaniałym  
przedsiönku mężczyźni stójni i wytworni, te kobiety z obnażonymi ramionami, śmie-  
jące się, wonią pachnideł doskonałych owiane... Miał wrażenie, że mijając go, rzucają  
nań spojrzenia krótkie i urągliwe, szydzące z jego ubrania, nie dość dobrze skrojonego,  
i z niezgrabnej figury. Na próżno usiłował nadać sobie wyraz swobody i pewności siebie.  
Zapominał, że ci wszyscy ludzie szaleli wczoraj pod wpływem dźwięków jego muzyki —  
czuł się wobec nich małym, zalęknionym, śmiesznym i nędznym.

Chciał się zgubić co prędzej. Oddał przy drzwiach kartę wstępu i wszedł na salę.  
W ucho mu wpadł znany, łaskotliwy, miński brzęk złota, ustawicznie przesypywanego.  
Stoły gęsto były obstawione. Poza rzędem siedzących w krzesłach stali jeszcze inni i cisnęli  
się, rzucając stawki przez ich ramiona. Galeria typów, postaci, „nagich dusz”, żądza złota  
z wszystkich pozorów ogołocona. Łacheć lubił czasem przed rozpoczęciem gry krążyć  
tutaj i przypatrywać się twarzom, ruchom, chwycić słowa rzadkie rozmów, urywanych  
i krótkich, a tak wymownych. Ale dzisiaj parł go jakiś niepokój wewnętrzny: pilno mu  
było zacząć grę samemu. Przeszedł szybko przez pierwszą i drugą salę, nie rzuciwszy nawet  
okiem na grających — w trzeciej dopiero rozejrzał się, czy nie ma gdzie miejsca wolnego.

Ktoś powstał i odchodząc, zaczął się przebijać przez szeregi za poręczami krzesel sto-  
jące. Łacheć skorzystał z utworzonego wyłomu, aby się zbliżyć chyłkiem ku stołowi.

— *Messieurs! Faites vos jeux*<sup>59</sup>!

Na zielonym suknie leżały stopy złota i paski papierów podłużne stemplem domu  
gry oznaczone, które przy osobnej kasie graczom wydawano jako kwity na złożone sumy  
znaczniejsze. Dorzucano jeszcze i stąd, i zowąd garście pieniędzy; starszy krupier z talią  
kart w ręku czekał na ostatnie stawki spóźnione.

— *Rien ne va plus*<sup>60</sup>! — wyrzucił pierwszą kartę.

Ktoś jeszcze chciał na kolor czerwony parę sztuk złota postawić — obok siedzący  
pomocnik krupiera szybkim ruchem grabek odrzucił stawkę.

<sup>58</sup> *onedaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Messieurs, faites vos jeux* (fr.) — panowie, zaczynajcie grę (okrzyk krupiera w salonach gry). [przypis edy-  
torski]

<sup>60</sup> *rien ne va plus* (fr.) — więcej nie wolno już stawiać (zapowiedź krupiera tuż przed uruchomieniem ruletki).  
[przypis edytorski]

— *Trop tard, monsieur, rien ne va plus*<sup>61</sup>! — powtórzył.

W ciszy najzupełniejszej, wyczekującej, zaszeleściły karty, pojedynczo na skórzaną podkładkę rzucane. Białymi palcami, ruchem szybkim i wytwornym, z najdoskonalszą obojętnością na wygolonej twarzy, krupier wkładał znaczki czarne i czerwone, doliczając oka.

— *Trente neuf*<sup>62</sup>! — zawołał, przerywając pierwszy szereg.

Rozjaśniły się oczy tych, co na kolor czerwony stawiali; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szereg drugi nie osiągnie tej cyfry, niższej tylko o jedno oko od maksimum.

— *Quarante*<sup>63</sup>! — zabrzmiało niespodziewanie. — *Rouge perd et couleur*<sup>64</sup>!

Ktoś syknął z cicha — kobieta jakaś nerwowym ruchem dłoni miała ostatni banknot przed sobą leżący — zaśmiano się krótko w innej stronie. Grabki krupierów wpadły chciwie na złoto, zgarniając je z połowy stołu całą falą; miałki, syпки, ckliwy dźwięk rozległ się znowu. Na pozostałe, wygrywające stawki poczał się sypać złoty deszcz: jeden z krupierów rzucał zęcznie z góry pieniądze, pokrywając nimi leżące na stole monety i papiery. Wyciągnęły się zewsząd ręce graczy. Niektórzy wycofywali sumy zdobyte lub przesuwali je na inne pola, inni — w miejsce straconych — nowe garście złota stawiali.

— *Messieurs, faites vos jeux!* — powtarzał starszy krupier słowa uświęcone, trzymając znów karty w pogotowiu.

Łacheć dotąd nie stawiał. Stał za krzesłem jakiejś grubej matrony i błdził okiem po graczach, dookoła stołu ściśniętych. Znał niektórych z nich. Przychodzili tutaj codziennie i grali zawsze — o jakiegokolwiek porze było wejść, spotykało ich się niechybnie, jeśli nie przy tym, to przy innym stole, z jednakowo zajętymi minami, z kupą złota i banknotów przed sobą i z białymi kartkami, na których każdą grę notowali skrzętnie.

Wygrywali czy przegrywali: zdawało się to nie sprawiać na nich głębszego wrażenia. Łacheć rozumiał, że ci ludzie grali jedynie po to, aby grać, bez celu innego, bez żadnej myśli dalszej. Patrzył na nich niemal z zazdrością, że ich cieszy i zajmuje to, co dla niego najprzykrejszą jest pracą: gra sama, śledzenie kart z rąk krupiera padających, widok złota przesuwanego. Przegrana była dla nich klęską dlatego, że mogła im uniemożliwić grę dalszą — wygrana cieszyła ich, że zwiększała kapitał, który można było rzucać znów na sukno zielone.

Znać było, że ze zdziwieniem, niepozbanionym pewnej domieszki pogardy, patrzą na tych, którzy przybiegają do stołu, aby wygrać kilka sztuk złota i odejść, unosząc łup w kieszeni, jak gdyby go można tam, za drzwiami, lepiej zużytkować niż tutaj, na stół znowu rzucając.

A takich chciwców było wielu. Oni to stali w zwartych rzędach poza krzesłami, oni cisnęli się na każde wolne miejsce przy stole i oni... bank wzbogacali. Niektórzy z nich grali pojedynczymi sztukami złota, śledząc z niepokojem każdą kartę, padającą z rąk krupiera, od których los ich mizernych stawek zawisł — inni rzucali naraz majątki całe, góry kruszcu i banknotów, z pozorną obojętnością w twarzy, która jednak ściągała się dziwnym kurczem, gdy karty na stół padać poczynęły.

I za każdą grą sumy po prostu nieprawdopodobne przez stół się przewalały. Łacheć patrzył na ten przypływ i odpływ, złotą falą sukno zielone wciąż zalewający, i liczył palcami w kieszeni nędzne grosze swoje, które miał rzucić w ten potop. Śmiech go zebrał gorzki.

Od dłuższego czasu grał tutaj codziennie, bez zapału, bez namiętności, nawet bez ochoty zgoła, odrabiając te kilka godzin co dnia, jakby nałożony obowiązek. Nudziło go to nawet i męczyło, ale postanowił sobie wytrwać.

Chciał wygrać. Chciał się po prostu uwolnić od tej zależności duszącej, która ciążyła nad nim jak zmora przez całe życie. Wszystko jedno mu było, jakim sposobem cel osiągnie: ten wydał mu się na razie najprostszym i — ostatnim.

Zdawało mu się niegdyś, chłopakowi młodemu, że rychło wybije się na wierzch talentem swym, w który wierzył niezłomnie, dziełami, które śniły mu się już jak ptaki o szerokich skrzydłach, z piorunami w szponach na świat w słonecznej glorii lecące...

<sup>61</sup>*trop tard, monsieur, rien ne va plus* (fr.) — za późno, proszę pana, więcej nie wolno już stawiać. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*trente neuf* (fr.) — trzydzieści dziewięć. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*quarante* (fr.) — czterdzieści. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*rouge perd et couleur* (fr.) — czerwony przegrywa i kolor. [przypis edytorski]

Śniła mu się jakaś królewskość nadchodząca, przed którą będą ludzie głowy chylili, jakieś radosne i święte podniesienie, ale z tych snów aż nazbyt wcześnie go rozbudziło.

Był dla dziwnej nieforemności ciała i lękliwego usposobienia pośmiewiskiem kolegów już w szkole powszechnej, którą, jak każdy, przebyć musiał obowiązkowo. Nauczyciele nie lubili go z powodu wiecznego roztargnienia, niepozwalającego mu skupić dłużej myśli na żadnym przedmiocie; dzikim go nazywano i tumanem, z którego świat nie będzie miał pożytku.

On też czekał dnia wyjścia ze szkoły jak wyzwolenia. Syn rodziców podrzędne mających stanowisko, a więc niezasobnych, śnić nawet nie mógł o tym, aby o własnych siłach oddać się studiowaniu muzyki, która, jedyna na świecie, miała dlań wartość i urok. Ale społeczeństwo, doskonale urządzone, w zasadniczych ustawach miało paragraf przyznający prawo do bezpłatnej nauki i utrzymania na koszt skarbu wszystkim, którzy by w jakim kierunku zdolność okazali.

Ukończywszy szkołę powszechną, miał nadzieję, że mu się uda dostać pod opiekuńcze skrzydła owej dobroczynnej ustawy; ale przy egzaminie, mającym wykazać jego muzyczne uzdolnienie, przepadł sromotnie.

Muzycy zawodowi, wysokie pensje ze skarbu biorący, powiedzieli bez ogródek i jednogłośnie, że powinien raczej rondle skrobać, bo jest cudak.

Był też i inny paragraf w ustawie, nakazujący wszystkim pracę obowiązkową. Zresztą, gdyby mu się nie chciał kto poddać — na jakiś czas przynajmniej — musiałby z głodu umrzeć.

Wyznaczono Łachciowi drobną posadę w Urzędzie Międzynarodowych Komunikacji, gdzie przez kilka lat uchodził znów za bałwana, za darmo chleb zjadającego. Nieludzkiem po prostu wysiłków używał, aby się kształcić i ze szczupłej pensji opłacać prywatnych nauczycieli, mających mu otworzyć królestwo dźwięków; głodem przymierał, w łachmany się odziewał. Po odbyciu koniecznych lat „szużby społecznej” w Urzędzie Komunikacji na nieodmiennie niskim stanowisku, gdy tylko nadszedł dzień, kiedy wedle praw obowiązujących wolno mu było ją porzucić — poszedł co rychlej, a lekkomyślnie w świat, z emeryturą tak śmiesznie małą, że musiałby co trzeci dzień tylko jadać, i to nieobficie, aby mu na życie starczyła — i z teką pełną orkiestralnych utworów, których mu nikt nie chciał zagrać.

On sam — twórca — zręczności wykonawcy nie posiadając, śnił jeno z tęsknotą, patrząc na nuty nakreślone, o dniu nienadchodzącym, kiedy by one dla własnych uszu jego zmartwychwstały wszystkie żywymi dźwiękami, i drżał z niepokoju a pragnienia na samą myśl taką.

Udawał się od jednej powagi muzycznej do drugiej, kołatał do teatrów i sal koncertowych, rozmawiał z wirtuozami — zawsze na darmo. Wzruszano ramionami, słysząc o jego samouctwie: nie miał patentu z ukończenia państwowej szkoły muzycznej, nie był do niej przyjęty nawet, a zatem nie posiadał talentu. Nie chciano z nim więcej gadać.

Raz tylko jakiś dyrektor w przystępie dobrego humoru obiecał wysłuchać jego koncertu. Łacheć czekał parę tygodni na dopuszczenie go przed oblicze dostojnika. Nadszedł wreszcie wielki dzień. Przyszedł do wytwornego gabinetu z zeszytami w ręku — onieśmielony, zalękły, dziwszy jeszcze i niezgrabniejszy niżli zazwyczaj. Dyrektor wskazał mu niedbałym ruchem ręki pianino.

— Zagraj pan — rzekł — mam piętnaście minut czasu.

Łacheć zaczerwił się i wybelkotał coś niezrozumiałego.

— No prędzej, czas upływa — nalegał dostojnik, przeglądając jakieś notatki.

— Nie umiem.

— Co?

— Nie umiem grać — powtórzył Łacheć. — Tworzę tylko i dyryguję.

Dyrektor zadzwonił.

— Następnym! — rzucił krótko lokajowi ukazującemu się we drzwiach.

Tak się skończyło to wiekopomne w jego życiu posłuchanie.

Zmuszony był w końcu udać się z prośbą o pomoc do pana Benedykta, dalekiego jakiegoś wuja z macierzystej strony. Pan Benedykt, rad w własnych myślach za człowieka dobroczynnego uchodzić, pomocy nie odmówił i sumek niewielkich kilkakrotnie w for-

mie pożyczek mu udzielił, ale hojnym nie był bynajmniej, zwłaszcza że nie wierzył i on w talent tego dziwnego muzyka, nieumiejącego grać nawet.

Po pewnym czasie dostał się Łacheć w łapy Halsbanda, na którego zamówienie za marny grosz, aby wyżyć, dorabiał muzykę do różnych lichych wierszydeł na zadane tematy.

Halsband, kolejno faktor, reporter, dziennikarz i właściciel wielkiego tygodnika, zajmował się obecnie historią sztuk i literatury, a równocześnie stał na czele ogromnego „Towarzystwa rozpowszechniania arcydzieł współczesnych i dawnych za pomocą udoskonalonych gramofonów”. Tym to udoskonalonym bydłom ryczącym służyła muzyka Łachciowa. Pisywał dla nich czasem nawet „nowo odkryte” utwory mistrzów pomarłych. Z wściekłości mścił się, jak mógł, na słuchającej tych okropności publice, parodiując gorzko najwspanialsze motywy, ale i na tym niewielu się poznawało.

Nadto Halsband, jako teoretyk sztuk i literatury, a przy tym dawny dziennikarz, miał swoje pretensje. Uważał za dobre i wysławiał przed innymi zawsze to, czego nie rozumiał, w przekonaniu snadź<sup>65</sup>, że to najpewniejszy sposób okazania się mądrym i głębokim. A że dbał także rozumnie o tak zwane gusta publiczności, robiąc dla nich niekiedy „ustępstwa”, więc Łacheć dostawał od niego do „obrobienia artystycznego” przedziwny materiał, będący po prostu chaosem, gdzie rzeczy przypadkowo naprawdę genialne mieszały się z popularnymi ohydami oraz z ramotami rozpaczliwymi, w których prócz dźwięku bezsensownych a napuszonych słów nic już zgoła nie było.

Groziła mu już śmierć z uduszenia w tej atmosferze, w której musiał żyć, kiedy przez przypadek czy fantazję jakąś zwróciła Aza nań uwagę. Dowiedziała się z żartobliwych napomnień pana Benedykta, że Łacheć w nocach bezsennych zorkiestrował sławny *Hymn o Izydzie* wyniosłego Grabca, i zapragnęła śpiewać go właśnie w zrujnowanej świątyni na Nilu, która dotąd jeszcze nigdy teatrem nie była.

Rzecz się wydała zrazu wprost niesłychaną, ale Aza przemogła wszystkie przeszkody i postawiła na swoim. Zwaliska stare na nilowej toni zamieniono na jedną noc w salę koncertową. Ludzie ze wszystkich stron świata ściągnęli, aby być świadkami tego dziwowiska, więcej sławą przemożną śpiewaczki i niezwykłością pomysłu przywabieni, niżli znanym imieniem Grabca i zgoła nic im już niemówiącym młodego kompozytora.

Łachciowi zapłacono jednak znaczną stosunkowo sumę. Przeliczał długo i obracał w rękach po raz pierwszy na swe imię wystawione czeki. Poczul nagle, że w tym złocie, które za nie mógł dostać, jest moc. Dziwna, ciężkimi młotami w mennicy w kruszec zakuta moc, która daje posiadaczowi wolność czynienia, co mu się podoba, rozkazywania ludziom, użycia, tworzenia...

Zacisnął rękę... Mściwość jakąś wściekła ściągnęła mu mięśnie w twarzy i dłonie w pięście zwinęła. Za upokorzenia wszystkie, za głód, za nędzę, za te szmaty brudne, którymi się odziewał, za ukłony Halsbandowi oddawane, za służbę gramofonom, za niewolę, za połowę życia prawie zmarnowaną!

Głosy, nie wiadomo skąd zlatujące, dziwne w uszach mu zabrzmiały, pieśni jakieś niewysłowione, burze dźwięków i przewiewy wiatru po zeschniętych ziołach zamarłego stepu... Rozwarł oczy szeroko, brodę wsunął między dłonie. Rysy twarzy wygładzały mu się z wolna: patrzył w głąb duszy swojej, na skarby tam ukryte, każdej chwili wybłysnąć na świat gotowe.

Uczuł, że właściwie nic go nie obchodzi to wszystko, co przeszedł, że nie ma żalu do nikogo, że nie chce nawet, aby go słuchano, jeno tworzyć pragnie i żyć, żyć w dźwięku tych pieśni, co się z duszy jego snują. Radość cicha, ufna, dziecięca wypełniła mu serce po brzegi i rozlała się na szerokich ustach jasnym uśmiechem.

Długo siedział w milczeniu. Zerwał się nagle i począł znowu przeliczać pieniądze. Tak, sumy tak wielkiej nigdy za życia w rękę jeszcze nie miał, a jednak jest ona mała, rozpaczliwie mała, jeśli chce sobie za nią kupić spokój i swobodę, i prawo tworzenia... Na rok wystarczy, może na dwa lata. A potem znowu powrót do nędzy, do brudu, do upokorzeń lub w najlepszym razie konieczność zabiegów, handlu, sprzedaży, obowiązek

<sup>65</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

myślenia o powodzeniu, o upodobaniach bezwzględnie mu wstrętnej gawiedzi, o laskach wirtuozów, kabotynów<sup>66</sup>, histryonów<sup>67</sup>, o poparciu śpiewaczek...

Niespodziewana fala krwi uderzyła mu do głowy. Nie umiał w pierwszej chwili zdać sobie sprawy, czy to wstyd, czy inne jakieś nowe i dziwne uczucie. Zrozumiał jedno, że nie chce, nie może zgodzić się na to, aby Azie cośkolwiek zawdzięczał jako swojej dobrodziejce. W pierwszym porywie chciał wziąć otrzymane pieniądze w garść i iść, i rzucić jej pod nogi...

Opamiętał się. Aza wybuchnęłyby wtedy śmiechem, patrząc na niego jak na błazna i na tę marną dla niej sumę, która jest jednak całym jego majątkiem.

Przez nią zapracowanym majątkiem! Jej się spodobało, aby miał pieniądze — ona mu je podarowała po prostu.

Przymknął oczy, dłonie zwinął przed twarzą. Stała mu żywo w pamięci taka, jaką widział na próbach, wykonaniem dzieła swego dyrygując: wyniosła, królewska, przepiękna.

I słodka! I słodka — jak życie, jak obłęd, jak śmierć...

Inaczej, inaczej stać przed nią kiedykolwiek, bodaj raz za żywota! Być panem, władcą, bogiem — mimo tę postać niezgrabną, mimo tę ohydłą rozczochraną głowę, pięknym być mocą i wielkością!

Trzeba pracować, tworzyć!

Trzeba mieć za co żyć.

Z mimowolną pogardą zmiął czeki, olśniewające go przed chwilą, i wsunął do kieszeni. W najbliższej kasie państwowej zamienił na złoto i poszedł prosto do domu gry.

Grał uporczywie, zaciekle, a jednak zimno. Postanowił wygrać sumę jakąś nieprawdopodobną, która by mu dała niezależność zupełną na całe już życie. Nie ryzykował, nie szalał. Pracował po prostu ciężko, zdobywał przy zielonych stołach jedną sztukę złota po drugiej lub... tracił w ten sam sposób.

Po godzinach długich wychodził, by zacerpnąć powietrza, z rezultatem tak śmiesznym, że chwilami rozpacz go ogarniała, gdyż widział, że nawet przegrać posiadanych pieniędzy nie może i tak pozbyć się przynajmniej gnębiącej go a złudnej nadziei<sup>68</sup>. Były momenty, że pragnął wprost stracić wszystko, aby nie czuć obowiązku rzucania się dalej w ten nieznośny dla siebie wir gry.

Ale taki nastrój przemijał szybko.

— Muszę wygrać! — powtarzał znów z uporem i wracał do sal „pracować” dalej w pocie czoła.

Grał ostrożnie, chciałoby się rzec: po chłopsku. Od nieznaczących stawek zaczynał, a podwyższał je dopiero w miarę, gdy mu wygrana na to pozwalała. Los igrał z nim tymczasem jak kot z myszą. Gdy po godzinie walki, w której zdobywał po jednej sztuce złota, przechodził do energiczniejszego ataku i rzucał naraz większą sumę na stół: karta nieodmiennie padała na jego niekorzyść.

Czasem, gdy widział, jak się złoto przed nim całymi falami przesypuje, jak ludzie w przeciągu paru minut wygrywają sumy zupełnie już fantastyczne, ogarniała go żądza zaryzykowania wszystkiego, co ma, na jeden rzut. Wszak to tak łatwo wygrać: postawić sumę na kolor szczęśliwy i podwoić ją, po drugim rzucie będzie już w czwórnasób zwiększona, po trzecim ośmiokrotnie...

Tak, tylko mieć właśnie ten moment szczęśliwy, tylko trafić!

Postawił jedną sztukę — dla próby: wygrał. Zadrżała mu ręka — rzucił sztuk dziesięć: drapieżne grabki krupiera zgarnęły je do kasy. Zaczynał znowu od jednej sztuki.

Tak było do tej chwili — ciągle. Obawiał się, że i teraz tak będzie. Zaczął stawiać nieśmiało, wstydliwie, przesuwając rękę z błyszczącym krążkiem złota ponad ramieniem siedzącej przed nim damy, która oglądała się nań za każdym razem złymi oczyma w obawie, że potrafi jej przedziwny kapelus. Łacheć cofał się wtedy skromnie i powtarzał: „przepraszam”, zaledwie śmiejąc potem sięgnąć po wygraną.

<sup>66</sup>kabotyn — człowiek, który usiłuje imponować tanimi efektami i zgrywaniem się na znawcę. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>histryon (z łac. *histrio*: aktor) — tu: aktor; w średniowieczu wędrowny aktor, uprawiający rodzaj bezsłownych przedstawień, niekiedy z towarzyszeniem muzyki. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Bo los zaczął mu się uśmiechać. Tym razem wygrywał wciąż, zrazu po parę sztuk, później, gdy się rozzuchwiał, całymi garściami. Po pewnym czasie poczuł, że kieszeń, do której, stojąc, pieniądze wsypywał, poczyna mu ciążyć. Wsunął dłoń i przeląkł się. Kieszeń była pełna — wśród złota szeleściły mu pod palcami banknoty, które tylko na znaczniejsze sumy wydawano.

„Przyszła moja godzina” — pomyślał.

W sposób zgoła bohaterski zaczerpnął w kieszeni, ile dłoń mogła pomieścić, zawahał się chwilę...

„Postawię na kolor czerwony; pięć razy z rzędu postawię!”

Nie licząc, rzucił na stół.

— *Trente deux*<sup>69</sup>! — zabrzmiał po chwili znudzony głos krupiera.

Łacheć pobladł z lekka.

„Stracę!” — pomyślał.

Jeszcze sekunda...

— *Trente un*<sup>70</sup>!

Wygrał nadspodziewanie. W uszach mu zahuczało.

Krupier przeliczył szybko pieniądze i dorzucił równą sumę tak obojętnie, jakby garstkę grochu dla zabawki po zielonym suknie przesuwiał.

Łachciowi zadrgała dłoń: chciał wycofać wygraną.

„Powiedziałem sobie, że pięć razy z rzędu na ten kolor postawię” — pomyślał i zostawił wszystko na stole.

Znowu wygrał kolor czerwony. Krupier tym razem, przeliczywszy jego stawkę, usunął złoto i położył kilka podłużnych pasków papieru.

„Powiedziałem sobie, że pięć razy postawię” — powtarzał Łacheć w myśli uporczywie, powstrzymując odruch ręki, która chciała zgarnąć banknoty do kieszeni.

I znów wyszedł kolor czerwony. I jeszcze raz. Czterokrotnie. Poczęto już poglądać z zazdrością, jak na szczęśliwego gracza: suma leżąca na stole i bezsprzecznie jego, jego własna, była naprawdę ogromna. Czuł w szyi duszące tętna krwi — chciał chwycić pieniądze i uciekać.

„Do piątego razu, powiedziałem!”

Pot kroplisty wystąpił mu na skroń. Jeśli jeszcze teraz suma się podwoi...

Krupier, kładący karty, rozglądał się wokół z talią w rękę, pytając wzrokiem, czy wszystkie stawki są już na miejscu. „Nie, nie! To niepodobna, aby jeszcze raz wyszedł kolor czerwony!” — huczało Łachciowi w głowie.

— *Rien ne va plus!*

Gwałtownym ruchem chwycił grabki i przegarnął stos banknotów na sąsiednie pole w środku stołu — właśnie w chwili ostatniej, gdy już pierwsza karta padała.

Czekał z zapatym oddechem.

— *Rouge gagne, couleur perd*<sup>71</sup>.

Łacheć właśnie z pola czerwonego przesunął stawkę swoją na *couleur*. Przegrał wszystko.

Jakos go to nie dotknęło. Aż się sam zdziwił. Poczul tylko straszną zawziętość.

„Dobrze mi tak — pomyślał. — Trzeba było zostawić. Teraz się poprawię”.

Co tylko mógł w rozwartą dłoń zaczerpnąć, nabrał z pozostałej reszty w kieszeni i postawił na *rouge*.

Karty ze znanym mu drażniącym szelestem poczęły z ręki krupiera padać na skórzaną podkładkę. Łachciowi sekundy wydawały się niezmiernie długimi. Niby obojętnie podniósł oczy i zaczął się przyglądać graczom około stołu. Zajął go najpierw za krzesłami stojący brodaty Żyd, który chociaż sam nic nie postawił, patrzył w najwyższym podrażnieniu za grą w rękach krupiera, kręcąc głową nerwowo i mlaskając językiem po wyschniętym snadź<sup>72</sup> podniebieniu.

— *Rouge perd, couleur gagne*<sup>73</sup>.

<sup>69</sup>*trente deux* (fr.) — trzydzieści dwa. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*trente un* (fr.) — trzydzieści jeden. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*rouge gagne, couleur perd* (fr.) — czerwony wygrywa, kolor przegrywa. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*snadz* (daw.) — widocznie, najwyraźniej, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*rouge perd, couleur gagne* — czerwony przegrywa, kolor wygrywa. [przypis edytorski]

„Aha — pomyślał Łacheć, patrząc, jak pieniądze jego przegrane do kasy zgarniają — trzeba było tamtym razem wedle postanowienia na *rouge*<sup>74</sup> zostawić, a teraz dopiero przesunąć na *couleur*<sup>75</sup>”.

Niesłychana jasność tego zdania uderzyła go.

„To takie proste” — powtarzał w kółko w myśli, nie mogąc się połapać, jak właściwie teraz ma stawiać.

Nie uważał nawet, że kilka gier tymczasem przeszło. Usiłował sobie przypomnieć: zdawało mu się, że słyszał ciągle wygrywający kolor czarny — jedna gra była nierozstrzygnięta.

„Trzeba stawiać tedy na *noir*<sup>76</sup>”.

Wyciągnął rękę pełną znów złota.

Krupier powstrzymał go uprzejmym ruchem. Mieszano w pośrodku stołu karty na nowo; podczas tego uroczystego i z pełnym ceremoniałem odbywającego się obrzędu wszystkie stawki muszą być cofnięte.

„To dobrze, to dobrze! — zaśmiał się w duszy. — Byłbym znowu głupstwo pałnął. Przecież rozum sam wskazuje, że jeśli czarne wygrały kilkakrotnie, to teraz musi się odmienić, a więc na czerwone dalej stawiać powinienem”.

— *Faites vos jeux, messieurs*<sup>77</sup>!

Postawił na czerwone i przegrał. Siedemnaście razy stawiał na kolor czerwony i siedemnaście razy czarny kolor wygrywał.

Patrzył wciąż na Żyda kręcącego głową. Zauważył, że trzyma on w ręku złotą monetę i nie może od godziny zdecydować się, gdzie ją postawić. Oczy mu wychodziły na wierzch, językiem mlaskał obrzydliwie i coraz głośniej.

Łacheć uśmiechał się.

„Ten się musi męczyć dopiero!”

Sięgnął do kieszeni, aby jeszcze raz postawić; palce pod ostatnimi sztukami złota trafiły na płótno. Otrzeźwiał nagle, jakby z jakiegoś snu, w którym nie był sam sobą. Przerazenie go ogarnęło.

„Jak to? — powtarzał w myśli — przecież miałem już tyle...”

Zdawało mu się, że wszyscy patrzą nań i śmieją się. Cofnął się chyłkiem od stołu, jakby uciekał. Krew pulsowała mu w skroniach — cklive ciarki rozchodziły się po całym ciele. Teraz dopiero myślał przytomnie o swojej grze — wszelkie momenty, na które przy stole nie zważał, stawały mu żywo w świadomości. Zaczął rozumować. Trzeba było przejść do koloru czarnego, bo widocznie była *passa*. Wystarczyłoby parę sztuk położyć na *noir* i czekać spokojnie. Byłby majątek. A jeśli nie, to już raczej należało odstąpić, kiedy zauważył, że mu się nie szczęści. Przecież tak robił zawsze do tej chwili. Gdyby był odszedł przed kwadranssem, byłby miał...

Liczył w pamięci, ile mógł mieć przed kwadranssem.

A teraz?

Wsunął rękę do kieszeni i chodząc po sali ze spuszczoną głową, przeliczał pozostałe złoto. Potrzącał ludzi, albo ustępował im niezgrabnie z drogi, wchodząc innym na palce. Ktoś syknął przez zęby, ktoś obdarzył go niezbyt pochlebnym epitetem. Nie zważał na to; nie słyszał po prostu.

Monety w kieszeni palcami przeliczane mieszały mu się ciągle, to znowu liczby zapominał i zaczynał rachować na nowo.

Wreszcie stanął i nie krępiąc się już obecnością patrzących nań ludzi, garstkę złota ostatnią na dłoń wysypał, licząc. Miał mniej więcej tyle, co przed rozpoczęciem gry — właściwie tedy nic nie stracił oprócz pieniędzy wygranych.

Powiedział to sobie niemal głośno, niby na pocieszenie, ale mimo to nie mógł się pozbyć ogarniającego go przygnębienia, które z każdym momentem podobniejsze było do rozpacz.

<sup>74</sup>*rouge* (fr.) — czerwony. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*couleur* (fr.) — kolor. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*noir* (fr.) — czarny. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*faites vos jeux, messieurs* (fr.) — panowie, zaczynajcie grę (okrzyk krupiera w salonach gry). [przypis edytorski]



Był bogaty — przed chwilą. Tak jest, to, co wygrał, było już niewątpliwie jego własnością, a był to przecie majątek zdolny mu dać na zawsze tę wolność, tę swobodę, to życie, za którym tęsknił. Los się doń uśmiechnął i złoto przemiótł przez jego kieszenie na tak krótką chwilę, że nawet dotknięciem jego nie miał się czasu ucieszyć — i poniósł dalej jak wiatr suche liście.

Tylko dlatego, aby on miał teraz to uczucie straty.

A dalej?

Trzeba zacząć znowu resztkami ostrożną, mozolną, nędzną grę albo wyrzec się jej i wydawszy te ostatnie grosze z łaski śpiewaczki mu spadłe, wrócić do Halsbanda, do gramofonów, do wystawiania w przedpokojach dyrektorów teatru, do pracy zarobkowej, niszczącej wszystko, co tam w głębi duszy się rodzi.

Uczuł, że ani na jedno, ani na drugie sił już nie ma; miał ochotę płakać jak dziecko.

Naraz — dziwna jakaś obojętność.

— Wszystko jedno — szepnął, uśmiechając się z uczuciem ulgi niespodziewanej: przecież to taka drobnostka, co jutro będzie! A dzisiaj... mogę się jeszcze napić flaszkę szampana! Starczy. Wszedł do bufetu i rzuciwszy się na okrągłą kanapkę w kącie stojącą, kazał sobie podać wino.

— Pół flaszki? — bąknął dostojny kelner, z ledwo dostrzegalnym odcieniem imperytynencji, obrzucając szybkim i do oceniania gości nawykłym spojrzeniem postać Łachcia niepokazną.

— Całą. Extra dry.

— Służę panu.

Łacheć rozrzucił długie ręce po oparciu kanapy, nogę na nogę założył. Ogarnęło go uczucie słodkie boskiej beztroski człowieka, który właściwie nie ma nic do stracenia. Uśmiechnął się do siebie, myśląc o grze swojej i o przegranej, uśmiechał się jeszcze na myśl, że nędzarzem jest właściwie, a rzuca tutaj złoto i pije szampana, gdy mu się tak podoba.

Nalał sobie szklankę po brzegi z przyniesionej flaszki i nie wznosząc głowy na oparcie w tył odrzuconej, zbliżył do ust. Poczul na wargach smak mikroskopijnych kropelek przyskającego płynu, a w nozdrza uderzył go rzeźwy, podniecający zapach.

Ze szklanką przy ustach patrzył spod spuszczonej powiek na ludzi przed nim krążących. Jeden łyk wina uderzył mu od razu do głowy.

„Jestem sobie pan — myślał — przegrałem, bo mi się tak podobało, wolno mi. Piję dobre wino tutaj, na aksamitnej kanapce, bo mi się tak podoba, a jak zechcę, to jutro plunę w pysk całej tej wystrojonej hołocie, co patrzy na mnie jak na wilka. A jak znowu zechcę, to się powieszę i koniec! Robię, co chcę”.

Była mu strasznie przyjemna ta świadomość absolutnej wolności, do ostatnich granic posunięta, niewątpliwa. Powtórzył sobie to zdanie kilkakrotnie, dziwiąc się w rozweselonym sercu, że jest takie proste i jasne i że mu wcześniej na myśl nie przyszło.

Smukła kibić rozmawiającej z kimś kobiety przesunęła się mu przed oczyma. Tyłem była doń zwrócona, ale on ją poznał od pierwszego spojrzenia, poznał wprawdzie, nim ruch jej zdołał okiem uchwycić, nim spostrzegł barwę jej włosów.

Gruchnęło mu coś w piersi jak młotem, aż uczuł w gardle dławienie. Powstał, potrącając stół, i usiadł szybko z powrotem, pomyślawszy, że nie wiadomo, po co powstaje.

Kobieta tymczasem, obejrawszy się snadź na stuk pchniętego mebla, dostrzegła go i stała, uśmiechniętą łaskawie twarzą ku niemu zwrócona, oczekująca, aby ją powitał.

— Aza...

Wstał znowu i niezgrabnym ruchem zbliżył się ku niej. Ręce mu drżały i pot nagle okrył czoło; gdy jej dłoń podawał, przyszło mu do głowy, że ona z pewnością, widząc go tutaj, myśli, iż on gra pieniędzmi przez nią zarobionymi. Wstyd go objął gryzący i wściekłość, wobec której tracił resztę przytomności. Nie uważał prawie, jak Aza przedstawiała go swemu towarzyszowi, dosłyszał tylko wyraz „mój muzyk”, który go ukłuł niepojęcie.

— Rzucam już muzykę, proszę pani — wyrwał się głupio i bez namysłu.

— Co pan mówi? — zaśmiała się śpiewaczka. — Czyżby pan już tak wiele wygrał...?

Zaledwie to powiedziała, żal jej się zrobiło. Łacheć spłoszył i uśmiechnął się dziwnie, jakby mu się usta mimo woli do płaczu raczej kurczyły. Dotknęła jego ręki.

— Panie Henryku — ozwała się doń po imieniu z lekkim odcieniem dobrotliwej wymówki w głosie — tego nawet żartem nie trzeba mówić! Pan jest wielkim twórcą i szkoda by było zaprzepaszczać tak piękny talent, który już teraz przecież wybić się musi.

Muzyk był karmazynowy; czuł, że mało, a krew mu tryśnie oczami. Aza tymczasem rozbawiona mówiła dalej, główkę przechylając z łaskawą zalotnością.

— Dlaczego nie był pan u mnie po koncercie? Oczekiwałam pana. Chciałam podziękować jeszcze raz za tę cudowną muzykę. To pański tryumf był, nie mój i nie Grabca nawet!

„Chce mi z łaski sprawić przyjemność” — pomyślał.

Zdawało mu się, że towarzysz Azy, młody, niezmiernie wytworny człowiek, zrozumiał to tak samo i patrzy nań drwiącym okiem, jak na żebraka.

Szarpnęła się w nim duma i głowę mu rzuciła do góry. Pobladł naraz i pomijając wzrokiem strojnego młodzieńca, który właśnie usta otwierał, aby zdawkową pochwałę do słów Azy dorzucić, spojrzął jej prosto w twarz jasnymi, otchłannymi oczyma.

— To ja pani dziękuję — rzekł powoli cedząc wyrazy. Była pani doskonałą wykonawczynią dzieła mojego. Nie życzę sobie lepszej. Jestem zupełnie zadowolony i jeszcze raz dziękuję.

Uklonił się szybko, z niespodziewaną dla siebie zręcznością i wyszedł. We drzwiach przypomniał sobie, że nie zapłacił za wino. Rzucił służącemu niedbale parę sztuk złota, niemal połowę tego, co mu zostało jeszcze przy duszy, i wybiegł, nie oglądając się już, na schody.

Tutaj opuściła go nagle chwilowa pewność siebie; naprężone nerwy odmówiły posłuszeństwa.

„Idiota jestem — myślał, przeciskając się przez ciżbę ku ogrodowi — idiota, błazen, nędzarz i cham. Co ona sobie teraz o mnie pomyśli? Rozmawia zapewne z tamtym cacusiem i śmieje się...”

Oblędna nerwowa rozpacz go ogarnęła. Wtulił palce w szerokie usta i gryzł je, pędząc przez aleje palmowe, z których upał wygnał wszystkich przechodniów.

— Byle dalej! Byle uciec!

Czuł, że łkanie dusić go w piersi poczyna, że dalby wszystko, życie całe i duszę, byle mógł z nią mówić inaczej, tak jak tamten, i żeby ona tak na niego patrzyła...

„Powieszę się” — błysnęło mu przez myśl. Zaciśnął zęby z nagłym i niezłomnym postanowieniem i począł szukać okiem drzewa ustronnego z wygodną gałęzią.

— Tak, powieszę się — powtarzał. — To wszystko nie ma już zgoła sensu. Zbyt nędzny jestem i nazbyt głupi.

Zobaczył drzewo figowe o rozłożystych, krętych konarach. Wyszukał wzrokiem jeden z nich — sięgnął ręką, czy mocny. Kapelusz rzucił na ziemię, zerwał kołnierzyk. Był gotów.

Przypomniało mu się naraz, że nie ma z czego zrobić pętli. Szelki zbyt słabe urwałyby się niechybnie. Cały ohydny a tragiczny komizm sytuacji stanął mu przed oczyma. Usiadł na ziemi i począł się śmiać spazmatycznie, chociaż łzy gorące i duże z oczu mu płynęły.

## X

Jacek postanowił był wyjechać z Aszuan, nie widząc się wcale z Azą. Zły był na siebie, że w ogóle uległ jej namowom, a raczej posłuchał mimochodem rzuconego wezwania, bo ona przecież nie namawiała go nawet wcale — i przybył wbrew zamiarowi po to chyba jedynie, aby uczuć znowu ciężącą na sobie niewolę jej uroku. Rozdrażniła go przy tym rozmowa z Grabcem. Widział już teraz, że ten szczególny człowiek, genialny jako pisarz, a myślą o wywyższeniu twórców obłąkany, rzeczywiście przewrót jakiś przygotowuje — i nierad o tym myślał, nie wierząc w możliwość powodzenia. Wprawdzie i w nim samym aż nazbyt często zrywał się bunt przeciw samowładztwu wszelkiej miernoty, która rzeczywiście twórców i myślicieli dla dobrobytu swego wyzyskiwała, pozorną im jeno i niby czestną<sup>78</sup> ostawiając swobodę, ale gasił on go szybko wolą przemożną, jako odruch uczucia niegodny ducha, co wielki jest sam w sobie, i jeno coraz wynioślejszym, choć jeszcze niezmiernie pobłażliwym poglądał okiem na otaczających go ludzi. W zamęt walki bez

<sup>78</sup>czestny a. czesny — cnotliwy, szlachetny, znakomity; także: doczesny, ziemski. [przypis edytorski]

ostatecznej konieczności mieszać się nie miał ochoty: zbyt wiele mieli owi najwyżsi duchem do stracenia, aby warto było rzucać to na kartę jedną dla nie dość cennego zysku, jakim mogłoby być panowanie nad zgiełkiem życia.

Ale Grabca powstrzymać nie chciał i nie mógł. Przede wszystkim czując, że w zasadzie on ma słuszość w tym, co mówi, następnie zaś wiedząc, że i tak na nic by się to nie zdało.

Myślał o tym w hotelu, zamykając małą torbę podróżną, którą brał z sobą na samolot.

W tej chwili zapukano do drzwi. Obejrzał się żywo.

— Kto tam?

Przyszło mu na myśl, że może to być posłaniec od Azy, a chociaż niby postanowił odlecieć, nie widząc się z nią, serce mu dziwnie radosną nadzieją zabiło.

Z pewnym rozczarowaniem ujrzał na progu znanego sobie lokaja, którego mu do posługi przydano.

— Ekscelencjo, wedle życzenia samolot jest już gotowy.

— Dobrze, zejdę zaraz. Czy pytał kto o mnie?

Lokaj zawahał się.

— Ekscelencja nie kazał wpuszczać nikogo.

— Kto był?

— Posłaniec.

— Skąd? Od kogo?

Zawołał to mimo woli tak głośno, że aż mu się wstyd zrobiło, zwłaszcza gdy spostrzegł, jak po wąskich ustach lokaja przebiegł uśmiech dyskretny.

— Z Old-Great-Cataract-Palace. Zostawił list.

Podał Jackowi podłużną, wąską kopertę.

Jacek rzucił okiem na papier.

— Kiedy to przyniesiono?

— Przed chwilą właśnie.

— Tak... dobrze — mówił, przebiegając oczyma kilka wierszy, dużym, wyrazistym pismem skreślonych. — Każcie samolot wtoczyć z powrotem do hangaru; pojedę później.

Jak stał, w podróżnym ubraniu, skoczył do liftu i w chwil parę był już na dole. Do mieszkania Azy w Old-Great-Cataract-Palace był spory kawałek drogi, niezbyt miły zwłaszcza teraz w upale, ale on mimo to odprawił ruchem dłoni podjeżdżający samochód i puścił się piechotą. Mimo że już dzisiaj chodził wiele, czuł potrzebę ruchu, który go zawsze uspokajał.

W drodze przebiegło mu jeszcze przez myśl, aby zawrócić i odlecieć, kartą tylko Azę przeprosiwszy.

Roześmiał się sam ze siebie. Do czegoż prowadzą te dziecinne wybiegi? To było przecież niewątpliwe, że się z nią zobaczy. Gdyby nawet nie była przysłała<sup>79</sup> po niego, byłby z pewnością w ostatniej chwili jakiś pozór dla siebie wynalazł i poszedł sam.

Dziwny był jego stosunek do tej kobiety. Wiedział, że go nie kocha i kochać nigdy nie będzie, i wiedział zarazem, że trzyma go przy sobie świadomym nieprzepartym urokiem, gdyż jej to snadź<sup>80</sup> pochlebia mieć wśród tylu głupców połączanych mędrca u swoich stóp — i dla tej jeszcze zabawki, aby go widzieć niezaradnym wobec siebie i słabym... A poza tym mogła mieć ukryte osobiste powody, dla których go puścić z ręki nie chciała; wszakże on ze swym stanowiskiem, wiedzą i imieniem mógł jej być tak często i w ważnych dla niej rzeczach pożytecznym w tych kołach właśnie, gdzie zazwyczaj jej kobieca władza przemożna już nie sięgała.

Wiedział o tym wszystkim i o tym jeszcze, że wybrała świadomie dla ich stosunku tę obłudną zawsze formę przyjaźni, aby go dręczyć tym więcej i tym pewniej do siebie przywiązać, ale się nie oburzał ani żalu do niej nie czuł żadnego. Jeśli wyrwać się czasem chciał spod jej przewagi, to jeno<sup>81</sup> dla tego, aby się od męki bezwzajemnej uchronić i myśl od czaru uwolnić, pod którym ćmiła się i mieszała coraz częściej.

<sup>79</sup>była przysłała — forma daw. czasu zaprzeczonego, dziś: posłała (dawniej, wcześniej, uprzednio). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Ale sił mu na to brakowało i myślał wtedy, że jednak męka ta i to patrzanie upojne na cud przedziwny jej ciała to jedyny dział jego, który wziął od życia, poza kręgami jego niejako resztą istoty swej się unosząc.

Czasem, kiedy krew w nim wzbierała i ogarniało go pragnienie obłądne pocałunków jej i uścisków, wił się jak robak w bólu niewysłowionym, myśląc, że ona piękności swojej nieprzepląconym skarbem szafuje i kupczy może nie tylko na deskach teatru w setnym jarzących światłach rozświetleniu, lecz także w wonnej ciszy swego pokoju, kiedy blask lamp przyćmionych zaledwie ustom świętokradzkim ku białej piersi drogę wskazuje.

Tak myśleli wszyscy i on, inaczej myśleć nie śmiejąc, starał się zazwyczaj wcale o tym nie pamiętać. A kiedy obłąd tej myśli go ogarnął, zmagął się z nią i zganiał ją w sobie, dopóki nie zgasła w jakimś ogromnym morzu tęsknej czułości, co wszystko gotowa przebaczyć, ulitować się wszystkiemu.

— Mojas ty — szeptały mu usta wówczas — moja, choć tysiące patrzą na ciebie i ręce po ciebie wyciągają, bo ja jeden może zdolny jestem piękno twego ciała zrozumieć i czuć twoją biedną, jasną duszę, gdzieś na dnie serca schowaną, do której zaledwie echo życia twego dochodzi.

I patrzył na nią znowu z dobrą, choć smutną pobłażliwością, i godził się nawet na słabość swą wobec niej i to, co świat by nazwał poniżeniem, jak czasem człowiek dorosły poddaje się rad kaprysom dziecka ukochanego, co mu na czworakach biegać około stołu każe.

To uczucie miał i teraz, idąc do hotelu na jej wezwanie bez pewności nawet, jak go przyjmie i jak powita. Wiedział, że będzie to zależne od chwilowego jej usposobienia, ale szedł, bo chciał ją widzieć on sam. Myślał o niej słodko i cicho.

Przystanął mimo woli w miejscu, gdzie szeroka aleja palmowa zakretem o pustynię bliską ocierała się niemal. Przymknął powieki, tyle jeno otworu źrenicom właśnie zostawiając, iżby słońce na twarz mu padające mogło w nie oprócz barwy krwi jego własnej rzucać jeszcze pozłotę piasków na bezbrzeż już tutaj za zielonymi polami koniczyny rozsypanych i żółtych.

Powoli wszystko w świadomości jego poczęło się rozplýwać i gubić. Zapomniał niemal, gdzie jest, po co wyszedł z domu i dokąd dąży. Uczucie ulgi niewysłowionej i słodkiej, uczucie pokoju niezgłębionego splywało nań z promieniami słońca. Przewinęło mu się jeszcze przez pamięć: Aza, Grabiec, loty jakieś górne i ciężki ducha trud, mędrzec Ny-anatiloka — i topniało wszystko, jak wiosenny śnieg tam, w ojczyźnie jego, gdy ciepło bije z nieba, z ziemi już rozpulchnionej, z rozpętanych wód.

Słońce! Słońce...!

Był moment, że nie myślał już o niczym innym, jak tylko o słońcu i wietrze od skał dalekich, różowych odbitym, gorącym, przez pustynię kędyś przebiegłym od morza błękitnego, od fali ciepłych, co na piasek się wślizgują z lubieżnością kotów, gdy z historycznym pomrukiem łaszą się około głaszczących je dłoni. Upajała go wonna, dzwoniąca w uszach cisza odwieczna i pieszczota wiatru słodkiego, którą czuł na twarzy, we włosach, na warg rozchyleniu.

Dziwne, łaskotliwe uczucie fizycznej niemal rozkoszy rozplýnęło mu się po członkach.

— Tak całować muszą jej usta, tak pieszczą dłonie miękkie, słodkie, wonne...

Świadomość i wrażliwość swą zatrzymał na jakimś punkcie odczuwania, jak kulę kryształową na ostrzu noża poza czasem i przestrzenią.

— Tak całować muszą jej usta...

Naraz rozwarł oczy, jakby z letargu wieczność trwającego zbudzony. W rozgrzanym powietrzu dreszcz go przejął nagły; zalana światłem przestrzeń pociemniała mu w źrenicach. Przypomniał sobie, że ranek cały zmarnował, siedząc w hotelu nie wiadomo dlaczego i bawiąc się jak dziecko w „męską dumę”, kiedy mógł być przy niej, patrzeć jej w oczy, czuć dotknięcie ręki, głos jej słyszeć dźwięczny. I to teraz, kiedy go wezwała, czas jeszcze traci...

Z nerwowym pośpiechem skinał na przejeżdżającą dorożkę elektryczną i kazał się wieźć do hotelu.

Aza czekała nań w swoim pokoju. Przywitała go żywo i z widocznym zadowoleniem, że przybył, ale nie wytrzymała długo, aby mu nie zacząć robić wymówek, że tak późno przychodzi i na wyraźne zaproszenie jej dopiero.

— Czy nie podobałam ci się wczoraj? — mówiła, tak bowiem po imieniu nazywali się od pewnego czasu niby braterstwo. — Uciekłeś przed końcem koncertu i dziś się ledwie mogłam cię doczekać.

Jacek rozmarzony był jeszcze myślą o niej, tam, w słońcu, i nie odpowiadając, patrzył na nią przez chwilę z uśmiechem, jakby na sen objawiony. Znać było, że przykreść mu teraz sprawia wszelka rozmowa, tak chciałby patrzeć jeno na nią i czuć, że jest.

Ale Aza nalegała, by odpowiadał. Wyciągnął ręce i końcami palców dotknął jej wzniesionych dłoni.

— Cudem byłeś — szepnął — ale byłbym prawie wolał nie widzieć cię tam wczoraj, nie słuchać tego śpiewu razem z innymi.

— Dlaczego?

— Piękna jesteś.

Chłonął ją rozmiłowanymi oczyma.

— To cóż? — odezwała się Aza przekornie. — Więc dlatego, że jestem piękna, właśnie trzeba na mnie patrzeć i kochać mnie, a nie uciekać...

Jacek wstrząsnął naraz głową.

— Nie mogę się nigdy oprzeć wrażeniu, patrząc na ciebie w teatrze, że ponieważ masz swą piękność i rzucasz ją na pastwę tłumowi. Aż mi żal i boli mnie to, żeś piękna i boska jest wtedy.

Aza uśmiechnęła się.

— Ale jestem piękna i boska?

— Wiesz o tym aż nazbyt dobrze. Dziw mi nawet czasem, że nie wystarcza ci ta świadomość i doświadczasz jeszcze piękności swej, używając jej na pękanie ludzi, którzy nawet patrzeć na nią nie są godni.

— Sztuka jest dla wszystkich, którzy jej chcą — rzekła Aza nieszczerze. — Artystką jestem; to, co mam w sobie, muszę przed ludźmi wyrzucić ruchem, głosem. Tworząc, nie pytam się wcale...

Przerwał jej, z lekka się uśmiechając.

— Nie, Azo. To jest złudzenie. Wszakże nie tworzysz nic. Robisz tylko cud z tego, co myślą innych stworzone jest przez to, że sama jesteś cudem. Ciebie tam chcą, cudnej! Płacą ci za to, za jedno tylko, i ty zobowiązujesz się być piękną wobec każdego, kto przy drzwiach złoty grosz rzuci. Tracisz wolność piękności; wywłaszczasz się codziennie w teatrze na rzecz tych wszystkich, którzy, o sztuce mówiąc radzi, śledzą jeno lubieżnymi oczyma każdy twój ruch... Widziałem to wczoraj i ty sama czuć to musisz. Za dobra mi jesteś na taką służbę.

Zaśmiała się głośno i wyniosłe.

— Ja sama najlepiej wiem, na co jestem dobra! Nie służę ja, ale władam. Dla mnie pobudowano teatry, opery napisano i wymyślono narzędzia muzyczne. Dla mnie pracował ten, co wznosił przed wiekami świątynię ową na wyspie, i ci, co po wiekach wodą ją zalali, abym ja dzisiaj przegłędać się mogła w toni, tańcząc i śpiewając. Piękna jestem i mocna... Władać mogę i chcę, a więc dlatego...

— Sprzedajesz piękno swego ciała...

— Nie inaczej, jak ty moc ducha swojego — odrzuciła mu w twarz wyzywająco.

Jackowi przypomniawszy się niedawna z Grabcem rozmowa. Pochylił głowę i dłonią przetarł białe czoło.

— Jak ja moc ducha — powtórzył — może to być, może... Wszyscy jesteśmy w jednym położeniu. Człowiekowi się zdaje, że włada, rozkazuje, przewodzi, bierze sobie sam, co chce, a tymczasem jest najemnikiem od urodzenia kupionym i tłumowi służy za umówioną bez jego współdziałania zapłatę. Tłum sobie kupuje i przodowników, i błaznów, i artystów, i parobków, a kiedy byli jeszcze królowie, to królów sobie kupował i płacił im za to, że są królami, choć im się zdawało jak tobie, że z bożej łaski panują. Nawet pogromców kupuje sobie tłum i niszczyteli, i wrogów, bo i tych snadź mu potrzeba — dodał, myśląc o Grabcu.

Aza nie zważała już na jego słowa. Powstała z krzesła i aby przerwać tę rozmowę, rzuciła z umyślną obojętnością:

— Więc zgódźmy się z tym...

— Zapewne. Godzimy się zawsze, ciągle, nieustannie i na wszystko, jak gdyby to, co nas otacza, było coś warte, jakby naprawdę było potrzebne... Przecież ty mogłabyś równie piękną być na puszczy, samotna, jak kwiat...

Wzruszyła ramionami wzgardliwie.

— I co by mi przyszło z tego?

— A tak. Zawsze się myśli, co z tego przyjdzie. Ty, ja, oni, wszyscy. Nie umiemy cenić sami tego, co w nas jest, więc w innych szukamy potwierdzenia sądów naszych o sobie, własne na cudzych budujemy. Nie wierzymy dostatecznie w wieczność swoją, więc szukamy u innych, jak my znikomych, pozornej nieśmiertelności (sława, sława!) i w dziełach lub choćby w działaniu chcemy zdobyć myślom swoim trwanie, którego pragniemy...

Mówił to z głową wspartą na dłoni, jak gdyby z sobą samym rozmawiając, choć oczyma zamyślonymi patrzył na stojącą przed nim kobietę.

Słuchała go niechętnie. Nudziły ją nie dość zrozumiałe słowa, których tylko dźwięk zewnętrzny i treść najprostszą uchem w tej chwili chwytiała, nie mając zgoła ochoty zastanawiać się nad nimi. A co więcej — drażniły ją zawsze u Jacka te chwile, kiedy wobec niej myśli swoje dla siebie samego rozsuwał, czując, że usuwa się wtedy dziwnie i niemal zupełnie spod władzy jej czarodziejskiej.

Położyła mu nagle ręce na ramionach.

— Chcę, żebyś myślał o mnie, tylko o mnie, gdy przy mnie tu jesteś.

Uśmiechnął się.

— O tobie myślę, Azo. Gdybym wierzył w nieśmiertelność duszy tak silnie, jak jej pragnę, i w postępek jej wieczysty od niczego niezależny...

— To cóż...?

Przerwała mu zdanie tym pytaniem, rzuconym lekko i niedomagającym się innej odpowiedzi, jak uśmiechu na jego ustach. Rzęsy długie opadły jej do połowy na duże dziecięce oczy — wysunęła naprzód wargi, drżące lekko przyczajonym gdzieś w kątach uśmiezkami czy przeczuwanymi pocałunkami. Pierś jej kusząca, czystą linią pod lekką suknią zarysowana, wznosiła się głębokim oddechem.

Patrzył jej w twarz, nie spuszczać powiek, tak jasnym, spokojnym wzrokiem, jakby naprawdę kwiat miał przed sobą tylko, a nie kobietę piękną i pożądaną. I mówił swój sen:

— Wziąłbym cię za rękę i tak bym powiedział: pójdź ze mną, spróbujmy być samotnymi nawet wobec siebie wzajem. Kwitnij jak kwiat, bo piękności twojej niepotrzebne są ludzkie oczy; obejmuj duszą świat, ile jeno zdołasz, jak światło słońca, i nie troszcz się o więcej. Nie pójdzie na marne słodycz ust twoich, chociaż jej żadne wargi nie spijają; ni jeden ruch ciała twego nie przepadnie, ni jeden uśmiech nie zginie, choć w cudzych oczach i w żądzach cudzej na krótki żywot doczesny się nie utrwali...

Spojrzała nań teraz z istotnym zdumieniem, nie umiejąc sobie zdać sprawy, czy mówi poważnie, czy drwi z niej tylko po prostu. Jacek spostrzegł tę niepewność w jej wzroku i umilkł nagle. Smutek go ogarnął i wstyd, że mówi przed nią rzeczy śmieszne dlatego, że wylaniają się ze słów jego niezupełne, oderwane od podłoża myśli, z której wyrosły, i rozproszone.

Powstał i sięgnął dłonią po rękawiczki, leżące obok na stole. Skoczyła żywo ku niemu.

— Zostań!

— Nie chcę. Czas mi już... Przed zachodem słońca trzeba mi już być nad Morzem Śródziemnym, w powietrzu, wysoko...

— Dlaczego to mówisz, gdy wiesz, że tu zostaniesz?

Usiadł z wolna, posłuszny.

Naturalnie, że zostanie. Chwilę jeszcze czy godzinę. Uczuł, że zostałby przy niej zawsze, gdyby tego chciała. A równocześnie rozumiał, że ona nie zechce tego nigdy, bo on sam nie umie chcieć, wyszedłszy jakoś śmiesznie poza nawias życia i prawiać jej teraz o samotnej piękności, zamiast ręce wyciągnąć i na pierś ją wziąć, na usta, siłą opór jej zmóc, jeśli się jakiś pojawił.

Widział, że jest piękna, ponętna, kusząca, jedyna. Przecztał, że cała rozkoszą jest i szczęściem. Mgła jakaś gorąca do mózgu mu uderzyła — wpatrzył się w nią oczyma, w których powoli palić się poczynało zapamiętanie miłosne, bezdenne i smutne jak śmierć.

W krwi jego, co na pozór myśli jego wybijającej służyła, jak światłu oliwa w lampie starodawnej, falowania się budziły i dreszcze — z przedwiekowych przypomnień, z tych czasów może, kiedy jacyś jego przodkowie świat złotym mieczem zaprzepaszczali dla jednego błysku uwodzicielskich oczu. I jak morze, wydymające swe wały ku Księżycowi, tak biła krew jego ogromnym przypiływem ku tej wielkiej tajemnicy życia, jaką jest miłość — ku tajemnicy zgubionej już niby na wyżynach, a przecież żywej i przypominającej się ciągle w oddechu ust, w serca uderzeniu, w tętnie drgającym w nurtach żył.

— Aza...! — szepnął.

Zbliżyła się ku niemu.

— Co?

Patrzyła nań spod powiek spuszczonej wzrokiem, który zdawał się zasypiać w omdle- niu, jak u obezwładnionej spojrzaniem węża gazeli, ale usta jej drgały drapieżnie, świad- cząc, że nie ona tutaj jest ofiarą... Wyciągnęła dłonie i dotknęła jego czoła. Lekko, lekko, jakby wiatr cichy, słońcem przepojony, włosy mu spadłe odrzucał ze skroni...

Jak tam — na granicy pustyni...

Uczuł słońce w powietrzu piersiami wciągane, w krwi, co, coraz gorętsza, tętnice rozpiekała, oczy mu ćmiać i myśli w dziwny taniec porywając za sobą... I słodycz niewy- słowiona, obezwładniająca, która nagle całą istotę falą zalewa.

Jak tam — na granicach pustyni...

Pochylił się czołem do jej rąk — uniosła mu nieco głowę.

— Kochasz mnie?

Wionęła mu tym słowem w twarz z pobliza, usta naprzeciw ust jego wzniesionych trzymając.

— Tak.

Stała nad nim ze świadomym uczuciem przewagi nieodpartej, przemożnej: oto w tym człowieku, jak dziecię w dłoniach jej cichym, wiedza świata niezglębiona, mądrość cała najgórniejsza do stóp jej się chyliła. Przez piękność swoją i płeć mogła jej rozkazywać teraz tak, jak rozkazuje już tym twórcom wszystkim, poetom, malarzom, muzykom, co pono wyżsi mają być od niej! Jak tłumowi rozkazuje, bogaczom, dostojnikom, starcom i młodzieży.

Zamajaczyły jej w pamięci słowa Grabca, niedawno do niej wypowiedziane:

„Mistrz Jacek ma wynalazek tajemniczy i straszny. On go sam nie wyzyska, lecz kto go opanuje, będzie królem świata samowładnym”.

Królem świata!

Schyliła się ku niemu jeszcze więcej. Drobne pasma jej włosów, opadłe ze skroni, muskały białe czoło mędrca.

— A wiesz, że ja jestem piękna? Piękniejsza niż życie, niż szczęście, niż sen?

— Tak.

— I ty nigdy jeszcze ust moich nie całowałaś...

Słowa jej były jak tchnienie, które zaledwie można uchem pochwyć.

— Chcesz...?

— Azo!

— Powiedz mi tajemnicę swoją, daj mi w rękę swoją moc, a będziesz mnie miał...

Jacek powstał i cofnął się o krok. Błady był śmiertelnie. Usta zacisnął i patrzył przez chwilę w milczeniu na zdziwioną jego ruchem dziewczynę.

— Azo — zaczął wreszcie, z trudem słowa wymawiając — Azo, kocham cię, czy pragnę, mniejsza o to; mniejsza, jaka jest moja tajemnica i moc, ale ja nie chcę cię... kupować jak inni.

Wyprostowała się dumnie.

— Jak inni? Kto się może pochwalić, że widział sam jeden mego ciała cud? Kto mnie posiadał?

Szybkie, zdumione spojrzenie rzucił Jacek na jej twarz. Schwyciła je w przelocie i za- śmiała się.

— Dla jednego... mniej niż uśmiechu, mniej niż spojrzenia ludzie się włóczą u moich nóg i giną, gdy ja tak chcę! Nikt nie miał jeszcze ceny, aby mnie kupić. Dzisiaj za mnie trzeba dać świat!

Patrzył na nią oniemiały, z zapartym oddechem i czuł, że mówi prawdę w tej chwili. A ona pochyliła głowę i ściągnąwszy brwi, jakby pod wpływem przypomnienia jakiegoś, rzuciła jeszcze:

— Nazbyt wiele brudu znieść musiałam dzieckiem<sup>82</sup>, aby się brudzić jeszcze i teraz. Brano mnie i poniewierano, gdym bezbronna była, ale ja się nie dałam nikomu, z wyjątkiem jednego człowieka, którego ty wysłałeś na Księżyc!

— Azo...!

Posłyszala w jego głosie nutę przedziwną, gdzieś z krwawej głębi serca dobytą, i zaraz wezbrało w niej okrucieństwo kobiece. Zrozumiała, że ma w ręku narzędzie tortury dla niego, łańcuch, który szarpiąc go i raniąc, tym silniej do niej przykuje. Wpatrzyła się weń szeroko rozwartymi oczyma; na ustach zaigrał jej uśmiech, z jakim snadź<sup>83</sup> niegdyś damy rzymskie słuchały jęku mordowanych niewolników na arenie.

— On jeden mnie zna — mówiła — on, twój przyjaciel! On jeden w całym wszechświecie wie, jakie są moje pocałunki, jak pierś moja pachnie, jak pieścić umieją me dłonie. I nie ma go tutaj na Ziemi. Tam, na Księżyc, tam, między gwiazdy, na niebo szerokie i błękitne uniośł tajemnicę mojej miłości, która kogo innego zabić by mogła rozkoszą niewysłowioną... Nie wierzysz? Zapytaj go, kiedy powróci tu do mnie... On ci powie, wszak ty jesteś jego przyjaciel i mój przyjaciel szlachetny, jedyny, który nie chce niczego...

Zatoczył się jak pijany.

— Azo...!

Za ścianą zakotłowało się naraz od niespodziewanych śmiechów. Słysząc było tupanie nóg biegającej służby, piskliwe głosy chłopców hotelowych i bas marszałka, starającego się na próżno zamęt uciszyć.

Jacek nie zważał na to wszystko. Wpatrzony w śpiewaczkę żuł jakiś wyraz w ustach...

Aza jednak na odgłos rozgwaru poskoczyła żywo ku drzwiom, a gdy jej się zdawało, że w zgiełku głos pana Benedykta odróżnia, otwarła je na oścież.

Widok, jaki ją uderzył, był zaiste jedyny. W przedpokoju, służbą natłoczonym, stał pan Benedykt, broniąc się jedną ręką jakimś małym człowieczkowi o rozczochranej głowie, który, jak kot na piersi jego uczepiony, piąstką go po twarzy okładał. W drugiej ręce zacny emeryt trzymał sznurek uwiązany do nogi innego karzełka, usiłującego na próżno słowem i gestami powstrzymać gniew swego towarzysza. Służba była bezradna, bo co który wyciągnął rękę, by rozwścieżonego karła pochwycić, pan Benedykt krzyczał zawzięcie:

— Precz! Nie róbcie mu nic złego; to dla pani Azy...

Śpiewaczka zmarszczyła brwi.

— Co się tu dzieje? Czyście poszaleli!

W tej chwili pan Benedykt zdołał nareszcie uwolnić się od napastnika i podbiegł ku niej krokiem zgoła młodzieńczym.

— Paniusiu — zaczął zdyszany, wznosząc wysoko brwi pokryte sińcami — przywiódłem paniusi coś...

Mówiąc to, pociągnął za sznurki w dziecięce marynarskie ubranka przystrojonych karzełków.

— Co to jest?

— Krasnoludki, paniusiu, bardzo łagodne! Służby się nauczą...

Aza, podrażniona rozmową z Jackiem tak brutalnie i głupio przerwana, nie była w dobrym humorze. Kiedy indziej byłaby tylko śmiechem parsknęła — teraz wezbrała w niej złość.

— Wynoś się, dziadu, pókiś cały, razem ze swymi małpami! — krzyknęła wcale nie-nastrojowo, jak prawdziwa dawna cyrkówka, tupiąc cudowną nóżką w posadzkę.

Służba, dusząc się od powstrzymywanego śmiechu, wyniosła się rażno chyłkiem, a pan Benedykt oniemiał. Nie spodziewał się nigdy takiego przyjęcia. Pochwycił cofającą się Azę

<sup>82</sup>znieść musiałam dzieckiem — dziś: (...) jako dziecko. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>snadź (daw.) — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]



za szeroki rękaw i począł przeproszać, zaklinając się, że był pewien, iż sprawi jej właśnie przyjemność, te rzadkie okazy przypadkowo nabyte dla niej sprowadzając.

We drzwiach ukazał się Jacek, głośną rozmową przywabiony. Ochłonął już był zupełnie, jeno twarz miał bledszą niż zwykle. Śpiewaczka go spostrzegła i zaczęła się skarżyć.

— Patrz — mówiła — ani chwilę nie może się mieć spokoju! Człowiek stary, a nie ma rozumu. Jakies małpoludy mi tutaj sprowadza! I złe do tego...

Jacek spojrział na karłów i drgnął. Mimo śmieszne w tych strojach postawy<sup>84</sup>, znać było w ich twarzach inteligencję niepospolitą, zgoła na małpoludzi ani sietniaków<sup>85</sup> niewskazującą. Nieokreślone przecucie zbudziło się w nim...

— Coście wy za jedni? — spytał żywo i mimo woli rodzinnym swym, polskim językiem.

Skutek był niespodziewany. Księżyznianie zrozumieli te słowa w „świętej mowie” ich ksiąg najstarszych wypowiedziane i począł opowiadać obaj naraz, bezładnie, w radosnej nadziei, że się skończy nareszcie to długie i fatalne dla nich nieporozumienie.

Z trudem łowił Jacek uchem znaczenie mieszaniny poprzekręcanych wyrazów, jakimi go zarzucali. Zadał im jeszcze kilka pytań, aż wreszcie zwrócił się do Azy. Twarz miał poważną, usta mu drgały nerwowo.

— Oni przybyli z Księżyca — rzekł.

— Od Marka? — krzyknęła dziewczyna.

— Tak. Od Marka.

Pan Benedykt wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc właściwie dobrze, co to wszystko znaczy.

— Arab mi ich sprzedał — mówił. — Podobno żyją tacy na pustyni w dalekiej oazie...

## XI

— Posłuchaj mnie przynajmniej tym razem — mówił Roda do Matareta — i wierz, że jest dobre to, co ja robię.

— Odbije się to kłamstwo na naszej skórze, zobaczysz! — odparł Mataret niechętnie i odwróciwszy się tyłem do mistrza, począł wchodzić po krzesło na stół, stojący pod oknem w hotelowym pokoju. Kiedy się już tam znalazł, wychylił głowę i patrzył z zajęciem na ruch uliczny, udając, że nie słyszy, co się mówi do niego.

Ale Roda nie dał się tak łatwo zniechęcić. Poprawił się w kącie miękkiego fotela i odrzucając w tył spadającą na oczy czuprynę, dowodził w dalszym ciągu, że wszystko zło, jakie ich spotkało, spadło na nich jedynie z Mataretowej przewiny i dość, aby jemu, Rodzie, zostawić wolne pole do działania, a natychmiast los ich się polepszy.

— Nie można przyznawać — mówił — że byliśmy z owym Markiem w nieprzyjaźni, bo mogliby ludzie tutejsi mścić się na nas za to...

Mataret nie mógł w końcu wytrzymać. Odwrócił się od okna i rzucił gniewnie:

— Ale z tego nie wynika, że mamy siebie przedstawiać jako przyjaciół jego najlepszych i zaufanych, a ty tak robisz właśnie.

— Mój drogi, nie mijam się w tym twierdzeniu tak dalece z prawdą...

— Co? Jak mówisz...?

— Naturalnie. Zaufanie miał do nas, kiedy mi wszystko o sobie i wozie swoim opowiadał. A przyjaźń... Cóż to jest przyjaźń? Kiedy jeden człowiek życzy dobrze drugiemu. Największym dobrem człowieka jest prawda jego życia. Zaś cała działalność nasza była właśnie ku temu zwrócona, aby Zwycięzcę wywieść z błędu o rzekomo ziemskim jego pochodzeniu, a więc życzyliśmy mu dobrze, czyli...

— Oszalałeś, przecież Marek naprawdę z Ziemi do nas przybył! — przerwał Mataret, tamując bystry potok słów nauczyciela.

Ten się zachnął<sup>86</sup>.

— Ciężko myślisz jak zawsze. To cóż, że z Ziemi przybył? Choćby nawet i ze Słońca! Myśmy nie mieli obowiązku wiedzieć o tym z góry. Najlepiej, abys ty milczał zawsze, a mnie mówić pozwolił.

<sup>84</sup>mimo śmieszne (...) postawy — dziś: mimo z D.; mimo śmiesznych postaw. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>sietniak a. sietniok (gw.) — idiota, debil. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>zachnąć się — wyrazić oburzenie, niezadowolenie, sprzeciw, gniew, zniecierpliwienie. [przypis edytorski]

— Będziesz łąał znowu o przyjaźni...

— To nie jest łąarstwo, mówiłem. Jesteśmy w takim położeniu, w jakim mogą być tylko jego najszczersi przyjaciele. Przyjechaliśmy na Ziemię w jego wozie i prosto od niego, a więc niejako w jego poselstwie. A stąd wniosek, że musieliśmy być jego przyjaćiolmi. Czasem skutki wyrokują o przyczynach. Nie krzyw się, ja mówię poważnie. Być może, że sami nie wiedzieliśmy wpród o tej przyjaźni.

Mataret splunął i zeskoczył ze stołu.

— Nie chcę się mieszać do tego wszystkiego. Rób sobie, jak ci się podoba, ja ręce umywan.

— Otóz tego pragnę tylko, abys mi nie przeszkadzał. Dam sobie radę. Gdyby nie moje energiczne wystąpienie wobec tego starego bałwana, który nas wodził na sznurku, bylibyśmy dziś może w jakiej klatce znowu siedzieli, a tak, dzięki mnie, widzisz, jak nas szanować zaczynają! Zobaczysz, że wkrótce będziemy tutaj zgoła poważnymi osobistościami. Dobry jestem, wyrozumiały i przebaczący, ale jak tylko dojdę do wpływu, każę tego łąjdaka, co nas w klatce zamykał, obłupić żywcem ze skóry albo głową na dół w piasku zakopać.

Wejście Jacka położyło kres wymowie mistrza księżycowego. Zerwał się raźno na jego powitanie, a nie mając już czasu zsunać się z wysokiego fotela, co zawsze z wielkimi robił ostrożnościami, stanął na nim i chwyciwszy się jedną ręką za oparcie dla utrzymania równowagi na miękkiej poduszce, drugą oddał pokłon przybyłemu.

— Bądź pozdrowiony, dostojny panie!

Jacek uśmiechnął się przyjaźnie.

— Panowie — rzekł — nie mogę dłużej się tutaj zatrzymywać, ale w drodze będziemy mieli dość czasu na rozmowę. Sądzę bowiem, że zechcecie mi towarzyszyć i być gościami w moim domu?

Roda skłonił się głąboko z wysokości swego fotelu, a Mataret rzekł z lekkim pochylem głowy:

— Wdzięczni ci jesteśmy, panie. Zresztą pytasz niepotrzebnie; wszakże nie mamy wyboru, na łasce twojej jesteśmy.

— Nie — odparł Jacek. — Obowiązkiem moim jest, i miłym, służyć wam jako wysłańcom mego przyjaciela i starać się, abyście raczyli zapomnieć o tych przykrościcach, jakie was u wstępu na glob nasz spotkały. Wstyd mi. Wybaczcie Ziemi jej barbarzyństwo i głupotę.

To powiedziawszy, zwrócił się do Rody z miną frasobliwą:

— Mistrz, listów nie znaleziono. Byłem sam na pustyni w Markowym wozie, ale tam nie zostały. Przetrzaśnięto wszystko.

Roda udał wielce zakłopotanego.

— To fatalne! Chociaż treść listów, które nasz przyjaciel Marek do waszej dostojności pisał, znam dokładnie i będę mógł z pamięci powtórzyć...

— W takim razie nie ma nieszczęścia...

— O nie! Obawiam się tylko... bo wszak to było jedyne nasze uwierzytelnienie...

— Zbyteczne. Wierzę wam na słowo.

Roda uderzył się ręką w czoło.

— Teraz sobie przypominam. Rzeczywiście listy w wozie nie zostały. Odebrał mi je ten bałwan, który nas w klatce...

— Niech pan już nie wspomina o tym przykrym nieporozumieniu. Hafida polecił już szukać. Jeśli listów gdzie nie zaprzepaścił, odbierzemy je. Mnie jednak wołają obowiązki i tutaj już nie mogę czekać na wynik poszukiwań... Chciałbym nawet odlecieć zaraz, jeśli panowie nie macie nic przeciw temu, aby mi towarzyszyć.

— Jesteśmy na rozkaz gotowi — rzekł Roda, kłaniając się znowu.

Za chwilę siadali już do samolotu. Jacek, umieściwszy się na przodzie, rzucił jeszcze okiem poza siebie, czy towarzysze jego dobrze się trzymają, i opuścił rękę na dźwignię, włączającą śrubę powietrzną w system akumulatorów.

Zawarczały skrzydła jej w szalonym obrocie, a z ubitego przed hotelem dziedzińca piasek prysnął w bok, wirem powietrza wyrwany. Samolot śmignął z miejsca w górę niemal pionowo. Roda krzyknął mimo woli z przerażenia i zamykając oczy, chwycił się metalowych prętów przed sobą, aby w tył nie osunąć.

Jacek obrócił się z uśmiechem.

— Nie miejcie, panowie, obaw — rzekł — wszystko jest w porządku.

Mataret, pobladłszy, trzymał się również prętów kurczowo, ale oczu nie zamykał, stając się uporczywą wolą przemóc ogarniający go zawrót. Czuł lekkie kołysanie i świst wichru bijącego nań z góry, wprost spod skrzydeł rozpostartych, na czoło. Niebo miał przed oczyma. Kiedy głowę nachylił i spojrział w dół, dostrzegł między swymi wzniesionymi kolanami hotel wśród palmowego ogrodu, malejący z zadziwiającą szybkością. Przypomnił mu się odlot z Księżycy i nagły dreszcz trwogi zatrzęsł jego ciałem. Zwarł gwałtownie powieki i zęby zacisnął, żeby nie krzyknąć.

Samolot tymczasem, przyjąwszy położenie więcej poziome, wznosił się wciąż w górę linią spiralną, kręgi coraz szersze zataczając pod niebem.

Kiedy Mataret, paroksyzm strachu pokonawszy, oczy znów rozwarł, Aszuan był już tylko małą kępką na bezmiernej żółtej płaszczyźnie przeciętej Nilem jakby wstęgą błękitną o zielonych brzegach.

Kończący ruch samolotu sprawiał, że świat się zdawał kręcić z wolna na dole. Kiedy słońce Matareta w twarz uderzyło, zauważył, że jest znowu wysoko na sklepieniu, chociaż już zachodziło, kiedy z domu wychodzili. Barwę jednak miało złotą, jakby świetlistym znojem dnia wyczerpaną, przebijającą przez popiół jakiś różowy, co z wolna na słonecznej tarczy osiadał, ćmiąc ją w oczach nad spadającym w dół zaczerwienionym nieboskłonem.

Słowa jakies wpadły Mataretowi w ucho. To Jacek, obrócony znowu, mówił doń. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co go pytają. Spojrział w bok odruchowo. Roda, wplótłszy jedną dłoń między pręty siedzenie zabezpieczające, drugą kreślił szybko na czole, ustach i piersiach Znak Przyjścia, z którego szydził na Księżycu, i kłapał przy tym nielitościwie zębami.

— Uspokój pan towarzysza — mówił Jacek. — Nic nam nie grozi.

Roda rozwarł nagle oczy i zaprzestając odżegnywań, zaczął wrzeszczeć. Mataret zrozumiał, że wyklina Jacka w potocznym księżycowym narzeczu, grożąc mu, że jeżeli natychmiast nie opuści się na ziemię, to on, Roda, udusi go własnymi rękami i połamie maszynę przekłętą. Jacek nie mógł tego wprawdzie rozumieć, ale Mataret zląkł się, aby mistrz, strachem opętany, nie popełnił rzeczywiście jakiegoś szaleństwa. Chwycił tedy Rodę jedną ręką za dłoń i syknął przez zęby:

— Jeśli się nie uspokoisz natychmiast, zrzucę cię na łeb. I tak niewart jesteś czego innego.

W głosie jego była groźba nieubłagana. Roda zamilkł momentalnie i zęby jeno dzwoniły mu jeszcze, kiedy osłupiałym i przerażonym wzrokiem patrzył na dawnego ucznia swego, który teraz tak mało dłań okazywał szacunku.

Jacek uśmiechał się ciągle, patrząc na nich przyjaźnie.

— Jesteśmy około trzech tysięcy metrów nad powierzchnią morza — rzekł. — Teraz zaczniemy lot prosto ku domowi.

To mówiąc, zwrócił maszynę ku północy i nadawszy jej sterem położenie poziome, za pociśnięciem dźwigni przerwał działanie akumulatorów. Śruba powietrzna nabytym rozpędem warczała jeszcze przez parę minut, ale ruch jej stawał się coraz wolniejszym; oko mogło już po kilku chwilach łowić jej wirujące śmigła — aż wreszcie zawahała się i stanęła. Samolot teraz jak latawiec albo ptak ogromny, na nieruchomo rozpiętych skrzydłach płynął ku północy samym działaniem siły ciężkości po równi pochyłej, płaszczynami sterów ściśle określonej.

Drgania, ruchem śruby wywoływane, ustały zupełnie, a ponieważ w powietrzu najlżejszego wiatru nawet nie było, więc zdało się lecącym, że wiszą nieruchomie w otchłani nieba.

Ale to złudzenie nie trwało długo. W miarę zwiększającego się pędu powietrze, skrzydłami spadającego samolotu rozdierane, smagać poczęło twarze podróżników jakby wichem gwałtowny, a kiedy Mataret spojrział znów w dół, spostrzegł, że tam nisko, nisko pod nimi świat ucieka z szalonym pośpiechem, wznosząc się ku nim równocześnie. Słońce, jak olbrzymia kula sinoczerwona, leżało po lewej stronie gdzieś na piaskach dalekiej pustyni. Od wschodu szła ku nim noc.

Jacek, sprawdzisz okiem jeszcze raz położenie skrzydeł i steru oraz kierunek igły magnetycznej, zapalił cygaro i obrócił się w siedzeniu twarzą do swych towarzyszy.

— Przed nocą będziemy nad Morzem Śródziemnym — rzekł. — Teraz mamy czas pogadać.

Powiedział to zupełnie przyjaźnie ze zwykłym na ustach uśmiechem, ale Rodę treść słów nagłym strachem przejęła. Zdało mu się, że słyszy w nich jakieś straszne i groźne szyderstwo, zląkł się, że Jacek, domyślając się prawdy, zażąda teraz — między niebem a ziemią — od niego rachunku i strąci go może w tę przepaść, mroczącą się już wieczornym cieniem pod ich nogami.

— Litości, panie dostojny! — krzyknął. — Przysięgam ci na imię Starego Człowieka, że Marek jest Zwycięzcą i królem na Księżycu, a myśmy mu żadnej krzywdy zgoła nie wyrządzili!

Jacek spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Niech się pan uspokoi, panie Roda. Jest pan zbyt rozdrażniony tym przybyciem na Ziemię, a może i przejściami ostatnich dni. Czyż mam powtarzać, że nie żywię żadnych złych zamiarów względem panów? Raczej przeciwnie. Wdzięczny wam jestem nadzwyczajnie za tę bohaterską podróż przez otchłań międzygwiazdową na życzenie mego przyjaciela, choć nie taję, że wolałbym zobaczyć tu jego samego. Wszak teraz, gdy wysłał wóz z wami, nie będzie już miał sposobu powrócić...

Te ostatnie słowa Rodę znacznie uspokoiły. Pomyślał, że kiedy Marek nie może powrócić z Księżycu, to wszystko jest w porządku, gdyż nigdy się już nie wykryje, że to, co on opowiada, jest nieprawdą. Zyskał od razu pewność siebie — i poprawiwszy się w ciasnym siedzeniu, zaczął prawić Jackowi o przyjaźni swej ze Zwycięzcą, bacząc jeno pilnie, aby okiem w dół nie rzucić, gdyż za każdym razem przyprawiało go to o zawrót głowy.

— Marek — mówił — nie ma zgoła zamiaru wracać. Tak dobrze, jak na Księżycu, nigdy na Ziemi mu nie było. Obraliśmy go bogiem i królem, a on sobie kupił mnóstwo młodych żon i zabrał na rzecz swoją grunta co najlepsze. Ma też dużo psów. Właśnie pisał w listach, które Hafid nam ukradł, aby tutaj na niego nie czekać... Długo nie mógł posłów wynaleźć, aż dopiero my, Ziemię radzi poznać, zgodziliśmy się wreszcie. Chcieliśmy coś zrobić dla niego...

Lekki powiew wiatru od zachodu zakolysał samolotem, co przerwało nagle wynurzenia Rody. Po chwili, gdy równowaga została przywrócona, zapytał Jacka, czy nic nie grozi, a otrzymawszy odpowiedź uspokajającą, zaczął znowu mówić:

— Podróż nasza była bardzo przykra i wylądowanie, jak pan sam wie, niebezpieczne wielce. Ja myślę, że powinni nas tu na Ziemi za to odpowiednio wynagrodzić. Ja jestem wielkim uczonym, a towarzysz mój także nie jest głupi, choć tak mało mówi. Jednak nie mamy żądań wygórowanych. Dla mnie wystarczy zupełnie, jeśli dostanę jakieś wybitniejsze stanowisko...

Przerwał mu Jacek pytaniem o jakiś szczegół dotyczący Marka, a Roda łgał coraz straszliwiej.

Po pewnym czasie Jacek nie wątpił już, że ma do czynienia z oszustem, który świadomie prawdę ukrywa. Jak jednak ta prawda mogła wyglądać i jakim ją wydobyć sposobem?

Zadumał się. Zapewne nic tam dobrego Marka nie spotkało, kiedy przysłał wóz i posłów... Może wzywa pomocy? Ale dlaczego takich właśnie posłów wybrał kłamiących i z jakiej przyczyny oni kłamią? Czy zgubili istotnie listy Marka, czy może ich wcale nie mieli? Czyżby Marek w jakimś niebezpieczeństwie groźnym nie miał czasu ani możliwości listów przygotować?

I znowu Jackowi na myśl przychodziło, że może zbyt czarne robi przypuszczenia. Może temu bujnemu szalawile dobrze jest istotnie na Księżycu — przecież to zgoła prawdopodobne, że królem tam został i władcą między karłów społeczeństwem.

Wieczór już zapadał. Przemknęli nad piramidami, które błyszcząły w dole, jak zwykle reflektorami elektrycznymi dla podziwu gapiów oświetlone, i płynęły teraz pod gwiazdami nad rozłożystą deltą Nilową. Samolot obniżył się znacznie ku ziemi, gdyż Jacek, puszczać śrubę w ruch kilkakrotnie, lot tylko przyspieszał, a szafował jeszcze ciągle nabytą w Aszuan wysokością... Mimo że paręset metrów teraz byli tylko nad powierzchnią,

nic tam w dole nie było widać krom<sup>87</sup> światełek czasem niespodziewanie ukazujących się i niknących rychło w pomroce... Były to lampy elektryczne, wskazujące samolotom nocną porą żeglującym miejsca wylądowania: wioski i miasta, których nazwy oznaczone światłem majaczyły z góry drobnym, jasnym wężykiem na ziemię czarną rzuconym.

Jacek milczał, a księżycowym podróżnikowi powoli oczy zaczynały się kleić. Czasami tylko, kiedy śruba w ruch puszczona zatargała lekkim statkiem powietrznym lub wiatr od pustyni wiejący skrzydła jego przechylił, otwierali powieki przerażeni, nie umiejąc w pierwszej chwili zdać sobie sprawy, gdzie są i co robią tutaj w czarnej nocy zawieszeni.

Po jakimś czasie samolot niestrudzony zaczął chwiać się coraz więcej i kołysać na boki. Mataret zauważył, że walczą z wiatrem, wznosząc się równocześnie znowu w górę po krętej wężownicy. Spojrzał w dół: mdłe światełka zniknęły gdzieś bez śladu, zdawało mu się natomiast, że słyszy w ciemności łoskot jakiś jednostajny, szeroki, nieustanny...

— Gdzie jesteśmy? — spytał mimowolnie.

— Nad morzem — odparł Jacek. — Przelecimy je nocną porą, kiedy w górze cisza jest największa. Wydostajemy się właśnie z wiru wiatrów przybrzeżnych...

Jakoż niezadługo, kiedy samolot wyżej wybujał, kołysanie ustało nagle i drżały tylko wiązania metalowego szkieletu od wiru śruby, wrzynającej się szalonym obrotem w nocne powietrze. Gdy po jakimś czasie, na wysokości już snadź<sup>88</sup> będąc dostatecznej, Jacek śrubę zatrzymał, samolot począł płynąć w cichym najzupełniej przestworzu, nad morzem, z którego właśnie po prawej stronie podróżników wyzierać<sup>89</sup> począł późny Księżyc, czerwony i niecały.

---

<sup>87</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>wyzierać — wyglądać. [przypis edytorski]

# CZĘŚĆ DRUGA

## I

Do drzwi pracowni Roberta Tedwena zapukano lekko.

Starzec wznosił głowę znad karty papieru, po której kreślił znaki jakies i kolumny cyfr, i nadsłuchiwał przez chwilę... Pukanie powtórzyło się wyraźniej: siedem uderzeń, cztery z wolna po sobie następujące i trzy szybkie. Uczony dotknął palcem umieszczonego w biurku guzika i drzwi rozsunęły się cicho, niknąc w ścianie. Przez rozchyloną ciężką portierę wsunął się Jacek.

Podszedł ku siedzącemu w wysokim krześle starcowi i skłonił się przed nim w milczeniu. Sir Robert Tedwen, poznawszy go, wyciągnął dłoń.

— A, to ty... Czy z ważną sprawą jaką przychodzisz?

Jacek zawahał się.

— Nie — odrzekł po chwili. — Chciałem cię zobaczyć tylko, mój mistrzu...

Lord Tedwen popatrzył badawczo na dawnego a ukochanego dotąd ucznia swojego, ale nie nalegał pytaniami.

Zacząto rozmawiać. Starzec dopytywał, co słyhać na świecie, gdy mu jednak Jacek odpowiadał, słuchał obojętnie o wypadkach i zdarzeniach, nie przywiązując w istocie zgoła wagi do tego wszystkiego, co się dzieje tam na zewnątrz, poza drzwiami metalowymi jego pracowni, wciąż niemal zamkniętymi.

A przecież niegdyś trzymał w ręku los tego świata ruchliwego, o którym obecnie zaledwie raczył pamiętać, że istnieje.

Sześćdziesiąt z górą lat temu, kiedy dochodził dopiero trzydziestki, był już wybranym prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy — i zdawało się, w dniu, kiedy zechce, dożywotnim samowładcą zostanie.

Zadziwiający geniusz administracyjny i praktyczny łączył się w nim z żelazną stanowczością i wolą niezłomną, umiejacą prostą drogą a niechybnie dążyć do wytkniętego celu. Zmieniał śmiało istniejące prawa, zakreślał losy narodom i społecznościom — nie cofał się przed niczym. W ogromnej masie urzędniczej (a któż wówczas nie był urzędnikiem, jakkolwiek zawód społeczny pełniąc?) wrogów miał zaciętych samowoli swej i bezwzględności: szemrano powszechnie i czasem bardzo nawet głośno, lecz gdy Tedwen rozkazał, nie było, kto by śmiało nie posłuchać. Mówiono, że dąży do władzy nieograniczonej i że koniecznością jest usunąć go nie tylko od steru, lecz w ogóle od jakiegokolwiek udziału w rządach, i wiedziano równocześnie, że w dniu, w którym mu się spodoba włożyć na głowę z muzeum jakiegoś wygrzebaną koronę królewską, wszyscy się przed nim pochylą.

Sir Robert Tedwen sam i dobrowolnie porzucił władzę. Tak nagle i bez widocznego powodu, z jednego dnia na drugi, iż długo nie mogli się ludzie z tym faktem pogodzić i lamali sobie głowy, doszukując się dziwnych przyczyn i zawiślanych.

A lord Tedwen tymczasem zaczął pracować. Przyrodnik jeden z największych, zajmujący się osobliwie biochemią — a przy tym umysł o rozległym widnokregu i niesłychanej wiedzy ogólnej — w ciągu lat kilkunastu od chwili swego ustąpienia rzucił ludziom garść wynalazków zadziwiających i błogosławionych.

W jakiś czas zapomniano nawet, że bywał prezydentem Zjednoczonych Stanów Europy, a wiedziano tylko, że dzięki środkom jego, organizm odradzającym, choroby istnieć przestały; że on za pomocą opanowania atmosferycznej elektryczności i władzy nad pogodą i ciepłotą, urodzaje zbóż z góry ustanawia i karmi ludzkość głodną... I mnóstwo rzeczy jeszcze większych i cudowniejszych.

To był drugi okres w życiu Roberta Tedwena. Zerwał z nim, nim doszedł lat pięćdziesięciu. Tak niespodziewanie, jak poprzednio stanowisko naczelnego był porzucił, odstąpił teraz od „kuźni” swoich, skąd na świat rokrocznie nowe szły wynalazki, i zaniechawszy praktycznego wyzyskiwania wiedzy, jął się zawodu nauczycielskiego, przysposabiając uczniów wybranych do trudu największego: dźwigania dorobku myśli ludzkiej.

Jednym z umiłowanych i najzdolniejszych uczniów jego był Jacek. Znał on go już starcem i czcił nie tylko jako nauczyciela i mędrca największego, lecz nadto jako przyjaciela

swego, który mimo ogromną różnicę lat gotów był zawsze myślą i sercem życie jego dzielić...

Ale i ten czas, kiedy starzec zadziwiający był wychowawcą i niejako ojcem „wiedzących”, należał dziś już do przeszłości. Z wiekiem coraz mniej uczniów przyjmował i coraz skąpiej udzielał im swej mądrości niezgłębionej, aż dnia pewnego tych niewielu, których miał jeszcze przy sobie, przychodząc doń, zastało drzwi jego domu zamknięte.

Lord Tedwen przestał nauczać.

Gdy błagano go o słowo wiedzy, wzruszał tylko ramionami i mówił ze smutnym na ustach uśmiechem:

— Sam nie wiem nic... Blisko osiemdziesiąt lat życia strwonilem; muszę teraz korzystać z ostatnich dni, aby pracować dla siebie.

Jakoż pracował. Umysł jego potężny, wiekiem nieosłabły, wgłębiał się w tajniki istnienia, snuł teorie ogólne a otchłanne, odkrywał prawdy nagie i tak straszliwe, że chociaż rzadko i tylko najzaufanszym rąbek ich odkrywał, dreszcz słuchaczy przechodził i zawrót ogarniał głowy najmądrzych, jak gdyby w przepaść z nagłą spojrzeli.

Legenda zaczynała się rodzić około olbrzymiej, milczącej postaci starca. Dawno już w żadne czarnoksiężstwa nie wierzono, a jednak stroniono przed nim z obawą jak przed czarnoksiężnikiem, gdy wyniosły, zadumany przesuwał się nad brzegiem morza w codziennej przechadzce.

W domu nie przyjmował nikogo, z wyjątkiem członków wielkiego bractwa uczonych, któremu przewodniczył, prósbom dawnych uczniów swych ulegając.

Jacek, nazbyt dociekaniem własnymi i koniecznym jeszcze w swym wieku urzędem społecznym zajęty, rzadko go nawiedzał. Za każdym razem jednak, gdy stanął przed nim, nie mógł się oprzeć zadziwiającemu uczuciu: starzec zdawał się młodnieć wciąż duchem, jakby myśl jego z biegiem lat nabierała owszem coraz straszliwszej jasności i odwagi...

A przy tym ten wzrok — spokojny i chłodny — co przebiegał ludzkie sprawy, usiłując udać, że go zajmują, i padał gdzieś w przepaść bliską a niezgłębioną, która się otwiera tuż za wypowiedzianym słowem, tuż za promieniem światła, zawieszonym na pyłku powietrza, za drgającą cząstką tak zwanej materii, za najprostszym sprzężeniem tej rzeczy niepojętej, którą ochrzczono mianem siły — i biegnie aż poza gwiazdy, aż poza kres wszelkiego bytu, zarówno dusze człowiecze, głazy i nicłość obejmując.

Nie dawał jednak lord Tedwen nigdy znać po sobie, że cośkolwiek jest mu obojętne lub niegodne uwagi. W chwili wolnej od pracy umysłowej rozmawiał na pozór tak samo chętnie z przechodniem na brzegu morza lub z dzieckiem muszle zbierającym, jak i z którymś z członków stowarzyszenia mędrców... Zdawało się nawet czasem, że w rzadkich godzinach wytchnienia chętniej myśl ku rzeczom drobnym, codziennym i prostym zwraca.

I teraz, siedząc z Jackiem w cichym gabinecie, zwrócił wkrótce rozmowę, która o światowych zdarzeniach toczyć się jęła<sup>90</sup>, na skromniejsze tory osobistych wypadków i znajomości...

Pytał o uczniów dawnych, którzy w zadziwiającej pamięci jego byli żywi, choć niejednen z nich w grób się już położył, przypominał z dobrym na ustach uśmiechem drobne okoliczności, temu lub owemu wypadkowi towarzyszące.

Jacek, ku oknu twarzą zwrócony, głos tylko mędrca słyszał i miał złudzenie, że zajmuje go istotnie to, o co pyta. Kiedy się jednak przypadkiem obrócił i spojrzął w oczy jego, przerwał mimo woli obojętne jakieś opowiadanie... Oczy starca rozwarłe, nieruchome, podobne były do dwóch otchłani bez dna, do promieni dziwnych, z nieskończoności biegnących, i ponad tym wszystkim, co się mówi i dzieje, szukających czegoś w bezkresie...

Wstyd go ogarnął i wtłoczył mu słowa nazad w pierś.

Zalęgło krótkie milczenie. Lord Tedwen uśmiechnął się.

— Z czym przybyłeś do mnie, synu? — powtórzył. — Mów teraz o sobie. To mnie zajmuje naprawdę.

Młody uczoney poczuł rumieniec na twarzy. Miał zamiar istotnie mówić o Grabcu, o tym ruchu, którego nieuchronne wszczęcie przeczuwał i rady starca, co mógł być władcą, zasięgnąć, o zdanie go zapytać. I naraz zrozumiał, że to wszystko tego dziwnego

<sup>90</sup>jác (daw.) — zacząć; jác się czego: zabrać się za co. [przypis edytorski]

człowieka równie mało musi obchodzić jak liść suchy, który może spada w tej chwili z drzewa przed jego domem albo równie wiele, gdyż on ujrzy poza tym wszystkim czarnoksiężskimi swymi oczyma jeno tajemnicę bytu objawiającą się zarówno w ziarnku piasku, falą morza miotanym, jak w przewrotach największych światów i ludzkości, jak w myśli najświetniejszym przeblysku.

Schylił głowę.

— Chciałem mówić rzeczywiście o pewnych sprawach, ale widzę w tej chwili, że drobne są ostatecznie...

— Nie ma rzeczy drobnych — odparł sir Robert. — Wszystko ma swoją wartość i swoje znaczenie. Mów.

Jął tedy mówić. Opowiadał o spotkaniu swym z Grabcem i o tym, jaką on walkę, jakie powstanie wznieść zamierza na od dawna uspokojonej Ziemi i jak chce wciągnąć w wir ten ich, mędrców i uczonych, aby mieli jako mózg świata przynależne im stanowisko.

Starzec słuchał w milczeniu, z nieco pochyloną głową, patrząc spod krzaczastych, wysoko wzniesionych brwi nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie. Czasem tylko po wygolonej, bruzdami wieku zoranej twarzy przebiegł mu około wąskich i zaciśniętych warg uśmiech przelotny i gasł szybko w zadumie.

— Ojcie — ozwał się wreszcie Jacek, kończąc opowiadanie — ten człowiek wezwał mnie wprost, abym mu dopomagał, bym tę moc, jaką wiedza nasza stanowi, rzucił na szalę...

Lord Tedwen zwrócił nań teraz przenikliwe spojrzenie swych oczu.

— A ty, coś mu odpowiedział?

— Rzekłem, że moc wiedzy naszej jest wszystka, już podarowana, w rękach tłumu, i my nie mamy nic, kromia<sup>91</sup> prawd najwyższych niedających się już przekuć na złoto ani żelazo...

Zaległo krótkie milczenie. Robert Tedwen skinął z wolną głową kilkakrotnie, szepcząc więcej może do siebie niż do słuchającego go ucznia:

— Kromia prawd najwyższych... Tak, tak! Jeno że już nie wiemy, co ten wyraz „prawda” oznacza, tak dalece niczym jest wszystko, co tym mianem zwiemy...

Wzniósł głowę szybko i popatrzył na Jacka.

— Daruj, do myśli swoich wracam mimowiednie, ale to jest zajmujące, coś ty mi powiedział.

Jacek milczał. Starzec przyjrzał mu się uważnie.

— Nad czym dumasz?

— Skłamałem w rozmowie z Grabcem.

— A!

— My mamy moc... Ja mam moc — poprawił się.

Lord Tedwen nie odpowiadał. Wzrokiem nieco roztargnionym przebiegł po twarzy Jacka i wzruszył dziwnie ustami...

— Masz moc... Mamy moc... — szepnął po chwili.

Coś jakby uśmiech po wargach jego przemknęło.

— Tak — rzekł Jacek w zamyśleniu. Siedząc z pochyloną głową, nie zauważył uśmiechu na twarzy nauczyciela.

— Tak — powtórzył — mam moc. Zrobiłem odkrycie straszliwe. Czynię fizycznie to, co dotąd robiliśmy tylko myślą badawczą: rozprzegam „materię” i gaszę ją w tak prosty sposób, jak podmuchem ust świecę się gasi zapaloną. Gdybym chciał...

— Gdybyś chciał...?

— Mógłbym grozą wymusić posłuszeństwo najzupelniejsze dla siebie czy dla tego, komu bym oddał swój wynalazek... Jednym ruchem palca, na przyrządzie nie większym niż zwykły aparat fotograficzny położonego, mogę unicestwić miasta i burzyć kraje całe tak, iż ślad by nie pozostał, że były...

— I co z tego? — spytał lord Tedwen, nie spuszczać zeń oka.

Teraz Jacek wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie wiem!

— Dlaczego nie oddałeś Grabcowi swego wynalazku?

<sup>91</sup>kromia (daw.) — właśc. *krom*, *okrom*: oprócz. [przypis edytorski]



Szybkim ruchem wznosił Jacek głowę. Patrzył przez chwilę na twarz starca, jakby chciał z niej wyczytać znaczenie i zamiar tego pytania, ale oczy i rysy sir Roberta zarówno nic nie mówiły, jak obojętny na pozór ton słów wypowiedzianych.

— I tego nie wiem — rzekł wreszcie. — Miałem wrażenie, że powinienem to zostawić dla siebie i zniszczyć przed śmiercią albo użyć... w razie ostatecznej potrzeby... tylko jeden raz...

— Zniszcz swój przyrząd dziś jeszcze. Po co używać wysiłku na rozwianie fantomu, który nazwano materią, kiedy wcześniej czy później rozwieje się sam nieuchronnie?

— Źle jest tymczasem i podle...

— Cóż z tego? Czyż przeto mamy fizycznie robić to, co w każdej chwili, jak sam przyznajesz, myślą zrobić możemy, nie wytrącając naszych bliźnich ze stanu, który dla nich może najlepszy jest właśnie? Pamiętaj, że gdy z pęt fizycznych przez tak zwaną śmierć się uwolnimy, czyn naszej myśli będzie dla nas rzeczywistością jedyną...

— Trzeba wierzyć...

— Tak. Trzeba wierzyć — powtórzył Tedwen poważnie.

— A ten świat, ten świat dookoła, czyż ma się dalej toczyć taką drogą, jaką dotąd się toczy?

Starzec oparł dłoń na ramieniu Jacka.

— Twój wynalazek na właściwe tory go nie sprowadzi.

— Gdyby władzę mieli najlepsi...

— Chcesz władzy?

— Nie złączyłem się z Grabcem. Nie wiem, czy umiałbym władzę wykonywać. Żał mi świata mojego, w którym żyję codziennie. Ale...

— Co?

— Zdaje mi się, że dobrowolnie a niedołącznie poza życiem zostaję, i wstydę się tego czasem.

Lord Tedwen milczał przez parę chwil. Oczy jego, szeroko rozwarte, zdawały się błędzić gdzieś po latach minionych, co ze wspomnień żywo przed nim wstawały... Otrząsnął się wreszcie i zwrócił ku Jackowi.

— Cóż można zrobić dla tego życia, dla współzycia ludzi raczej? Wiesz o tym, że miałem ja władzę, jak może nikt inny...

— Tak.

— I porzuciłem ją. Czy wiesz dlaczego?

— Nie dawała ci, mistrzu, zadowolenia; wolałeś pracę ducha swojego...

Mędrzec potrząsnął głową z wolna, ale stanowczo.

— Nie. To nie o to idzie. Przekonałem się jeno, że dla ustroju społecznego nic zrobić nie można. Społeczeństwo nie jest wytworem rozumnym i dlatego doskonale nigdy nie będzie. Wszelka utopia, od najstarszych platońskich począwszy, przez ciąg wieków aż po dni dzisiejsze, aż po sen Grabca twojego, utopią na zawsze pozostanie: dopóki się roi po książkach, buduje się gmach z kart, nie dbając o prawo ciężkości, ale z chwilą gdy się rękę do dzieła przyłoży, widzi się nowe zło, które na miejscu dawnego, usuniętego powstaje. Współzycie ludzi doskonale, ustrój idealny to problemy z natury swej niedające się rozwiązać. Zgoda jest pojęciem sztucznym, wyrozumowanym; w przyrodzie, wszechświecie i ludzkiej społeczności istnieje tylko walka i przemijająca, pozorna równowaga prących na siebie sił przeciwnych. Sprawiedliwość jest postulatem uwodzającym i niezmiernie popularnym, gdyż właściwie z ludzkiego stanowiska nic rzeczywistego nie oznacza i każdy może ją sobie inaczej rozumieć, i słusznie, gdyż właściwie dla każdego powinna być inna sprawiedliwość, a tymczasem społeczeństwo jest jedno lub chce być jednym przynajmniej. W końcu to obojętne, czy władza lud czy tyran, mędracy wybrani czy szalona zgrają krzykaczy: zawsze ktoś jest ucisniony, zawsze komuś jest źle, zawsze jakaś krzywda się dzieje.

Ktoś zawsze musi cierpieć. W jednym wypadku większość cierpi, w innym nieliczni, ale może najlepsi, a zresztą chociażby jeden tylko cierpiał pokrzywdzony, ten właśnie, któremu kazano być „równym”, gdy on się przypadkiem na samowładcę urodził. Któż oceni, kiedy większa krzywda się dzieje, i kto wymierzy prawo, jakie człowiek każdy na

świat ten ze sobą przynosi? Oddanie słuszności jednej zasadzie jest pogwałceniem drugiej, nie mniej „sprawiedliwej”, i tak zawsze, bez końca.

Zamilkł na chwilę i przesunął dłonią po wysokim, zmarszczkami pooranym czole.

— Nie znaczy to — podjął znów, wzrok na milczącego Jacka zwracając — abym sądził, że nie trzeba się starać o poprawienie istniejących każdego czasu stosunków. Ale robić to mogą, nawet muszą, ludzie mający złudzenia, to jest wierzący, że to, co zrobią, będzie lepsze od tamtego, co było. Takich nigdy nie braknie, leży to już w ludzkiej naturze.

— Ty sam tak myślałeś, mistrzu — wtrącił Jacek.

Tedwen skinął głową.

— Ja sam tak myślałem, z górą pół wieku temu, kiedy młody byłem jeszcze... A później, straciwszy tę wiarę, myślałem znowu, że kiedy nie można wszystkich zadowolić i idealnych „sprawiedliwych” stworzyć stosunków, to niechże przynajmniej będzie wiele, jak najwięcej dobra do podziału... Wiesz, że przez szereg lat „uszcześliwiałem ludzkość” wynalazkami, ażem się w końcu przekonał, że i to jest nic... *Hawel hawolim, omar kobe-leth, hawel hawolim, hokol hawel...* „Marność marność, powiedział kaznodzieja, marność marność, wszystko marność!”. I to nie jest droga właściwa. Z wynalazków, z odkryć, dobrodziejstw, ułatwień, korzystają przede wszystkim ci, co i tak są syci, a najmniej warci w społeczności: większość olbrzymia, gnuśna i bezmyślna. Wynalazki wzmagają tylko te „zalety” tłumu...

— Więc sądzisz, panie, że robić ich nie potrzeba, nie warto?

— Czyż przeto mniej by się pojawiały, gdybym powiedział, że nie potrzeba ich robić albo nie warto? Zawsze będą ludzie, których myśl z przyrodą się zмага i zaprzęga ją do służby człekowi. Są oni pożyteczni, a nadto są ludźmi jedynymi. Pomyślałem, że o nich chodzi przede wszystkim, a nawet może jedynie o tych, co są mózgiem i duszą ludzkiej społeczności. Stary już byłem, kiedym się jął zawodu nauczycielskiego. Chciałem, aby jak najwięcej prawdziwych, myślących ludzi było na świecie. Znasz mnie z tych czasów; i tyś słuchał mych słów, synu ukochany.

— Błogosławimy cię wszyscy, nauczycielu.

— Niesłusznie. Jeszcze raz przytoczyć muszę kaznodzieję: „Kto wiedzę mnoży, przyczynia boleści”. Patrzę na was, ludzkości kwiat i światłość Ziemi, i widzę was dumnych, ale smutnych, wplątanych w kołowrót świeckich wypadków, wysiłających ducha na tak zwany pożytek tłumu przepaścią od was oddzielonego. Moja to wina, że tę przepaść widzicie i czujecie, moja wina, że myśl wasza znużona przelatuje nad pustką ostateczną, nie mogąc znaleźć odpocznienia, jak orzeł na szerokich skrzydłach nad wodami oceanu zbłąkany...

A cóżem ja wam dał w zamian? Jaką prawdę niewątpliwą? Jaką wiedzę? Jaką moc? Zaiste, że zbyt mało wiem ja sam, abym mógł być nauczycielem... Wszystko, co wam mówiłem o wszechświecie i bycie, było tylko rozszarpywaniem rzeczywistości, jaką oczy wasze znają, a niestety — niestety! — na żadne „dlaczego?” nie umiałem wam dać ostatecznej odpowiedzi.

Dlatego to właśnie pewnego dnia zamknąłem się przed swymi uczniami, pragnąc znaleźć wpieryw mądrość dla siebie, w tych dniach ostatnich, które mi jeszcze do żywobycia zostały... Dzisiaj niewiele mi już do stu lat niedostaje<sup>92</sup>: od dwudziestu blisko pracuję w samotności i skupieniu.

— I co nam masz do powiedzenia dzisiaj, nauczycielu? — zapytał Jacek.

Zdawało się, że lord Tedwen nie słyszy pytania. Wsparł czoło wysokie na dłoni i patrząc przez okno na szerokie, rozkołysane letnim wiatrem morze, mówił z wolna głosem rozplywającym się niemal w szepcie:

— Trud życia jest już poza mną i wysiłek wszelki, jaki myśl ludzka zdolna była ponieść. Wychodziłem na szczyty najwyższe, kędy już oku ginie oddalony świat i pustka jest naokoło, i zaś zstępowałem w głębokości takie, kędy już znowu pustka jest jeno. Nie uląkłem się żadnego pomyslenia i żadnej istności nie uważałem za nietykalną, badając ją owszem aż do ostatnich korzeni, rozrywając na włókna najpierwsze...

— I co nam powiadasz dziś, nauczycielu? — powtórzył Jacek, nalegając.

Starzec zwrócił nań oczy szeroko rozwarte, spokojne.

<sup>92</sup>niedostawać (daw.) — brakować. [przypis edytorski]

— Nic.

— Jak to: nic?

— Wszystko, com odkrył, jest tylko patrzeniem na znany nam świat z bliska, z wnętrza kropli wody, z wnętrza atomu albo drgającej cząstki elektronu, lub z takiej odległości, gdzie giną szczegóły i różnice, a byt w jedno równomierne morze się zlewa. Nie wyszedłem nigdzie poza doświadczenie, nie odpowiedziałem sobie na żadne „dlaczego?”, i przeto nie mam wam i dzisiaj nic do powiedzenia.

— Ale co, co odkryłeś? Mów!

W głosie Jacka zadrgała nuta natarczywej ciekawości człowieka, co dążąc na górę wysoką i niedostępną, spotyka na drodze podróżnika, właśnie ze szczytu jej wracającego.

Starzec zawahał się przez jedną chwilę. Wyciągnął rękę i zgarnął leżące przed sobą papiery — przez pewien czas przebiegał jeszcze okiem kolumny cyfr i znaki, i drobne, na brzegach kart w pośpiechu robione zapiski...

— *Nilhil ex nihilo*... — szepnął. — Zmysłowy świat naprawdę i dosłownie jest niczym.

Wzniósł głowę. Budził się w nim genialny odkrywca, budził się nauczyciel...

— Stara, przed wiekami wysnuta teoria tak zwanego „eteru” — począł mówić — upadła wobec zasady względności ruchu, nie mogąc się pogodzić z drugim fantomem myśli człowieczej, jakim jest materia... Dzisiaj dzieci w szkołach już wiedzą, że światło rozchodzi się z jednakową we wszystkich kierunkach szybkością, bez względu na to, czy źródło jego w ruchu jest, czy w spoczynku... Gdybyśmy chcieli ten fakt pogodzić z istnieniem eteru jako przewodnika drgań, musielibyśmy przyjąć nie jeden, ale tyle eterów wszechogarniających, niepodzielnych i bezgranicznych, ile jest ciał zmieniających względem siebie położenie we wszechświecie... A przecież musi być jakiś ośrodek, kiedy przezeń falami idą z gwiazdy na gwiazdę strugi światła i ciepła, i elektryczności, kiedy jedno ciało niebieskie ciąży ku drugiemu...

Powstał i począł chodzić po pokoju, ręce w tył założywszy. Naraz stanął nad Jackiem i dłoń mu wsparł na ramieniu.

— Eter jest — ozwał się — bez względu na to, jak go nazwiemy, nie ma tylko materii. To, co zmysły nasze od wieków za jedyną rzeczywistość uważają, nie jest nawet skupieniem sił, nawet zagęszczeniem ni rozrzedzeniem stałym eteru, lecz tylko pozorem śmiesznym, falą jedynie, która idzie przez eter podobnie jak fala głosu przez powietrze. Nie ma rzeczy stałej ani istotnej, zarówno słońca i systemy słońc, jak każda drobina, każdy atom i elektron są falowaniem tylko, zjawą niesamoistną i mknącą po eterze, który wobec badawczej myśli ludzkiej sam w jedno wszechogarniające i nieskończone nic się rozwiewa... Materia jest jeszcze mniej niż niczym.

Usiadł teraz i podparł dłońmi obiema czoło zamyślane.

— Wszystko płynie: *panta rhei*... Jak płomień gazowy, który dla oczu naszych trwa, mimo że składają się nań coraz inne cząstki węgla z tlenem się łączące! Ale po płomieniu ślad jakiś zostaje w nowym ciał połączeniu; fala materii bez śladu przemyka po eterze. Słońce w przestrzeń pędzące w każdej minucie, sekundzie i setnej sekundy z innych rozdrzanych, pozór mu dających cząstek eteru się tworzy i gdyby to drganie powstrzymać, zniknęłoby bez śladu i reszty jak tęcza, gdy promień światła zagaśnie. Zasada niezniszczalności materii i energii jest kłamstwem myśli naszej, za stałą goniącej wartością: wszystko w nic się obraca, z niczego wszystko powstaje.

— Więc gdzie jest prawda? Gdzie byt niewzruszony? — szepnął Jacek pobielalymi wargami.

Robert Tedwen opuszczył dłoń na rozwartą starą księgę, co na stole obok leżała.

— Tutaj. Patrz, czytaj.

Jacek nachylił się i jął czytać w mroku zapadającego wieczoru.

Stare, przed wiekami ręką w bukowym drzewie rznięte czcionki na poźółkłym, niezniszczalnym papierze odbite...

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.

To było na początku u Boga.

Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało.

W nim był żywot, a żywot był światłością ducha.  
A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły...”.

Oderwał oczy od kart i spojrział ze zdumieniem w twarz mędrca posiwiatego.

Wargi starca poruszały się z wolna, jakby szeptem powtarzał zdania przeczytane: „Na początku było Słowo...”.

— Nauczycielu...?

Zwrócił głowę w jego stronę.

— Tak jest. Wiedza moja cała, której życie poświęciłem, zdolna była tylko jedno wykazać: iż nie ma przeszkód, aby wierzyć. Te wszystkie śmieszne mary, te „oczywistości”, które rzekomo Objawieniu się sprzeciwiają, tak się przed myślą moją badawczą rozwiały, jak sen gorączkowy parną nocą śniony: przed pustką stanąłem, pustką niepojętą, a wszystkorodną, którą Słowo jedno wypełnić i zapłodnić jest zdolne...

Jedyną prawdą i rzeczywistością wśród płynącej fali jest duch. Z niego, dla niego i przezeń wszystko jest: Słowo stało się ciałem.

— Amen! — odpowiedział głos jakiś z proga.

Jacek wznosił oczy.

Pod ciężką kotarą drzwi, do dalszych izb gdzieś wiodących, stał ksiądz młody w czarnej sukni, o suchej zastygłej twarzy. W białych dłoniach książkę trzymał niewielką z krzyżem w pośrodku i ze srebrnym na rogach okuciem.

Skinął głową i wskazał ręką okno otwarte, przez które właśnie wpadać poczynął odgłos bijącego gdzieś z dala dzwonu.

Lord Tedwen powstał.

— Oto mój nauczyciel — rzekł. — Na starość znalazłem źródło Mądrości i Prawdy, którą Bóg zsyła na świat ten przez usta pokornych...

Jacek spojrział na księdza, a chociaż mu się zgoła nie wydało, aby ten kapłan o tępych, twardych rysach był sługą Prawdy pokornym, nie rzekł ani słowa, głowę jeno nieco pochyliwszy.

Starzec tymczasem zęgnął się z nim spiesźnie.

— Daruj, lecz sam muszę pozostać; godzina codziennej modlitwy nadchodzi...

Mrok już gęstniał, kiedy Jacek wracał zadumany nad brzegiem morza do samolotu swojego. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że właściwie stary nauczyciel nie dał mu żadnej odpowiedzi ani nie usunął dręczącej go wątpliwości, jak się ma zachować wobec ruchu, który za poduszczeniem Grabca łąda dzień się rozpocznie... Przypomniał sobie także, iż jeszcze wiele pytań miał zadać, że chciał opowiedzieć o przybyciu dziwnych z Księżyca posłańców, powtórzyć wieści o Marku, prawić o niepojętym czarodzieju Nyanatiloce, ale brakło mu jakoś czasu na to. Zresztą tam — wobec tego starca — zgubiło się to wszystko w jego własnej świadomości...

Przez chwilę myślał, czyby nie wrócić lub do następnego dnia nie poczekać, aby jeszcze z sir Robertem pomówić.

Uśmiechnął się sam do siebie i wzruszył ramionami.

— Na co? Po co? Przecież i tak nic mi nie odpowie. Stary już jest i wiekiem przytłoczony...

Przykrość mu sprawiała wspomnienie młodego księdza, którego widział tam — w drzwiach pracowni uczonego, zwłaszcza iż czuł, że włada on teraz duszą mędrca niepodzielnie.

— Stary jest i myśl jego osłabła... — szepnął znowu.

Ale w tej chwili przypomniał sobie to, co mu ten starzec mówił o swoich odkryciach, przypomniał sobie pokryte cyframi karty jego rękopisu, który miał w dłoniach; odwagę ducha, co się nie zawahał przed postawieniem teorii na pozór szalonej i nieprawdopodobnej; i wytrwałą bystrość jasnej myśli, która do ostatka ją prześledziła i niewątpliwym, dowodnym poparła rachunkiem — i uczył, że nic już nie rozumie...

Usiadł na kamiennej ławce na wybrzeżu i wsparłszy brodę na rękę, zapatrzył się w niebo pociemniałe nad morzem, kędy już gwiazdy pierwsze błyskać poczynęły...

Myśli snuły mu się uporczywie około punktu jednego:

— Ten ksiądz, ten młody, zastygły, nieznanany nikomu ksiądz, który zawładnął umysłem mędrca sławnego.

Przeżuwał w duszy długo tę zagadkę niepojętą dla siebie, aż naraz jak gdyby światło jakieś, raczej przecucie...

Nie ksiądz! Nie ten lub ów człowiek ułomny i niedoskonały, ale coś ogromnego, coś niewyrażonego, co z rozumem ludzkim zgodzić się nie chce, a w ludzkich duszach trwa i w tęsknotach, i w pragnieniach: Objawienie...!

Jakie? Czyje? Komu dane? Czemu to, a nie inne?

Może to wszystko jedno?

Posiwiwały mędrzec powiedział, że cała nauka i wiedza jego zdołały jeno, jako czyn największy, rozkruszyć rzekome oczywistości, co niby na przeszkodzie stoją Objawienia i wiary...

Może w istocie nauka nie robi nigdy nic innego, jak tylko to, że zwite zmysłami naszymi sieci pozorów rozsuwa, aby światło mogło przez nie przeniknąć? Twórcza moc jest gdzie indziej i o tym, co ona tworzy, wiedzieć nie można — w to tylko można wierzyć.

Tworzy ludzki duch i duch wszechświata tworzy...

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo... ”.

I pod ciężarem Słowa najbardziej znikoma nicość eteru rozfałowała się w siły, światłem rozbłysła i ciepłem, zadrgała elektrycznością i poczęły iść przez nią dreszcze materii: elektrony, atomy, drobiny, w kosmiczny pył się zbijające, w gwiazdy i słońca, i systemy słońc... i w gromady systemów, w mleczne drogi, w wszechświat.

Słowo!

„Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało... ”.

Błogosławieni ci, którzy wierzą!

Błogosławieni, owszem, którzy nie widzieli, a uwierzyli!

Jak wzbudzić w sobie ten płomień, mówiący ustawicznie „tak!” — jedynie twórczy i dający moc prawdziwą a spokój?

Wiara i czyn są ponad myśleniem i wiedzą, ale tak trudno, tak trudno, tak trudno rękami je z zewnątrz dosięgnąć, gdy się nie obudziły w duszy same.

A zresztą — może to wszystko śmieszne są rzeczy, tęsknoty rozbudzonej fantazji jeno, której nie należy dawać do siebie przystępu?

Odrzucił w tył głowę.

Nad morzem rozkołysanym, na niebie pośród gwiazd smuga światła olbrzymia, wodotrysk białego ognia, ginący mgłą rozperloną gdzieś u zenitu, jasną głową nieomal o widnokrąg na zachodzie oparty...

Kometa, która pojawiła się niespodziewanie przed kilku dniami i za kilka dni, o Słońce się otarłszy, zniknie z jego pobliża na wieczność, na wieczność, na wieczność całą!

Świejące nic, na miliony kilometrów przestrzeni rzucone, symbol i żywy obraz świata całego...

Mimo woli przypomniał sobie, jak przed wiekami dawnymi obawiano się komet, mając je za zwiastuny nieszczęścia lub wojny, i w tej chwili przyszedł mu na myśl Grabiec...

Czyżby to była jego kometa...? Jego, który z czynem na świat ten chce iść, wzgardziwszy dumnie wszystkim, co jest tylko samym myśleniem? Kometa wiodła pono niegdyś Aleksandra i Cezara, Atyllę, Wilhelma Zdobywcę, Napoleona...

Igraszka cieniów, cieniów bój, zwycięstwa cieniów...

Jedyną prawdą jest duch!

Zamyślił się, twarz w dłoniach obu ukrywając.

## II

Właśnie pan Benedykt siedział w swoim gabinecie przy biurku zarzuconym fotografiami Azy, kiedy przyrząd automatyczny, od dawna już zastępujący niezręcznych a kosztownych lokajów, oznajmił mu, że ktoś pragnie się z nim widzieć.

Zacny staruszek nierad był natrętowi. Po owym niefortunnym zajściu w Aszuan zmuszony był zerwać wszelkie stosunki ze śpiewaczką, która więcej na oczy nie chciała go widzieć. Przez jakiś czas nie mógł sobie dać rady zupełnie. Nazbyt przywykł do próżniaczej włóczęgi po świecie i towarzyszenia *divie*, która wprawdzie nigdy przesadnie dlań łaskawą

nie była, ale przyzwyczajwszy się nawzajem widzieć go koło siebie, nieraz kpiny przyjaznym osładzała uśmiechem. Nie wiedział po prostu, co ma teraz robić ze sobą i z czasem swoim, którego naraz zaczął mieć bardzo dużo. Zbyt cenił swą wartość — chociaż byłby w kłopotcie, gdyby mu kazano określić, na czym ona polega — aby nie być przekonanym, że wcześniej czy później Aza zatęskni za nim i błąd swój uznawszy, w skrusze a pokorze zawezwie go znowu do siebie. Ale tymczasem tygodnie mijały w próżnym oczekiwaniu, a śpiewaczka znaku życia nie dawała.

Wreszcie brakło mu cierpliwości i postanowił się zemścić.

„Ożenię się — pomyślał — i o niej nie chcę już wiedzieć!”

Nie wiadomo dlaczego zdało mu się, że jej to straszną przykrość sprawi.

Zatarł ręce zadowolony. Wyboru wprawdzie jeszcze nie zrobił, ale to była już rzecz najmniejsza. Tyle jest dziewcząt młodych i biednych, do ciężkiej pracy albo do występów gdzieś na małej scenie zmuszonych, które będą szczęśliwe, gdy bogaty emeryt raczy im miejsce u boku swego ofiarować...

Zabrał się zaraz do dzieła, to znaczy postanowił Azę zawiadomić o swoim postanowieniu...

Zapytał w centralnym biurze adresowym o miejsce jej pobytu i kupił melancholijną, liliową ćwiartkę listowego papieru. Przyszło mu na myśl, że razem z listem należałoby Azie zwrócić jej fotografie. Nie był tylko pewien, czy wraz z nielicznymi, które z rąk jej własnych różnymi czasy otrzymał, ma jej też odesłać to mnóstwo skupowane po sklepach, którym stroił dumnie ściany swego gabinetu i szuflady biurka zapełniał?

Po głębszym namyśle dla większego wrażenia postanowił przesłać jej wszystko razem.

Skrzynka była już przygotowana i właśnie żegnał się z fotografiami, układając w myśli zwroty listu, jaki miał napisać, gdy gość mu się oznajmił.

Pan Benedykt zaklął z cicha, ale nie mniej przeto siarczyście. Nie miał sposobu ukryć rozrzuconych portretów. Składanie ich do szuflad zbyt wiele by czasu zajęło, a nie chciał ich oddać na pastwę oczom przybysza... Kręcił się tedy przez chwilę niezaradnie, aż nagle pomysł genialny strzelił mu do głowy: zdjął pokrowiec wzorzysty z obok stojącej sofy i przykrył nim całe biurko wraz z fotografiami. Po czym poszedł ku drzwiom i otworzył, naciskając równocześnie guzik, wprawiający w ruch windę elektryczną.

Za chwil parę w drzwiach przedpokoju stanął Łacheć.

— Ach, to ty...

— Tak, to ja.

Uśmiechnęli się obaj kwaśno.

— Dawno cię nie widziałem.

— I ja również dawno nie widziałem wuja...

Przeszli do gabinetu.

Łacheć przybył do pana Benedykta z myślą wprost rozpaczliwą wyciągnięcia od niego jeszcze jakiejś pożyczki. Po owej nieszczęśliwej grze w Asuan zostało mu tyle grosza zaledwie, że mógł najtańszym pociągiem wrócić do Europy. Zniknął też tak nagle, że ani Halsband, nierad go z rąk wypuszczać, ani szukający go Grabiec nie wiedzieli, gdzie i kiedy się zgubił...

Od samobójczych myśli, pod wpływem rozdrażnienia w nim wybujałych, ocaliła go jakaś wewnętrzna, uparta, chłopska tężyzna, a nade wszystko pomysł nowy dzieła muzycznego, zwycięski, tryumfalny, mocy pełen i pełen śmiechu bogów, rodzący się w duszy nie wiadomo skąd w chwili największego zgnębienia... Odkąd pierwsze twórcze zarysy w głowie mu zamajaczyły, nie był już zdolny myśleć o niczym innym. Wszystko mu znikło sprzed oczu oprócz jednego wielkiego pragnienia: stworzyć, napisać, usłyszeć!

Parę tygodni, parę miesięcy spokoju! Trochę możliwości skupienia się i pracowania, bez koniecznej pamięci o tym, że trzeba jeść, mieszkać, zarabiać!

Wiedział, że od wspaniałomyślnego Halsbanda każdej chwili w formie zaliczki jakąś sumkę podłą może dostać, ale wiedział również dobrze, iż w takim razie jednej godziny spokoju mieć nie będzie, nagabywany wciąż: „co robi?”, „czy wnet już skończy?”, „kiedy do obowiązkowych zajęć powróci?”.

Pomyślał o wuju Benedyckie jako ucieczce ostatniej i postanowił go złupić za wszelką cenę.

Myśl o tej operacji koniecznej nie była mu przyjemna. Miał wstręt nieprzewyzię-

Pieniądz, Nienawiść

żony i aż bolesny przed wszelkim poniżaniem się, prośbą, dziękczynieniem — i przez dziwną „konsekwencję” duszy ludzkiej uczuł z góry nienawiść do wuja za to, że ma zamiar pieniędzy odeń pożyczyć.

Teraz, siedząc naprzeciw niego po drugiej stronie biura, pokrowcem ze sofy ściągającym przykrytego, patrzył nań z wściekłością nielicującą zgoła z zamiarem, jaki go tu sprowadził, i poruszał żuchwami, jakby miał ochotę zacnego staruszka zemleć w zębach bez litości.

— Jakże się miewasz? — ozwał się pan Benedykt po głębszym namyśle.

— Jak najgorzej — zgrzytnął Łacheć.

Pan Benedykt uczuł ochotę powiedzenia siostrzeńcowi czegoś przyjemnego.

— Podobala mi się muzyka twoja dla pani Azy napisana.

Łacheć podskoczył na krześle.

— Podobno zarobiłeś mnóstwo pieniędzy?

— Przegrałem wszystko.

— O!

Wzniósł brwi wysoko i patrzył przez chwilę na kuzyna, kiwając głową smutno i z wyrzutem. A potem rzekł niespodziewanie:

— Żenię się.

— Czy wuj osza...!

Urwał w połowie wyrazu i wypluł ze siebie niby uprzejmie:

— Winszuję. A z kim, jeśli wolno zapytać?

Pochylił głowę, aby ukryć uśmiech złośliwy, i w tej chwili wzrok jego padł na połowę twarzy Azy, spod pokrowca na biurku wyglądającą.

Oddech mu zaparło dzięki podejrzenie; chwycił pokrowiec oburącz, aby go odrzucić, ale pan Benedykt czuł. Przyparł dłońmi tkaninę i tak mocowali się przez parę chwil, aż wreszcie muzyk zwyciężył. Za zdartą szmatą posypały się fotografie na podłogę całą kupą. Pan Benedykt, zarumieniony jak młodzieniaszek, schylił się, aby je zbierać, a Łacheć pobladał. Wbił oczy w tę twarz, z setki kawałków kartonu doń wyglądającą, i zacharczał głosem stłumionym:

— Z kim? Z kim się wuj żeni?

— Nie wiem jeszcze! Czyś ty zwariował? Po co to rozsypałeś? Muszę odesłać... Ożenię się w najbliższych dniach, ale nie wiem jeszcze z kim.

Łacheć wybuchnął śmiechem.

— A, tak to co innego!

— Jak to co innego? — sapał zaczerwieniony z wysiłku emeryt. — Pomóżże mi zbierać. Licho cię nadało czy co! Przecież ja to muszę odesłać!

Muzyk zmieszał się nagle i onieśmielił... Potrącając krzesło, przypadł na kolana i począł zgarniać niezgrabnie fotografie rozsypane, bąkając jakieś wyrazy usprawiedliwienia wobec zrzędzącego wciąż staruszka. Wreszcie robota była ukończona. Usiedli znowu naprzeciw siebie i rozpoczęli dziwnie zajmującą rozmowę, podczas której każdy z nich myślał co innego, niż mówił. Panu Benedyktowi świrowało wciąż w głowie, po kiego licha siostrzeniec nawiedził go o tej porze mało właściwej, a Łacheć, opowiadając jakąś wymyśloną historię, grał w myśli ze sobą w cetno i lichu: „pożyczy czy nie pożyczy?”.

W końcu nie mógł już wytrzymać. Przerwał zdanie w połowie i zagadnął niespodziewanie:

— Wuju, jestem w nędzy. Pomocy mi trzeba...

Pan Benedykt zamilkł. Przez pewien czas przypatrywał się gościowi, ruszając brwiami białymi i głową kiwając poważnie, aż się tamtemu to nareszcie znudziło.

Zagadnął po raz drugi:

— Czy nie mógłby mi wuj... dopomóc?

I teraz pan Benedykt nie od razu odpowiedział. Powstał naprzód, przeszedł się po pokoju i chrząknął parę razy.

— Mój drogi — zaczął — powinien bym ci właściwie robić wyrzuty, że jesteś lekko-myślny... Istotnie w Asuan nie trzeba było grać, lecz grosz zarobiony tak niespodziewanie schować dobrze...

Łacheć powstał, ażeby odejść. Pan Benedykt dostrzegł jego zamiar i ujął go kordialnie za ramię. Uśmiechnął się nawet dobrotliwie.

— Siadaj, siadaj! Przecież ci nie odmawiam! Żenię się, jak powiedziałem. Chciałbym zatem i tobie dla pamięci sprawić przyjemność...

Podszedł do biurka i wysunął jedną z szuflad. Przerzucił coś długo, aż wydobył wreszcie parę ćwiartek zapisanego papieru. Przebiegł je szybko oczyma.

— Jesteś mi winien dwa tysiące sto szesnaście sztuk złota... Oto twoje rewery.

— Tak. Gdyby teraz jeszcze taką sumę... choćby połowę...

— Na bieżącą srebrną monetę to zamieniwszy, będziemy mieli...

— Gdyby teraz choć czwartą część tego...

— Powiedziałem ci już, że się żenię. Nie chciałem, aby w takiej chwili coś między nami... Twoja matka była mi jakąś siostrą cioteczną...

Pan Benedykt był istotnie roztkliwiony. Przelknął ślinę i rozwarł szeroko wilgotne oczy. Bohaterskim a serdecznym ruchem wyciągnął dłoń z kwitami w stronę zdumionego Łachcia.

— Masz! Od tej chwili nic mi już winien nie jesteś! Daruję ci dwa tysiące sto szesnaście złotników. Przyjmij to dla pamięci matki twej.

Głos mu zadrgał ze wzruszenia.

Łacheć oniemiał, zupełnie oszołomiony takim niespodziewanym obrotem rzeczy. Widział, że wuj stoi i czeka, aby on mu się rzucił na szyję lub przynajmniej podziękował, bąknął tedy coś niezrozumiałego i wsunawszy własne rewery do kieszeni, jak gdyby one rzeczywiście jakąś wartość miały dla niego, zaczął się zbierać do odejścia.

Pan Benedykt poruszył się niecierpliwie. Znać było, że jest zdumiony chłodnym zachowaniem się siostrzeńca wobec swej hojności i ma jeszcze ochotę coś powiedzieć... Jakoż zatrzymał go na progu.

— Słuchaj — rzekł, nieco tajemniczego podźwiewku słowom swoim nadając — ale tyś mi przez trzy lata nie płacił zgoła procentu... Kapitał ci podarowałem, ale procent... widzisz... ja się teraz żenię, będę miał znaczne wydatki... Jeśli nie masz przy sobie, to przyslij mi za kilka dni procent zaległy. Niech już między nami wszystko będzie wyrównane!

Uściskał go serdecznie i wrócił do pokoju. Nie mógł zgoła zrozumieć, dlaczego się Łacheć nie cieszył, lecz owszem, wychodząc, takie na niego rzucił spojrzenie, jakby go chciał wzrokiem uśmiercić.

Westchnął głęboko i boleśnie nad ludzką niewdzięcznością, uśmiechnął się łzawo do własnej szlachetności i z uczuciem spełnienia dobrego czynu siadł przy biurku, aby pisać list do Azy.

Tymczasem Łacheć, wyszedłszy z domu wuja, począł się włóczyć po ulicach miasta bez myśli i celu.

Ogromne lampy elektryczne, błękitnym oszkleniem złagodzone, zalewały światłem chodniki szerokie, pełne przechadzających się wieczorem tłumów... Od dawna zniesiono już stary i śmieszny zakaz otwierania sklepów nocą. Obecnie magazyny zamykane bywały od jedenastej do piątej po południu, a za to do północy i dłużej świeciły rozświetlonymi wystawami, pełne ruchu, gwaru i przesypującego się ciągle wraz z ludźmi złota. Złoto sypało się zresztą wszędzie, płynęło rzeką, to rozpryskując się na boki, jak woda w kroplach, to spływając w innym miejscu w jedno szersze koryto... Dźwięk jego nieustanny słychać było u wejścia do olbrzymich, licznych teatrów, sal koncertowych, cyrków i bio-fono-skopów — we drzwiach kawiarni, gdzie w przerwach między głosem fonografu (Halsband and Co, Ltd.), wykrzykującego na przemian ostatnie depeşe i arie najmodniejszych śpiewaków, niby skromnie odziane, a jednak obrzydliwie nagie tancerki wierzgały nogami w czarnych, siatkowych trykotach; w bankach, najintensywniej teraz pracujących; w zamtużach, urządzonych z niesłychanym przepychem i przeto wyższych ponad wszystkie ograniczenia policji publicznej obyczajności; i wszędzie, wszędzie, gdzie tylko było oko zwrócić lub stopę.

Krążącym tłumem potrącani, spychani z chodnika i znów ustępujący z drogi licznym samochodom, środkiem ulicy pędzącym, szedł Łacheć, dokąd nogi go niosły, nie wiedząc zgoła, gdzie idzie i co jutro będzie robił. Nie umiał już nawet myśleć o swoim położeniu. Poprzez gwar rozmów, krzyku, nawoływań, świstu syren i wrzasku trąbek samochodowych, chrapania obrzydliwego samograjów i zgrzytu kół hamowanych wpadały w uszy Łachcia jakieś okruchy, strzępy oderwane muzyki jego własnej, co, zda się, z duszy mu wybuchła, otaczając na chwilę dobroczynną falą głowę jego umęczoną... Stawał



wtedy na moment w tłumie ulicznym, setki mil odeń myślą odległy, i chwycił dźwięki przelatujące, nim zginą, nim je rozgwar zwycięski porwie i zagłuszy. Lecz oto znowu ktoś go potrącił, ktoś nazwę świeżo wysłanego dziennika w ucho mu wrzasnął albo stróż porządku publicznego iść mu dalej kazał, by nie tamował ruchu swobodnego, więc znów się zbierał pospiesznie i szedł przed siebie, jak gdyby rzeczywiście dokądś zdążyć wśród tego zamętu.

Stanął nareszcie we wnętrzu<sup>93</sup> jakiejś bramy, nie wiedząc właściwie, dlaczego staje. Miał wrażenie, że się znajduje kędyś w dobrze sobie znanym miejscu. Wzniósł głowę. Przed nim, po drugiej stronie ulicy, widniał napis olbrzymi, ozdobnie i poniekąd zalotnie z kolorowych lampek ułożony: „Halsband and Co, Ltd. — Udoskonalone Gramofony”.

Zachnął<sup>94</sup> się jak koń, którego sposzy nagle pękająca pod nogami petarda. Z okien gmachu ogromnego brzmiała straszliwa kakofonia setki instrumentów dla próby snadź w ruch puszczonej: każdy z nich wygrywał co innego, jedne śpiewały, inne, w których pokutowała jakaś uwieczona orkiestra, jęczały rozpaczliwie, jakby prosząc o litość nad własnym losem, a były i takie, co udawały równocześnie głosy zwierząt lub pijane krzyki kłócących się robotników na przedmieściu.

Łachciowi włosy stanęły na głowie. Chciał już uciekać od tego strasznego piekła i więzienia swojego, gdy nagle wpadł mu w uszy zwycięsko z gardzieli jakiegoś potężniejszego instrumentu dobywający się, jakby szyderstwo strasliwe, jego własny *Hymn o Izydzie*. Poznał słowa Grabca dostojne a mocne i burzę swych dźwięków, i Azy głos... zniekształcony, sponiewierany w blaszanej gardzieli...

W oczach mu pociemniało; wsparł się plecami o mur i począł patrzeć na dom z tak straszną nienawiścią, z takim wrogiem zapamiętaniem, że aż wargi mu drżały ponad odsłoniętymi zębami i ręce zwijały się w pięści, mocno, coraz mocniej, do bólu... Przez myśl przelatywały mu jak błyskawica różne straszne a niewykonalne pomysły: wysadzić budę w powietrze, potrząsać wszystkie przyrządy. Halsbandowi gardło poderżnąć albo wsadziwszy mu w uszy dwie najgłośniejsze ryczące maszyny, na śmierć go nimi zawrzęszczyć...

Naraz uczył całą bezsilność swoją i wtulił, jakby zawstydzony, głowę między wysokie ramiona. Brwi mu się ściągnęły — patrzył teraz ponuro przed siebie jakimś tępym, zmartwiałym wzrokiem...

Trwał tak długo bez myśli prawie, gdy nagle poczuł, że ktoś mu kładzie dłoń na ramieniu. Odwrócił się. Obok niego stał Grabiec.

— Szukam pana od dawna... Pójdź pan ze mną.

Łacheć mimo woli posłuchał tego głosu rozkazującego i nie pytając nawet, dokąd go wiedzie, zapuścił się z Grabcem w sieć słabiej oświetlonych bocznych uliczek.

Szli przez długi czas w milczeniu. Minawszy dzielnice rojne i gwarne, pełne sklepów błyszczących, przedostawali się właśnie ku ogromnym fabrykom na krańcach miasta, gdzie noc i dzień za czarnymi murami gorączkowa wrzała robota. Drogi tu były i dziedzińce przeważnie niebrukowane, lecz tylko okruczem i żużlem węgla na pewną wysokość pokryte; miejsce łagodnych świateł ze śródmieścia zajmowały nieosłonięte lampy lukowe, wyglądające na wysokich masztach jak gwiazdy zawieszane na szubienicach. W jaskrawym, zimnym ich blasku cienie padały czarne od kominów fabrycznych; od przesuwających się rażno po szynach wagonów, od ludzi krążących. Ogromne okna zabudowań, na drobne, od pyłu wiecznego mętne szybki podzielone, buchały żarem światła, jak czeluście pieców jakichś piekielnych.

Grabiec przystanął z milczącym wciąż Łachciem w załomie muru. Była właśnie pora, kiedy robotnicy w jednej z fabryk zmienili się po zwykłej dwugodzinnej pracy, ustępując miejsca świeżym zastępcom. Przez szeroko rozwarte drzwi wpłynęła fala ludzi milczących, w spodnie szare i bluzy płócienne jeno odzianych. Widać ich było doskonale, jak rozsuli się po hali ogromnej, stojąc w gotowości tuż za zajętej przy maszynach robotnikami. Ten i ów zakasał rękawy, roztarł dłonie stwardniałe... Zabrzmiał pierwszy dzwonek; twarze oczekujących przyjęły wyraz tępy a czujny.

Na drugi znak setka ludzi nagle od maszyn odstała i w tejże samej chwili, bez sekundy przerwy, sto nowych rąk opadło na dźwignie, pochwyliło rękojeści regulato-

<sup>93</sup>we wnętrzu — dziś r.ż.: we wnętrze. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>zachnąć się — okazać oburzenie, zniecierpliwienie, gniew, niecierpliwłość; obruszyć się. [przypis edytorski]

rów, wparło opuszczone czopy. Uwolnieni, gromadząc się w pośrodku, przeciągali teraz wolno i leniwie mięśnie znużone, jakby z kataleptycznego snu jakiegoś zbudzeni, słowa urywanych rozmów towarzyszom rzucali, stawali się ludźmi na powrót. Przy maszynach nieustrudzonych stały już nowe manekiny.

Z otwartych drzwi poczęła się fala ludzi wysypywać na dziedziniec obszerny. Grabiec przebiegał bystrym okiem mijających go robotników, aż naraz postąpił ku jednemu z nich.

— Józwa!

Zagadnięty obrócił się i zatrzymał. Chłop ogromny, ryży, o ponurym wejrzeniu. W młodych oczach tlił się dziwny płomień uporu i stanowczości.

— To wy, Grabiec?

— Tak.

Robotnik spojrział podejrzliwie na Łachcia.

— A kto to przyszedł z wami?

— Nowy towarzysz. Mniejsza o imię. Pójdźmy.

Wysunęli się z mijającej ich gromady, zwracając kroki ku wielkiej tawernie w pobliżu, gdzie nocną porą po pracy zbierali się robotnicy na odpoczynek i zabawę.

W obszernych izbach tłumnie było i gwarно. Łacheć patrzył z zajęciem i nie bez pewnego podziwu na twarze te i postacie jędrne, silne, zwaliste, tak inne od tych, które widywał przez całe życie swoje w śródmieściach, na teatrze, na ulicy, w biurach urzędniczych i w kawiarniach. Przepaść oddzielająca masy robotnicze od reszty społeczeństwa wzrosła w ciągu wieków tak dziwnie i niepojęcie, że tam „na wyżynach” cywilizowanego motłochu nie wiedziano prawie o ich istnieniu...

Rewolucja

Usiedli w kącie przy osobnym stoliku. Korzystając z chwili, kiedy się Józwa oddalił dla wydania służącemu poleceń, czy też rozmowy z jakimś znajomym, Grabiec zagadnął Łachcia, głową na tłum wskazując:

— Czy wie pan, co to jest?

Łacheć spojrział mu w oczy.

— Morze, morze, które trzeba rozkołysać, rozwichrzyć, wzdąć i zalać nim świat...

W głowie Łachcia, dotąd oszołomionej, nagle coś błysnęło, zdawało mu się, że zaczyna rozumieć...

— I pan chce...?

Grabiec skinął głową, wzroku zeń nie spuszczać.

— Tak.

— I pan mnie wezwał...?

— Tak.

— Aby już nie było Halsbandów, gramofonów, starych emerytów?

— Tak jest. Aby nie było nic z tego, co jest. Jeno wielkie morze, chłonnać brud ziemi, a nad nim rozkazujący falom bogowie.

Józwa zbliżył się do nich i usiadł ciężko na krześle.

Zaczęli rozmawiać, pochylając głowy ku sobie. Początkowo Łacheć tym, co mu Grabiec rzekł, oszołomiony, nie mógł powiązać treści dolatujących go słów. Patrzył tylko na te dwie głowy ku sobie pochylone, tak bardzo różne, a jedną jakąś myślą w tej chwili objęte. Oczy Józwy otwierały się ciężko, gdy mówić zaczynał, i trwały nieruchomie rozwarłe, uporczywe, twarde. Słowa wypowiadał wolno, każde z osobna, z najzupełniejszym, niemal obojętnym spokojem na pozór, ale chwilami znać było, że drga gdzieś pod nimi nieubłagana, obłądna nienawiść i moc, wysiłkiem woli tylko od wybuchu powstrzymana...

Twarz o niskim czole pod okrągłą czaszką wydawała się na pierwsze wejrzenie tępa i niemilą. Gdy jej się jednak Łacheć po kilku chwilach lepiej przypatrzył, przyszło mu do głowy, że ten człowiek nie może być tylko robotnikiem... Zaczął zwracać uwagę na jego słowa.

— Grabiec — mówił Józwa, pięściami obiema wsparty na stole — czy wy myślicie, że ja po to zszedł między robotników i dziesięć lat życia spędził w oglupiającej pracy fabrycznej, aby dzisiaj spełniać czyjekolwiek życzenia? Słuchajcie mnie, Grabiec, mnie dobro niczyje zgoła nie obchodzi, utopii nie piszę, o przyszłości ludzi nie marzę. Ja tylko wiem, że trzeba, aby czasem na wierzchu było to, co przez wieki całe bywało na dole, aby ogień podziemne wybuchały na zewnątrz... Co jutro będzie, jutro pokaże.

— Jednakże nie wzbraniacie się iść ze mną? — wtrącił Grabiec.

Po szerokich wargach Józwy uśmiech przebiegł nieznaczny.

— Nie ma powodu wzbraniać się — odparł. — Na razie cel jest wspólny. Jeno że wy chcecie nas, dzicz, jak myślicie w duchu, użyć za narzędzie, a ja się śmieję i z tego, i z was. Najlepiej sprawę postawić jasno i otwarcie. W waszym przekonaniu ze zwycięstwa, z naszą pomocą otrzymanego, skorzystacie wy, mędrzy, uczeni, artyści i coś tam podobnego. A ja wam powiadam, że nie my wam, lecz wy nam później służyć będziecie, o ile naturalnie przyjdzie nam ochota korzystać z tego, co wy możecie dać.

— Czas to pokaże. Wyzyskać was nie chcemy.

— Chcecie. Ale mniejsza o to. Macie słuszność, że czas wszystko pokaże. Na razie nie ma o czym mówić. Teraz nam i wam chodzi tylko o jedno: o zniszczenie tego, co jest, o zgnębienie rozpanoszonego środka, o przewrót. Idziemy razem... Gruzy zostaną tam, gdzie przejdziemy, zgliszczą i krew.

Łacheć słuchał z zapartym oddechem — myśli jakieś nowe, winu mocnemu podobne, do głowy mu uderzały.

### III

Była godzina południowa, kiedy samolot Jacka, wracającego od lorda Tedwena, opadł na platformę dachową domu jego w Warszawie. Jacek wyskoczył szybko z siedzenia i zadzwoniwszy na mechanika, aby się zajął maszyną, zbiegł po schodach na dół. Ogarniał go dziwny niepokój, którego sobie nie umiał wytłumaczyć: pilno mu było do pracowni. Miał wrażenie, jakby się tam stało coś pod jego nieobecność...

Myśl ta dręcząca nasza go w pewnym momencie podczas drogi, gdy wysoko ponad ziemią w powietrzu zawieszony na próżno jeszcze śledził okiem we wschodnich krańcach widnokągu miasta rodzinnego. Od tej chwili pędził też z zawrotną szybkością, największą, na jaką stać było lotny jego pojazd. Warczenie śruby, rozdzierającej oszalałymi śmigłami powietrze, łączyło się ze świstem wichru nieustannym; Jacek musiał założyć maskę na usta, aby umożliwić sobie w tym pędzie niesłychanym oddychanie... Krew biła mu w skroniach, pulsa<sup>95</sup> bolała po prostu od tętna przyspieszonego.

Doznał pewnej ulgi, gdy zobaczył, że dom jego stoi na dawnym miejscu niewzruszony.

W wielkim, azbestowymi dywanami o świetnych barwach zasłanym przedsionku, tuż u drzwi pracowni spotkał służącego, który na łoskot opadającego samolotu z dalszych wybiegł pokoi.

— Co słychać?

— Nic nowego, Ekscelencjo. Czekamy waszego przybycia.

Jacek pomacał się po kieszeni, gdzie klucz miał od drzwi swojej pracowni.

— Nikt o mnie nie pytał?

— Nie. W ciągu tych dwóch dni nie było nikogo.

— A przybysze z Księżycą?

Służący uśmiechnął się.

— Mają się dobrze. Tylko ten rozczochrany...

Urwał.

— Co takiego?

— Ekscelencja kazał zadowalać wszystkie ich życzenia. Ten rozczochrany wydaje ciągle rozkazy. Podobać im nie można. Mówi przy tym dziwnym językiem, który doprawdy mało polszczyzny ma w sobie, i gniewa się, że go nie rozumiemy.

Jacek skinieniem dłoni oddalił lokaja i odkładając na później przywitanie z karłami, włożył klucz do tajemnego zamka. Kilka naciśnień<sup>96</sup> i obrotów i drzwi rozsunęły się nagle na obie strony, ciemną czeluść otwierając za sobą. Metalowe zasłony na oknach były pospuszczane; Jacek wyszukał dłonią guzik w uszaku drzwi i włożywszy w otwór poniżej mały kluczyk, nacisnął. Fala światła wpadła przez naraz odsłonięte okna, ćmiąc mu źrenice.

Raźnym krokiem przeszedł pierwszy okrągły gabinet, w którym zazwyczaj przy biurku pracował, i otworzywszy jeszcze jedno metalowe drzwi w ścianie ukryte, szyją wąskiego

<sup>95</sup>pulsa — dziś popr. forma M.lm: pulsy. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>naciśnienie — dziś: naciśnięcie. [przypis edytorski]

korytarza udał się do laboratorium swego prywatnego, które tym jednym przejściem tylko przez gabinet jego ze światem się łączyło.

Stanąwszy na progu drzwi, wydał mimo woli lekki okrzyk.

Nad przyrządem, w którym zamknięta<sup>97</sup> była straszliwa tajemnica jego wynalazku, siedział nieruchomo człowiek jakiś pochylony... Jacek jednym skokiem był przy nim. Człowiek powstał z wolna i odwrócił się.

— Nyanatiloka!

Patrzył przez jedną sekundę w twarz buddyście, a potem nie pytając nawet, jak się tu dostał przez zamknięte żelazem drzwi i okna, schylił głowę nad przyrządem... Jeden z drutów, przewodzących prąd elektryczny, był przecięty. Jacek spojrzął na wskazówkę zegara, natężenie prądu notującego — i zmartwia! Drut został przerwany właśnie w tej chwili, kiedy prąd, z niewytłumaczonej przyczyny ponad miarę wzmożony, dochodził tego natężenia, że przyrząd mógł samorzutnie wybuchnąć... Jeszcze jedna cząstka sekundy, a nie tylko dom jego, lecz miasto całe byłoby się zamieniło w kupę gruzów na porytej ziemi.

— Już nie ma niebezpieczeństwa — rzekł Hindus, uśmiechając się. — Prąd jest przerwany.

— Ty to zrobiłeś?

Nyanatiloka nie odpowiadał. Ujął Jacka za rękę i z wolna poprowadził do gabinetu z powrotem. Uczony dał się wieść jak dziecko, myśleć prawie niezdolny. Chaos jakiś w głowie mu kotłował; bał się po prostu pytać Trójświatowiednego, co się stało, tak mu się to wydawało nieprawdopodobnym i wywracającym wszelki porządek ludzkiego myślenia.

Po jakimś czasie dopiero, kiedy siedział już w wygodnym fotelu przed swoim biurkiem, ocknął się z oszołomienia i począł patrzeć na Nyanatilokę, jakby ze snu zbudzony, szeroko rozwartymi oczyma. Miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jego burnusa dla przekonania się, że ten człowiek stoi przed nim rzeczywiście, ale jakiś wstyd go powstrzymał...

Nie wiadomo, czy Nyanatiloka początek ruchu jego zauważył, czy przeczuł myśl...

— Czy sądzisz — ozwał się — że zmysł dotyku jest pewniejszy od zmysłu wzroku? Przecież mnie widzisz oczyma.

— Skąd się tu wziąłeś?

— Nie wiem — odparł Hindus zupełnie szczerze.

— Jak to, nie wiesz? Przecież to niepojęte! W chwili, kiedy zamykałem pracownię, przed dwoma dniami, wiem na pewno, że nikogo w niej nie było...

— Wczoraj jeszcze byłem na wyspie Cejlonie w towarzystwie mych braci...

— Nyanatiloko! Miej litość nade mną! Mów prawdę!

— Prawdę mówię. Dziś, przed godziną czy może przed dwiema, modląc się, uczulem nagle, że w pracowni twojej dzieje się coś strasznego. Mimo największego wysiłku nie zdołałem zrozumieć, co to jest, nie mogłem więc powstrzymać katastrofy z odległości, a czulem, że nie ma chwili do stracenia.

Jackowi kroplisty pot wystąpił na czoło.

— Mów, mów dalej!

— Niewiele jest już do powiedzenia. Zamknąłem wszystkie zmysły, aby mi pozór świata zewnętrznego nie przeszkadzał, i zapragnąłem znaleźć się tutaj. Gdym oczy otworzył, zobaczyłem drut przyrządu twego przed sobą: przeciąłem go.

— Gdybyś się był zawahał przez jedną ćwiartkę sekundy, byłbyś pod wpływem wybuchu wraz z domem całym zamienił się w jedno nic po prostu.

Nyanatiloka uśmiechnął się, patrząc mu w oczy.

— Nie wierzysz? — rzucił Jacek.

— Czy wybuch maszyny twojej zdolny jest zamienić w nic to jedno, co naprawdę jest, ducha?

Jacek zamilkł. Białymi dłońmi przetarł czoło kilkakrotnie i powstawszy, zaczął chodzić po pokoju. Po chwili dopiero odezwał się:

---

<sup>97</sup>zamknięty — dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

— Nie mogę dziś mówić z tobą. Zbyt wielki chaos czuję w głowie i jestem po prostu myśleniem znużony... Dziwną rozmowę już miałem wczoraj wieczorem, która mi jeszcze z myśli nie wyszumiała.

Urwał i przystanął — a potem naraz zwrócił się żywo ku Nyanatiloce.

— Słuchaj! Mów mi, co jest duch! Ciągłe, ciągle słyszę to słowo... Wiem wiele, a o tym jednym nie mam pojęcia, chociaż to jest najbliższe, choć to jest mną! I nikt o tym nie wie, nikt o tym nigdy nie wiedział! Czyż naprawdę zawsze tylko wierzyć w to trzeba, co jest w człowieku głębią najistotniejszą?

— Wierzyć, to mało — szepnął Nyanatiloka, patrząc przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. — Trzeba wiedzieć koniecznie.

— A ty wiesz?

— Wiem.

— Skąd? Jak?

— Bo chcę.

Jacek wzruszył ramionami z wyrazem zawodu w twarzy.

— W błędne koło wchodzimy. Tak różny jest sposób myślenia mój a twój, że snadź<sup>98</sup> nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Czyż wiedza może być od woli zawisła<sup>99</sup>?

— Tak. Jest od woli zawisła.

Zaległo na chwilę milczenie. Jacek usiadł znów i wsparł głowę na dłoniach.

— Dziwnie mi prawisz. Trudno mi uznać wyniki twego, tak niepojętego dla mnie rozumowania. A jednak pociąga mnie to wszystko, ta wiedza twoja spokojna i pewna, na akcie woli oparta. Mówże mi, czym jest ten duch dla ciebie?

— Duch jest tym, co jest. Wszystko się stało przez niego, a bez niego nic się nie stało, co się stało.

Jackowi zamajaczyła w oczach ogromna siwa głowa lorda Tedwena, nad księgą Ewangelii św. Jana schyloną.

— Więc i ty, i ty to samo... — szepnął.

Nyanatiloka zdawał się nie słyszeć.

— Świat powstał z ducha — prawil dalej — duch jest światłością życia i prawdą jego jedyną, a co naokół niego, to pozór jedynie zeń wysnuty i na razie przemijający. Duch stał się ciałem...

— A jeśli zamrze wraz z ciałem? — wtrącił Jacek mimo woli.

Wschodni mędrzec uśmiechnął się.

— Jestżeś zdolny<sup>100</sup> bodaj na chwilę tak przewrotną rzecz przypuścić?

— Nie wiem nic. Przed tobą przyznaję się otwarcie do tego, że nie wiem. Są ludzie, co twierdzą, że tak zwane ciało, bez względu na to, czym ono jest, nie zaczątkiem, ale ostatnią fazą jest ducha, który się weń ścina, aby się nareszcie uwolnić od prężności własnej i zginąć z nim razem.

— Nie ginie duch. Nie może zginąć to, co naprawdę jest.

— Więc jaki jego los po śmierci ciała? Po stracie tych zmysłów, którymi widzi, czuje, słyszy, po stracie mózgu, za pomocą którego myślał?

Nyanatiloka nie spuszczał oka z mówiącego.

— Wolny wtedy jest.

— I co?

— Jest. Jedyną prawdę czerpie wtedy ze siebie, zamiast ulegać z winy zmysłów tak często innym duchów prawdzie lub śnieniu.

— Nie rozumiem.

— I rozumieć nie potrzeba, jeno wiedzieć. Co robisz, gdy zamkniesz zmysły?

— Śnię.

— I duch, ostawszy sam, śni, jeno że sen ten jest wówczas dla niego rzeczywistością niewątpliwą i jedyną, bo nic mu się z zewnątrz nie przeciwstawia. Skąd przypuszczasz, że to życie, w którym jesteśmy obaj obecnie, inną ma podstawę? Że jest czymś... mniej niż ducha pomyśleniem: boć to przecie najwyższe! Może w życiu jakimś innym, gdyśmy

<sup>98</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>zawisły — tu: zależny. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>jestżeś zdolny — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy (czyż) jesteś zdolny. [przypis edytorski]

się innego, choć również z woli wysnutego pozoru ciała zbywali, myśl nasza ostatnia zawiązką tego życia się stała, co trwa...

— Tak, przypuśćmy. Ale dlaczegoż myślimy wszyscy to samo i podobną rzeczywistość duchem dla siebie tworzymy, bo przecie widzę to samo ja, co i ty?

— Bo duch w zasadzie jest jeden i przez przemiany różne do ostatecznej dąży jedności, która snadź była kiedyś na początku, choć nie wiem, czy ten początek można brać w czasowym znaczeniu.

— A to życie przyszłe?

— Wiem, że będzie, dopóki się ze złud ostatnich, z obłądów woli, różności żadnej, nie wyzwolimy; lecz nie wiem, jakie. Może myślą swą ostatnią przed zmysłów zatraceniem to nowe życie dla siebie stworzymy i każdy będzie miał w nim to na razie, w co wierzył, czego pragnął, spodziewał się lub czego się właśnie obawiał... Pomyśl, jaka rzecz piękna i straszliwa zarazem: móc stworzyć życie nowe z ostatniej myśli swojej, rozwijać ją, wypełniać, urzeczywistniać! I jak trzeba pilnować tej myśli ostatniej, aby nie była podłym strachem lub męką, bo w jakimż piekle nieodwołalnym wtedy człowiek się pogrzeże!

— A wyzwolenie?

— Nie pragnąć niczego! Świąte i wielkie słowo, aż nazbyt często i świętokradzko nadużywane, byt wszechogarniający, niezmienny, pełny, istotny, błogostan ostateczny, pierścienia przemian zamknięcie: Nirwana. Bóg jest otchłanią, otchłań jest Bogiem, i my do Boga wrócimy!

Jacek po chwili zamyślenia powstał i otrząsnął się.

— Niepotrzebnie mówię z tobą dzisiaj o tych rzeczach — rzekł. — Myślenie nuży mnie teraz i do ostatnich granic wyczerpuje. Mam wrażenie, że stracił chwilowo zdolność sądzenia: słowa twoje w dziwny stan mnie wprowadzają. Nie mów, nie mów mi więcej. Boję się! Gdzie indziej muszę myśl teraz zwrócić... a głowę mam oszołomioną, niemocną...

Tarł czoło rękami.

Hindus powstał.

— Pójdę — rzekł. — Odwiedzę cię kiedy indziej.

Jacek zaprzeczył żywo.

— Nie, nie! Pozostań. Wiele jest rzeczy, co do których właśnie chciałem cię spytać o radę... Tylko teraz muszę nieco ochłonąć.

Dotknął ręką dzwonka, wzywając służącego.

— Trzeba się przede wszystkim posilić — rzekł z wymuszonym uśmiechem.

Służący właśnie wchodził. Jacek zatrzymał go we drzwiach skinieniem dłoni.

— Przygotuj nam śniadanie i poproś posłów z Księżyca, żeby tu do mnie przyszli...

Po odejściu lokaja Nyanatiloka podniósł oczy na Jacka.

— Jak zamysłasz postąpić wobec tych wieści o przyjacielu twoim, Marku?

Jacek tak już był przyzwyczajony, że ten niepojęty człowiek myśli jego czyta, nim w słowach się pojawia, iż nie dziwił się nawet, skąd może wiedzieć o wydarzeniach ostatnich tygodni. Wzruszył tylko ramionami i rozłożył ręce szeroko.

— Nie wiem jeszcze. Podejrzani mi są ci karzełkowie. Zdaje mi się, że trzeba będzie nowy wóz zbudować i jechać na Księżyc...

Błysnęła mu jakaś myśl. Urwał i spojrzał na Nyanatilokę.

— Słuchaj, przecie ty byś mi mógł powiedzieć, co się z Markiem dzieje...

„Bikhu” potrząsnął głową przecząco.

— Nie wiem. Mówiłem ci już raz, bracie, że wola ludzka nie posiada granic w swoim działaniu, ale wiedza jest ograniczona i świadomość nie wszędzie dotrzeć zdoła. Zasady poznaje najgłębsze, lecz wiele szczegółów jest przed nią zakrytych, bo z obcych wynikają źródła.

— A jednak wiesz zazwyczaj, co ja myślę.

— Gdy mówisz do mnie myślami, wiem. Uderzasz mimo woli myślami ducha mojego.

Położył dłoń na jego ramieniu.

— Dajmy temu jednak pokój w tej chwili. Sam mówiłeś, że jesteś znużony...

Jacek uczył, że nagle pod wzrokiem buddysty myśli poczynają mu się mieszać i coś, jakby dziwnie słodka obezwładniająca mgła, całą istotę jego ogarnia... Błysnęło mu jeszcze w świadomości, że on go woła swoją usypia; szarpnął się buntem wewnętrznym, chciał krzyknąć, uciekać i naraz cień go ogarnął nieprzemierzalny, gasząc świadomość jego do małej, maleńkiej iskry, tlejącej tym tylko uczuciem, że w cieniu istnieje...

Stracił zupełnie poczucie czasu i miejsca, w którym się znajduje. Stan ten mógł trwać zarówno sekundę, jak tysiąclecie... Nie pragnął niczego, o niczym nie wiedział, nie czuł nic z zewnątrz siebie.

Powoli, powoli jakiś dźwięk, jakaś mgła, zrazu tak gęsta i szara, że od ciemności różniącą się zaledwie, potem coraz jaśniejsza, srebrna, w tuman obrzasku nieokreślonego się rozwiewająca.

Dziecięca, bezinteresowna, prawie nieosobista ciekawość zaczęła się w nim budzić. Coś mu błysło przed oczyma niby zarysy krajobrazu dziwnego: zielone pola, nisko zawieszonym słońcem oświetlone... Po jakimś czasie zauważył, że nie umiejąc zgoła określić miejsca w przestrzeni, kędy sam się znajduje, widzi jednak dokładnie kotlinę obszerną, zasianą stawkami okrągłymi o dziwnej, nieznannej u brzegów roślinności. Kotliną zamkniętą była ze wszech stron niby pierścieniem olbrzymimi górami o śnieżnej, poszarpanej pile szczytów.

Począł się zastanawiać, gdzie jest i co tutaj robi? Męczyło go to, że chłonąc najwyraźniej wrażenia wzrokiem, nie może dostrzec ani poczuć siebie samego, własnego ciała, jak gdyby był czymś nieważkim i nieuchwytnym zgoła.

Myślał właśnie o tym, gdy naraz poznał, że i przez słuch mimo swą niematerialność może odbierać z zewnątrz wrażenia. Dźwięk go jakiś uderzył, coś jakby zamęt bitwy: strzały, jęki, okrzyki. Teraz dopiero spostrzegł, że w pośrodku ogromnej kotliny na turni wysokiej wznosi się miasto. Naokoło wala wrzała rzeczywistość. Garstka ludzi szła przebojem przez napadające ją zewsząd, z powietrza i z ziemi, chmary niby ptactwa, niby płazów skrzydlatych...

Potwory czterookie na szeroko rozpiętych błonach unosiły się całym stadem, rażąc z góry pociskami odstrzeliwujących się ludzi...

Zdało się naraz Jackowi, że głos znajomy posłyszał. Nagłym wysiłkiem woli rzucił świadomość swoją w tamtą stronę.

— Marek!

Tak, zobaczył go całkiem dokładnie, jak biegł na czele szeregow — dziwnie olbrzymi przed skarłatymi towarzyszami. Jakaś broń o kształcie jatagana długiego miał w ręku i wskazywał nią na mury miasta, czerwone od ostatnich słonecznych promieni...

Chciał krzyknąć, chciał nań zawołać.

Szum, zamęt, łoskot jak gdyby walącego się świata błyskawica czarna, wszystko na jeden moment pochłaniająca.

Otworzył oczy. Przed nim, po drugiej stronie biurka w jego gabinecie siedział Nyanatiloka z brodą na dłoniach opartą i wpatrywał się weń uporczywie.

— Spałem?

— Tak, bracie. Zasnąłeś na chwilę. Cóż widziałeś?

Jacek naraz zrozumiał.

— Byłem na Księżycu?!

— Chciałem, abys był. Nie wiem, czy mi się udało. Nie jesteś martwym przedmiotem, lecz świadomym duchem, jak i ja. Duch duchowi nigdy bezwzględnie nie podlega, lecz walkę z nim toczy...

— Tak jest. Byłem na Księżycu. Widziałem Marka. Miasto tam jakieś na dziwnych potworach zdobywa. Jest może królem istotnie. Ale mało wiem, mało! Zbyt szybko się obudziłem. Czy nie mogłeś mnie dłużej w tym stanie utrzymać?

— Nie zdołałem. Zwłaszcza że musiałem baczyć, byś nie zaprzestał myśleć po swojemu, swoimi patrzeć oczyma, a nie przez moje.

Jacek chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili drzwi się otworzyły: służący oznajmił przybycie wezwanych karlików.

Weszli obaj, poglądając nieufnie na Nyanatilokę, Roda zląkł się nawet niepomiernie, gdyż strój Hindusa, prosty burnus biały, przypomniał mu jakoś Hafida, który w klatce

ich wozil. Jacek nie dal mu ochlonac. Otrzezwiony juz ze snu zupełnie, żywym krokiem ku Księżyczanom postapil i zapytal wręcz:

— Dlaczego mówiliście nieprawdę, że Marek panuje spokojnie nad ludem księżycowym, gdy on właśnie w tej chwili walczy z potworami we wnętrzu wielkiego pierścienego łańcucha gór?

Roda pobladl i zaczął się trząść na całym ciele.

— Panie najdostojniejszy! Wojnę on toczy rzeczywiście...

Przerwał. Przyszło mu na myśl, że przecież Jacek żadnym sposobem wiedzieć nie może, co się tam na Księżycu dzieje, więc nie ma zgoła powodu, aby go o istotnym stanie rzeczy powiadamiać. Odął<sup>101</sup> wargi mięsiste i głowę hardo w tył rzucił.

— Bolesnie mi jednak, panie — kończył niby zdanie rozpoczęte — że z lekkim sercem kłam mi zadajesz. Do obowiązków i zwykłych zajęć króla należy wojna; cóż więc dziwnego, gdyby się Marek obecnie rzeczywiście na wyprawie znajdował, o czym zresztą ani ty, ani my w tej chwili wiedzieć nie możemy.

Jacek patrzył przez jakiś czas na karzelków w milczeniu, wreszcie odezwał się:

— Chciałem wam powiedzieć, że postanowiłem w nowym wozie udać się na Księżyc za moim przyjacielem. Czy zechcecie mi towarzyszyć?

Chwilowa pewność siebie włochatego „mędrca” znikła w jednym momencie. Nogi poczęły znów pod nim drżeć, wybełkotał jakieś słowa niezrozumiałe...

Ach! Tak, na Księżyc! Powrócić na Księżyc, znaleźć się znowu w mieście przy *Ciepłych Stawach*, wśród uczniów swoich w pośrodku uwielbiających go członków Bractwa Prawdy! To było tęsknotą jego od pierwszej chwili, kiedy nogę na Ziemi postawił — ale ciarki go przechodziły na samą myśl, że mógłby się znaleźć na Księżycu w towarzystwie Jacka i może jeszcze innych jakich ludzi, którzy rychło by poznali wszystkie jego kłamstwa i podstępny...

Nie wiedział, co robić, jaką dać odpowiedź, gdy naraz spostrzegł, że Mataret, stojący dotąd za nim, wysuwa się naprzód. Straszne przecucie czegoś niedobrego ścisnęło go za gardło — chciał jeszcze dać ręką znak towarzyszowi, powstrzymać go, ale już było za późno.

— Panie — rzekł Mataret poważnie, głowę na Jacka podnosząc — zdaje się, że już czas, abyśmy prawdę wyznali...

— Milcz, milcz! — zakrzyknął Roda rozpaczliwie.

Mataret nie zważał nań zgoła. Śmiało patrzył w oczy Jackowi i mówił:

— Marek nie wysłał nas wcale tutaj. Myśmy sami podstępem wóz jego opanowali i nie chcąc prawie tego, przybyli na Ziemię.

Jacek pobladl gwałtownie.

— A Marek! Marek... czy żyje?

— Walczy z szernami, jak sam, nie wiem skąd, domyśliłeś się, panie, przed chwilą.

I zaczął opowiadać, jak po przybyciu Marka, którego lud księżycowy od razu zapowiedzianym przez proroków Zwycięzcą okrzyknął, oni za oszusta go uważając, walkę z przewagą jego rozpoczęli i jak gromadzili nieuznających go towarzyszy około siebie. Mówił o walkach z potwornymi pierwobyłcami, szernami, toczonych, o klęskach i zwycięstwach, i o tym wreszcie, że oni wozem zawładnęli raczej z myślą sprowadzenia pomocy z tamtej, niedostępnej strony Księżycy, skąd, jak sądzili, Marek pochodził, niżli w zamiarze uniemożliwienia mu powrotu do ojczyzny. Nie wspomniał tylko, że jego to był zamiar wyłącznie, a nie Rody, chcącego jedynie pognać z nienawidzonego przybysza.

— Spadliśmy niespodziewanie na Ziemię — kończył — a co dalej było, wie pan zarówno dobrze, jak i my sami. Kłamaliśmy w strachu, aby się tutaj na nas nie mszczono; byliśmy słabi wobec was, bezradni i osamotnieni. Teraz zna pan już całą prawdę. Niechaj pan uczyni, co pan uważa za stosowne, jeśli pan jednak ma istotnie zamiar udać się na Księżyc, to niech to pan robi spieszenie, bo Marek może naprawdę potrzebować pomocy.

W milczeniu wysłuchał Jacek długiego opowiadania. Brwi z wolna ściągnęły mu się ponad oczyma, aż sparły się w luk twarde i nieruchome. Wargi zacisnął, oczy wyteżył przed siebie...

— Pojedziecie ze mną na Księżyc — rzekł naraz, do karłów się zwracając.

<sup>101</sup>odąć — dziś: wydać. [przypis edytorski]



Mataret przyświadczył ruchem głowy.

— Tak, panie, pojedziemy.

Roda pochylił się również na znak zgody, ale w duszy zaprzysiął sobie, że wszystkich środków raczej użyje, niżli zgodzi się dobrowolnie na tę drogę, podczas której byłby najzupełniej w mocy człowieka mogącego się mścić na nim. Niedługi pobyt na Ziemi wystarczył mu już, aby zrozumiał, że tutaj chroni go bądź co bądź prawo równe dla wszystkich i żadna krzywda stać mu się nie może, dopóki mu winy ktoś nie dowiedzie, ale tam — lecieć samotrzeć<sup>102</sup> przez otchłań wszechświata z przyjacielem wroga swojego...!

W głowie Jacka tymczasem myśli wartkim prądem płynęły. Obejrzał się pomimowolnie na Nyanatilokę, ale ten znikł kędyś, cicho z pokoju się wysunawszy, więc nie mając mówić do kogo, ujął skroń w obie ręce i zadumał się głęboko nad losem przyjaciela, nad zamierzoną podróżą, nad tym, co tutaj zostawia i tam co zastać może.

Wir, który się tutaj zerwie lada chwila! Nie chciał w nim brać czynnego udziału, a jednak dziwne ogarniało go uczucie, że zejdzie stąd, ulatując w przestrzeń jakby w ucieczce przed walką, przed groziącym niebezpieczeństwem, przed ostatecznym zmaganiem się sił...

A jeśli tu będzie potrzebny? Jeśli tu czyn ostatni, straszny, który dla siebie samego zachowuje, nie chcąc broni w obce dać ręce, spełnić wypadnie, a jego tu nie będzie, aby rzucić grom?

— Cóż mnie to wszystko obchodzi? — szepnął z cicha do siebie. — Odejdę. Niechaj się dzieje, co chce. Tam przyjaciel jedyny mnie woła...

Powstał właśnie, kiedy na progu zjawił się znów służący z listem na tacy.

— Od pani Azy — rzekł, kładąc na stole kopertę.

Jackek rozerwał ją szybko i przebiegał pismo oczyma, zapominając o obecności karłów księżycowych, którzy z zajęciem śledzili zmianę na jego twarzy...

Usiadł z wolna w krzesło i ćwiartkę papieru zapisaną przed sobą położył. Aza donosiła mu, że przyjeżdża wkrótce do Warszawy na czas dłuższy, odpocząć po występach i tryumfach...

„Chcę, abys był wtedy w domu, mój przyjacielu — pisała, o przelotnym, dawnym nieporozumieniu snadź<sup>103</sup> już zapomniawszy — gdyż pragnę o wielu rzeczach z tobą pomówić i czas wyłącznie w twoim spędzić towarzystwie... Może się niejedno zmieni w moim życiu: ty pierwszy będziesz o tym wiedział...”

— Mam jeszcze czas — rzekł do siebie po chwili, prawie głośno — nim wóz mi zbudują, a potem...

Urwał i dawszy ręką znak służącemu, aby się wraz z karłami oddalił, podszedł ku oknu i wsparł o szybę czoło zamyślane i smutne.

## IV

— Pani musi za wszelką cenę wydostać tajemnicę Jacka. Jest nam nieodzownie potrzebna.

Mówiąc to, Grabiec usunął jakby mimo woli rękę, którą właśnie dłoń Azy dotknęła. Śpiewaczka zauważyła ten ruch i cofnęła się wstecz. Brwi zbiegły się nad jej oczyma. Uraził ją suchy, rozkazujący niemal ton jego słów.

— A jeśli nie zechcę mieszać się w to wszystko? — rzuciła wyzywająco.

Grabiec wzruszył ramionami.

— To trudno. Znajdę inny sposób i wynalazek ów mieć będę. Pani zaś dalej będzie śpiewała...

Urwał i począł się oglądać za kapeluszem i rękawiczkami. Znalazłszy je, skłonił się szybko przed milczącą kobietą.

— Żegnam panią...

— Nie! Zostań pan jeszcze!

Nagłym ruchem przystąpiła doń z roziskrzonymi oczyma.

— Panie! Grajmy w otwarte karty. Co mi pan daje za... ową... tajemnicę?

Cofnął się z wolna ode drzwi i usiadł na najbliższym krzesle.

— Nic, tak dalece. Mówilem już pani. Sam nie wiem, co będę miał...

<sup>102</sup> *samotrzyć* — samemu z dwoma towarzyszami; we trzech. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Więc czemuż ja się mam narażać?

— Bo pani chce. Zaciekawia panią i pociąga to wszystko, co się stanie, co się stać może, właściwie: rada pani wziąć udział w tej największej i ostatecznej może już walce, która zatarga trzewiami ludzkości.

Zaśmiała się.

— I to już wszystko? Gotów pan wmówić we mnie, że to ja właśnie proszę was o pozwolenie zrobienia wam przysługi największej...!

— To obojętne, jak się rzeczy brać będzie. Pani chce włączyć i wie pani, że jedynie w naszych szeregach i po naszej stronie jest miejsce dla królów.

Usiadła naprzeciw niego i wsparłszy łokcie na kolanach, brodę między dłonie rozłożone wsunęła.

— Czy pan nie pomyślał, że mogłabym... wynalazek Jacka... użyć dla siebie samej?

— Nie pomyślałem tego i nie pomyślę. Zbyt dobrze sędzę o pani, abym miał przypuszczać, że pani miewa zamiary tak niepraktycznie zabawne. Sama niczego pani dokazać nie zdoła.

— Więc może z Jackiem na wspólną?

Grabiec spojrział na nią z mimowolnym zaniepokojeniem, lecz w tej chwili uśmiechnął się.

— Niech pani spróbuje. Może on się zgodzi.

Lekkie szyderstwo brzmiało w jego głosie.

Wstała, dotknięta znowu, i zbliżyła się o krok.

— Czy pan myśli, że nie mam już innego sposobu panowania nad światem i wami, jak tylko przez wyłudzenie od kogoś przepisu na środek wybuchowy?

Ogarnął ją chłodnym, badawczym spojrzeniem. Milczał przez jakiś czas, wodząc oczyma po jej twarzy, ramionach, biodrach, jakby ją oglądał i cenił.

— Tak — wyrzekł nareszcie — pani jest piękną i przeto pani się zdaje... Nie, pani droga! Pani, jak dotąd, nie włada, ale służy ludziom swoją pięknnością.

Zachnęła się gwałtownie. Przypomniało się jej, że to samo zdanie niedawno z ust Jacka słyszała. Zdławiony śmiech zadrgał jej w krtani.

— A jednak dzieje się wszystko, co ja tylko zechcę! I pan przyszedł do mnie z prośbą... Przerwał jej ruchem ręki.

— Pani Azo, dajmy teraz pokój roztrząsaniom. Ja czasu mam niewiele; czekają na mnie. A więc słowo ostatecznie: czy się pani podejmie wydostać tajemnicę Jacka dla niczego innego, jak tylko po to, aby mieć prawo stanąć po jednej stronie z nami?

Mówiąc to, powstał był znowu, ku drzwiom już połową ciała zwrócony. Zawahała się na jedno mgnienie oka.

— Tak! Bo wy wszyscy w końcu mnie służyć będziecie.

Grabiec uśmiechnął się.

— Być może. Na razie dziękuję. Wybór środków naturalnie już od pani zależy.

We drzwiach odwrócił się jeszcze.

— Pospieszyć się pani musi — rzekł. — Jacek gotów nam ulecieć...

Spojrziała nań pytająco.

— Czy pani nie wie, że buduje wóz...?

— Wóz?

— Tak. Aby się udać w nim na Księżyc, za owym Markiem, co posłów przysłał właśnie. Czasu nie ma do stracenia.

Wyszedł z lekkim ukłonem, pozostawiając Azę samą i zadumaną. Od czasu przybycia karłów z Księżycy raz tylko zapytała, jakie wieści od Marka przynoszą... Powiedziano jej, wierząc jeszcze wówczas kłamstwu przybyszów, że dobrze mu się powodzi i nie ma zamiaru powracać na Ziemię... Chciała jeszcze spytać, czy dla niej listu jakiego lub słowa bodaj nie przekazał, ale wstyd ją zdjął dumny i zęby jeno zacisnęła.

Miała wrażenie w owej chwili, że nienawidzi Marka tak samo, i gorzej nawet, jak tych ludzi wszystkich, co płaszcą się około jej nóg, ślizgając lubieżnym spojrzeniem po ciele jej niedostępnym; jak tych artystów i poetów, co kłamiąc, jak ona sama, o sztuce, wywyższenia tylko pragną za jej pomocą i władzy, i dostatku; jak Jacka wreszcie, tego ohydneho człowieka z mózgiem potężnym i sercem miękkim jak u kobiety, niezdolnego zażądać i zdobyć, i mieć...

Jeno że Markiem nie mogła gardzić tak, jak tamtymi. Bunt się w niej odzywał, że kochała go niegdyś naprawdę. I smagała się sama szyderstwem i z niego szydziła, że dla gwiazdnych mrzonek jakichś, dla śmiesznego na Księżycu królestwa, zapomniał o niej, szczęściu najwyższym i największej rozkoszy — głupcem go nazywała i narwańcem, ale mimo to nie mogła się oprzeć uczuciu podziwu, że zdołał zrobić to wszystko i poszedł od niej tam — na wieczność...

Coś jakby pragnienie zemsty nieokreślonej pierś jej rozpierało.

„Będę tutaj władczynią, będę! — myślała — tutaj na Ziemi, a ty siedz sobie jak Twardowski na Księżycu”.

Żywa w niej zawsze i przemożna żądza władzy i panowania nową w tej myśli znalazła podniecie. To stało się też poniekąd przyczyną, że mimo wahań do zwolenników Grabca przystała, wierząc, że wcześniej czy później sama wszystkich u nóg swoich zobaczy. A choć się przekonała wkrótce, że Grabiec sam, wyniosły i chłodny, nie bardzo się do roli poddanego nadaje, trwała dalej w sprzysiężeniu, zwłaszcza gdy się dowiedziała, że Jacek nie chce do niego przystąpić. Miała wrażenie, że poza innymi rzeczami jest to jeszcze gra pomiędzy nią a tym młodym i pięknym jak dziewczyna mędrcom, i chociaż kromia<sup>104</sup> dobra niczego odeń nie doznała, pragnęła instynktownie raczej niżli rozumowo, aby go za wszelką cenę pognać.

Urządzała u siebie na zlecenie Grabca zebrania sprzysiężonych i wedle możliwości brała udział w przygotowaniach, nie zastanawiając się nawet zrazu, dlaczego ją w to wszystko wciągnięto. Teraz dopiero zrozumiała, że ma być jeno narzędziem dla zdobycia zazdrośnie strzeżonej potęgi Jacka. W pierwszej chwili oburzyło ją to i mało brakowało, a byłaby się cofnęła od dalszego współudziału. Wysiłiła swą moc, aby Grabca usidlić z myślą, że parsknie mu w twarz śmiechem szyderczym i wzgardliwym, kiedy do nóg jej się osunie i odwróciwszy się, pójdzie swą drogą, lecz Grabiec dziwny spokój wobec niej zachował. Zaczęła wierzyć, że ten człowiek niewzruszony i pewny siebie rzeczywiście gotów nad światem zapanować. Żle by było zrywać z nim przedwcześnie.

Zgodziła się więc na podejście Jacka, na „wyrwanie mu żądła”, jak myślała, którego zresztą on, „niedoleźny”, nigdy by sam nie użył.

„Wybór środków do pani należy” — powiedział Grabiec.

Uśmiechnęła się w myślach. Tak, niewątpliwie znajdzie środki — wcześniej czy później. Teraz rozumie, dlaczego Jacek milczał tak długo, nie dając nawet na listy jej odpowiedzi! Na Księżyc uciec przed nią zamyslił, jak tamten! A chociaż jej na nim, tak jak wówczas na tamtym, nie zależy, to przecież chce, aby pozostał i służył jej.

Na jedno mgnienie oka myśl jej gorącą falą do piersi uderzyła, aby rzucić ten próżny zamęt życia tu na Ziemi i z Jackiem razem lecieć na gwiazdy za jedynym królewskim kochankiem... Przymknęła oczy — usta jej drgnęły żądzą prawdziwą i słodką: paść pod stopy jego mocarne, lico jego roześmiane raz jeszcze zobaczyć...

Otrząsnęła się rychło z tej „dziecinnej słabości”. Drapieżny uśmiech błąkał się znów po jej wargach czerwonych, twarde spojrzenie oczu szło w dal gdzieś poza chwilę obecną, wypadki dni wyprzedzając...

Zawołała na służbę i kazała przebierać się, kiedy jej oznajmiono, że przyszedł Łacheć. Spojrzała na zegar: była godzina czwarta.

— Zapomniałam zupełnie — szepnęła.

Nie kończąc stroju, narzuciła tylko na bieliznę suknię szeroką, domową, z mieniącego się jedwabiu, i włosy bujne pośpiesznie w węzeł zawiązawszy, wyszła tak do gościa.

Od owego przelotnego spotkania w domu gry nie widziała Łachcia. Słyszała jednak o nim często i z coraz większym zdumieniem słuchała tego, co jej donoszono. Łacheć na pozór przynajmniej przestał się zajmować muzyką. Zniknął na jakiś czas, że nikt nie wiedział, gdzie się znajduje, aż naraz wypłynął na jednym z tych zgromadzeń ludowych, które coraz częściej odbywały się po świecie... Mówił płomiennie, dziko, porywając za sobą tłum. Wzywał do wywrócenia wszystkiego, co istnieje, do stworzenia nowego porządku na Ziemi. Aza, czytając o tym, sądziła zrazu, że to ktoś inny o tym samym imieniu, ale gdy ją po raz drugi i trzeci podobne wieści doszły, z wyraźnym dodatkiem, że tym

<sup>104</sup>kromia — właśc. *krom*, *okrom*: oprócz. [przypis edytorski]

podżegaczem szalonym jest muzyk, dotąd skromne stanowisko w oficynie Halsbanda zajmujący, nie mogła już wątpić. Nie znała wszystkich członków sprzysiężenia (Grabiec zbyt był ostrożny mimo pozorów dumnej i wzdorliwej beztroski), domyślała się więc tylko, że owe wystąpienia muzyka mają związek z tym, co się właśnie na świecie rozgrywa.

Władze Stanów Zjednoczonych Europy, przyzwyczajone od dawna z pobłażliwym lekceważeniem patrzeć na wszystkie „rozruchy” i „niepokoje”, niepociągające już od wieków żadnych skutków poważnych za sobą, i teraz przez długi czas w niczym nie przeszkadzały Łachciowi. W ostatnich tygodniach dopiero zaczęto nań zwracać baczniejszą uwagę. Zbyt powszechnie go słuchano i nazbyt wiele wpływu zyskiwał — to zaś, z czym do ludu przychodził, zgoła dla rządu miłe nie było.

Wydano wreszcie rozkaz policji, aby go uwięziła. Tutaj jednak stała się rzecz nieoczekiwana. Ludność, która tak ufała i tak czciła powagę służby bezpieczeństwa, że nigdy we śnie nawet nie ośmieliła się przeszkodzić jej w czynnościach, tym razem jawny opór stawiała, wrywając Łachcia przemocą z rąk władzy.

To było już niepokojące. Rząd dla samego utrzymania powagi musiał zwyciężyć za wszelką cenę. Postanowiono muzyka niebezpiecznego ująć przy najbliższej sposobności i przykładowo ukarać, atoli okazało się, że łatwiej to było postanowić, niż wykonać. Podżegacz przepadł jak kamień w wodzie — i jeno<sup>105</sup> co pewien czas w miejscach nieprawdopodobnych pojawiał się nagle, przemawiał, mącił, porywał i nikł znowu, nim go zdołała osiągnąć „ręka sprawiedliwości”.

Aza z zajęciem śledziła w pismach codziennych tę niebezpieczną grę w chowanego z przemożnym rządem europejskich Stanów Zjednoczonych i powoli w umyśle jej muzyk niepokazny urastał do kształtów bajecznej jakiejś postaci. Zadrżała też mimo woli, gdy dnia wczorajszego zetknęła się z nim niespodziewanie na ulicy. Poznał ją pierwszy i skłonił się głęboko, przemykając się między krążącym gęsto tłumem. Aza zatrzymała natychmiast swój automobil, wolno w ciżbie się posuwający. Muzyk zauważył to i przystanął. Przez krótką chwilę znać było w jego twarzy wahanie: wszak narażał się na ujęcie, gdyby go poznano...

Przyskoczył jednym susem do pojazdu.

— Pani chciała mi co rozkazać?

Lecz ona zrozumiała już niebezpieczeństwo, jakie mu przez nią groziło.

— Przyjdź pan jutro, o czwartej!

Rzuciła mu adres swego mieszkania, nie wiedząc nawet w tej chwili, dlaczego mu przyjść nakazuje i co mu powie, gdy przyjdzie.

Muzyk zniknął w tłumie, a ona rychło o spotkaniu zapomniała, innymi zajęta sprawami. Teraz dopiero, gdy szła do salonu, aby go powitać, stanęła jej ta scena żywo w pamięci. Była nieco zakłopotana; nie wiedziała, jak go ma przyjąć, co mu powiedzieć. Wyobraźnię własną stawiała go na pewnej wyżynie bohaterstwa i niezwykłości i obawiała się, że ten śmieszny niegdyś, choć genialny artysta zechce odpowiednio z tych wyżyn do niej mówić — i zła już była prawie, iż go do siebie nie wiedzieć po co zaprosiła.

Z twarzą wyniosłą i chłodną, z lekko namarszczonymi brwiami stanęła na progu. Muzyk zerwał się z krzesła i zbliżył się ku niej cicho, z głową kornie pochyloną. W oczach przepaścistych, po dawnemu zalękłych, miał nieme błaganie i dziękczynienie zarazem, że wolno mu na nią patrzeć, przy niej być...

— Witam pana.

Nie dosłyszał nawet tych banalnych aż do okrucieństwa słów. Ruchem jakimś samorzutnym osunął się przed nią na kolana i przypadł twarzą do jej sukni. Cofnęła się, naprawdę przestraszona.

— Co pan robi? Co pan?

Wzniósł na nią oczy smutne i wstał z wolna.

— Przepraszam panią. Źle zrobiłem. Jeżeli pani każe, odejdę natychmiast.

Mówił z gorzką jakąś pokorą — drżącymi wargami, nerwowo, nieporadnie dlonie cisnąc do piersi.

Cień niesmaku przebiegł po pięknych ustach tancerki. Patrzyła nań długo i chłodno.

— To pan przemawia na zgromadzeniach?

<sup>105</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Tak.

— Szukają pana?

— Tak.

— Co panu grozi?

Ruszył ramionami.

— Nie wiem. Przypuszczam, że zamknięcie, może dożywotnie, w jakim domu pracy...

— Pan się naraża na ujęcie, przychodząc tutaj we dnie...

Zawahał się na mgnienie oka.

— Tak. Wiem o tym. Śledzą mnie.

— Czemu pan przyszedł?

Łacheć naraz wznosił głowę, jak gdyby się zachnął pod uderzeniem tego zimnego pytania. Lękliwość dotychczasowa znikła mu z twarzy; patrzył na Ażę dumnie, wyzywająco.

— Mógłbym odpowiedzieć: ponieważ mnie pani wezwała — zaczął z wolna — lecz to nie byłoby prawdą. Przyszedłem, bo mi się tak podobało, bo chciałem panią zobaczyć za wszelką cenę, choćby mi życiem przyszło za to płacić...

Uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Dziwnie pan do mnie przemawia. Mogę panu kazać wyjść zaraz...

Łacheć przeląkł się nagle i znowu spokorniał — oczy jeno<sup>106</sup> płonęły mu gorąco i zapamiętałe.

— Kocham panią — mówił głosem stłumionym — kocham, nie wiedząc nawet, kim pani jest właściwie, ani co pani zrobi z moją miłością, na nic zresztą pani niepotrzebna! Mówię to, bo mi trzeba wszystko wypowiedzieć... Nie wiem, jak długo będę jeszcze żył i czy panią kiedy zobaczę...

— Dlaczego mnie pan kocha?

— Na cóż to pytanie! Przecież ja od pani nie żądam niczego...

Przerwała mu ruchem ręki. Okrucieństwo niebaczne zadrgało jej w oczach. Osunęła się z wolna na fotel i spod powiek, nieco spuszczonej, patrzeć ją na niego, z lekka usta w uśmiechu rozchylając.

— A gdybym ja była gotowa... oddać panu... wszystko?

Muzyk cofnął się o krok; w pierwszej chwili zdumienie najwyższe i obłąkanie w źrenicach jego się odbiło. Natychmiast jednak pochylił głowę i rzekł cicho, jak gdyby tonem za treść słów o przebaczenie błagając:

— Odszedłbym stąd...

— Pan by odszedł? Pan by mną wzgardził?

— Nie. To by nie była wzgarda... Ja wiem, że pani dla żartu tylko spytała, ale ja odpowiadam poważnie... Czy pozwoli mi pani mówić?

— Niech pan mówi — rzekła z zajęciem rzeczywistym czy też udanym.

Usiadł na niskim taborecie nieopodal jej nóg i zaczął opowiadać, w oczy jej zapatrzonej.

— Widzi pani, całe życie moje dotąd było jedną uporczywą walką, aby móc tworzyć... Po co powtarzać, com przeszedł, jakie upadki, jakie klęski, jakie upokorzenia! To wszystko jest już poza mną. I teraz...

— Teraz rzucił pan muzykę — wtrąciła.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie, pani. Nie rzuciłem muzyki. Tylko mi oczy otworzono. Człowiek, który rękę mi podał, czy też przypadek, sam nie wiem doprawdy. Zrozumiałem, że złą szedłem drogą. Nie pracować i mrzeć trzeba, ażeby tworzyć, ale żyć!

— Żyć...

— Tak! Ja pani tego lepiej nie objaśnię; nie umiem, nie potrafię. Wiem tylko, że dla mnie skończyła się już ta walka podła i bez chwały, którą wiodłem. Z głodu przymieram, upadam ze znużenia, szczerzy jestem jak zwierzę w kniei, niepewny dnia ani godziny, a przecież serce w piersi mojej z radości się śmieje! Parłem się niegdyś w górę i kopano mnie, zeszedłem teraz w dół i podnoszę się! Byłem między ludźmi „cywilizowanymi” i nie rozumieli mnie, anim ja ich nie rozumiał, dzisiaj z „dziczą” przestaję i czuję każde drgnienie ich serc, ku światłu się rwących, przez pożar i gruz, ale ku światłu, i wiem, że oni głosu mego słuchają! I wie pani, że teraz dopiero rodzi się w duszy mojej wielka,

<sup>106</sup>jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

wielka pieśń! Jeśli przeżyję te dni, co oto nadchodzą, zahuczę nią ponad zniszczeniem jak wichry, zagrzmię takim hymnem tryumfu ponad skowytom ludzkiej nędzy, że serca człowieka będą pękać z nadmiaru życia, z obłędu rozkoszy!

Zerwał się — oczy zapłonęły mu szeroko rozwarte:

— Do diabła teatry! — krzyknął — precz z kulisami, z malowanką, ze światłem sztucznym i z tą orkiestrą bezduszną, nazbyt uczoną, a tchórzliwą! Morze zagrać mi musi, wichry na skałach, gromy na niebie, lasy żywiczne i stępy! Pani, pani moja! Dożyć ja chcę tej pieśni, stworzyć ją chcę! Tworzyć już dla niej słuchaczy, oczyszczam świat, aby się po nim mogła rozhulać szeroko, gdy z piersi mojej wybiegnie...!

Pięści zaciśnięte wsparł na piersiach, zza szerokich warg, w uśmiechu rozchylonych, zęby mu białe błyszcząły...

Aza — nieruchoma — patrzyła nań spokojnie spod spuszczonej powiek.

— Panie...

Oprzytomniał i pochylił głowę.

— Przepraszam panią. Zbyt głośno mówię...

— Niech pan tu przyjdzie bliżej. Tak. Pan jest dziwny, dziwny człowiek. W panu się pali duch. Ale niechże mi pan powie nareszcie, co to wszystko ma ze mną wspólnego? Dlaczego by pan... uciekł... gdybym dłoń wyciągnęła...

Twarz Łachcia rozjaśniona sposepniała nagle.

— Kocham panią.

Zaśmiała się głośno.

— To już wiem.

— Nie, nie wie pani. Pani nie może nawet wiedzieć, co to znaczy; gdy myślę o pani, świat mi się cały gubi sprzed oczu. O! Jak to dobrze, że ja nie mogę mieć żadnej nadziei!

Ukrył twarz w dłoniach i trwał tak chwilę w milczeniu.

Ona patrzyła nań teraz z istotnym zaciekawieniem.

— Niech pan mówi dalej. Chcę wszystko wiedzieć.

— Dobrze. Będzie pani wiedziała.

Oczy na nią znowu zwrócił, zapamiętaniem miłosnym aż obłąkane, i mówić jął szybko, popędliwie:

— Nie wiem, czy to miłość zawsze taka bywa, ale ja nienawidzę panią jednocześnie! Boję się, nawet nie pani, ale siebie samego się boję. Czuję, że gdybym raz bodaj do ręki pani przyłgął ustami, to byłby koniec wszystkiego, wszystkiego... Ja już bym się od niej nie zdołał oderwać.

— Nie ma obawy. Sama bym ją panu wyrwała, gdyby było potrzeba.

Błysnął oczyma niesamowicie.

— Zabiłbym panią.

— To się tak mówi...

Igrać z nim poczyną, jak kot bawiący się myszą.

— Nie, pani. Ja jeżeli mówię... Ach! Gdybyż to pani mogła wiedzieć, ile ja razy o tym myślałem, patrząc na panią z ukrycia, chłonąc panią oczyma!

— Aby mnie zabić?

— Tak. Pani powinna być zabita. Pani na ten świat przysła na nieszczęście ludzi!

— Ja i szczęście dać umiem. O! Jeszcze jakie szczęście!

Dreszcz gwałtowny wstrząsnął postacią Łachcia.

— Ja wiem, domyślałam się, czuję. I właśnie dlatego... Szczęście obłądne, które łamię, niweczy... Być mocnym na tyle, zdobyć się na to: palce około białej szyi pani owinąć i ścisnąć, ścisnąć, aż dech ostatni ulec! A przedtem nawet ust pani nie dotknąć...

Dziwna, aż bolesna rozkosz przebiegła Azę dreszczem po grzbiecie.

— Dlaczego... przedtem... moich ust nie dotknąć? Czy pan nie widzi... jakie są krwawe? Czy pan nie czuje z daleka, jakie są gorące?

Łacheć, wyczerpany wzruszeniem, oparł się plecami o ścianę i patrzył na nią w milczeniu nieprzytomnymi oczyma.

— Co by się stało, gdybym ja pana pocałowała?

— Nie wiem, nie wiem. Ja muszę już iść.

Zerwał się pospiesznie.

— Zostań...

— Nie chcę.

— Musisz.

— Niech pani... niech pani...

— Słuchaj, patrz na moje usta. Powiadasz, że to zatrącenie? Niech będzie. Czy ty czujesz, że jeden mój pocałunek więcej wart niż te wszystkie śmieszne zbawiania ludzkości, te walki, te wielkie słowa i czyny, sztuka cała, całe życie? Czy ty nie czujesz?

— Czuję. Ale... dlatego... odejdę...

— Nie. Zostaniesz. Póki ja zechcę!

Łacheć uczuł jej wzrok palący na sobie i zachwiał się naraz na nogach. Miał wrażenie, że mięśnie się w nim wszystkie rozluźniają, w oczach mu pociemniało, w głowie szum i bezwładność... Ostatnim zdławionym wysiłkiem wyrzucił jeszcze:

— Odejdę...

Zaśmiała się głośno, tryumfalnie i nim spostrzec mógł, co się dzieje, przypadła drażniącymi wargami, co tak bosko miłość udawać umiały, do ust jego rozpalonych.

## V

Blady, cichy świt wstawał ponad Tatrami... Nyanatiloka siedział nieruchomy, jakby zastygły, twarzą ku zachodzącemu Księżycowi zwrócony. Oczy miał przymknięte, dłonie zaplecione około kolan. Zimna rosa poranku pokrywała ciało jego na wpół nagie i lśniła, ściekając kroplami po długich, czarnych włosach. Kilka świerków rozłożystych chwiała się nad nim w wietrze zawiewającym czasem od turni, których szczyty poczynały już różowieć w pierwszych promieniach wschodzącego gdzieś za skałami słońca. Ciszka była doskonała, świat cały obejmująca; zdawało się, że usnął w niej nawet potok daleki, nie śmiejąc szmerem mącić tej przedziwnej godziny łaski zamyślenia.

Nyanatiloka, nie wznosząc powiek, poruszał z wolna wargami, jakby się modlił szepcąc Istocie wszechrzeczy.

— Bądź pozdrowiona, niebo — mówił cicho — bądź pozdrowiona, Ziemi i duszo moja, które wszystkie jednym jesteście, pomyśleniem stworzone, w pomyśleniu żywe...

Dzięki ci, duszo moja, że czujesz niebo i ziemię, dzięki ci, żeś zrozumiała swój prapoczątek i wiesz, że końca ci nigdy nie będzie! Wraca wszystko do morza, do obfitości i mocy i kropla żadna nie jest stracona, choćby na piasek padła lub skały, ale długa jej droga i praca mozolna.

Nie skróci się obieg rzeczy doczesnych, bo niczym jest czas, i żywot ponadeń jest wzniesiony — nie zmniejszy się brzemień pracy ani mąk, bo nie tam patrzy dążący do prapoczątku swego duch.

O, duszo moja, bądź pochwalona w przedwiecznej i niezniszczalnej, wszechogarniającej istocie swojej, że nauczyłaś się patrzeć ponad czas i męczarnię bytowania ku morzu i źródłu wszystkiego — jednemu!

Kamień gdzieś zerwał się u szczytu skał i runął w przepaść, lawinę całą głazów pociągając za sobą. Załoskotało dalekie echo i zgasło w wąwozach. Blask słoneczny opadał coraz niżej; złociły się w nim już rozległe pola piargów ponad halami i wierzchołkami najwyższych limb, do skrzesanego zbocza poprzyczepianych. W toni fioletowej stawu przegładało się niebo coraz jaśniejsze i złote na nim kawały górskich czół...

Nyanatiloka z wolna rozwarł oczy. Tuż u stóp jego przy ognisku wygasłym leżał Jacek w płaszcz przed nocnym chłodem owinięty i spał. Włosy jego kędzierzawe rozrzucone były po mchu wilgotnym, zgiętym ramieniem zakrył oczy, ale usta widać było rozchylone w sennym oddechu, od chłodu nieco przybladłe. Buddysta patrzył nań długo z dziwną, smutną serdecznością w zadumany wzroku.

— Gdybyś ty wyjść mógł poza ciało swoje — szeptał znów — gdybyś zdołał zrozumieć, jaka jest twoja droga... Tak mi się zdaje, że jako perłę znalazł duszę twoją, a powinienem ją uczynić kroplą wody przeczystej, w słońcu mgłą się na wszechświat rozplywającej. A nie przeto, iżbym miał jakikolwiek inny obowiązek oprócz dbania o rozwój własny, lecz że żał mi piękności przyćmionej i pochowanej mocy najwyższej...

Nad nimi, na skałach wysoko, odzywały się wróble skalne, dziobiące dojrzałe siemię górskich ziół. Gdzieś na zboczu przeciwnym zabrzmiał ostry, porywczy gwizd ukrytego w trawach świstaka.

Trójświatowiedny poruszał jeszcze jakiś czas ustami bez głosu, jakby tylko myśli molidetwnej drzeniem warg wtórując, aż wreszcie wyciągnął rękę i dotknął lekko ramienia śpiącego.

Jacek zerwał się szybko i usiadł, przeciągając członki zeszywniałe. Naraz obejrzał się dokoła z wyrazem zdumienia najwyższego.

— Gdzie my jesteśmy?

— Na stokach Żabiego. Patrz, Tumie Mięgoszowieckie przeglądają się w Morskim Oku...

Stał już na nogach.

— Skąd ja się tutaj wziąłem?

Zamajaczyło mu jakby przez sen przypomnienie, że dnia wczorajszego wieczorem we własnym domu rozmawiał z Nyanatiloką o ukochanej puszczy tatrzańskiej... Dłońmi przycisnął czoło. Tak, pamięta dobrze! Miał wrażenie, że wsparty o biurko swoje zasypia, a potem śnił mu się ogień w żywicznym lesie rozłożony i Księżyc płynący ponad szczytami... Śniło mu się... a teraz...

Pojrzał po sobie. Płaszcz mu opadł z ramion; odziany był, jako przyszedł był wczoraj do domu: w ubranie miejskie, codzienne... Rzucił okiem, czy nie dojrzy gdzie samolotu swego, którym by go Hindus przewieźć mógł we śnie. Pusto było naokół; zioła jesienne, rosą zimną pokryte, stały równo — nie znać było na nich nawet śladu stopy, jak gdyby oni, przychodząc tutaj, nogami ziemi nie tykali.

— Skąd ja się tutaj wziąłem? — powtórzył.

— Mówiliśmy wczoraj o Tatrach — rzekł Nyanatiloka skromnie, a nieco wymijająco.

— Zmarłeś. Pójdźmy się ogrzać ku schroniskom w dole.

Jacek nie ruszał się z miejsca.

— Czyż mówić o czym wystarcza...?

— Nie. Ale myśleć. Duch stwarza sobie otoczenie, którego chce. Pomyślenie jest prawdą jedyłą.

— Przeniosłeś mnie tutaj wołą swoją?

— Nie sądzę, bracie, aby tak było. Zdaje mi się, owszem, że bezwzględnie rzecz biorąc, jesteśmy tam, gdzieśmy byli. Zmieniła się tylko rzeczywistość zmysłów naszych...

To mówiąc, Nyanatiloka szedł rażno naprzód, roztrącając nagimi kolanami zioła bujne i strząsając czołem rosę z obwisłych smrekowych gałązek. Jacek postępował za nim w milczeniu i szukał mimo woli jakiegoś wybiegu dla siebie, którym by mógł wobec własnego rozumu upozorować to niepojęte przeniesienie się nie wiadomo kiedy z dalekich równin Mazowsza w serce tatrzańskich gór. Uderzył się w czoło kilkakrotnie, aby się upewnić, że nie śpi — próbował wiązać szeregi myśli logiczne i subtelne, zupełnej wymagające trzeźwości.

Posłyszał głos, mówiący doń:

— Czy nie chcesz, bracie, abyśmy tutaj zostali? Mówiłeś wczoraj w pracowni swojej, że to miejsce jedyne, gdzie mógłbyś być i rozmyślać, i sobą samym żyć...

— Boję się, żem jednak jeszcze nie dojrzał do tego — szepnął Jacek. — Oto strach mnie przejmuje na samą myśl...

Wzrokiem obejmował wszystko niezmiernie wyraźnie, jasno i dziwił się jeno<sup>107</sup>, że gdy usta otworzy, słyszy swój głos jakby z dala skądś przychodzący... Czuł, że Nyanatiloka zatrzymał się i patrzy nań teraz — i ogarnął go wstyd, żeby myśli jego utajonej nie spostrzegł tymi czarodziejskimi oczyma... Schylił się dla ukrycia twarzy i zerwał rosnącą u nóg gałązkę goryczki, kwiatem ciemnobłękitnym pokrytą.

„Aza miała być dzisiaj u mnie — myślał — tak w liście pisała...”

Żał mu się zrobiło, że nie jest teraz w swojej pracowni, chociaż wczoraj uciec był rad przed zapowiedzianą wizytą.

Wyprostował się z gałązką zerwanego kwiatu w ręce i oczy wznosił.

Zdumienie piorunujące, straszne, z przerażeniem graniczące schwyciło go za pierś.

Był w swoim pokoju, przed stołem zarzuconym papierami, wobec książek swoich i obrazów.

— Nyanatiloka!

<sup>107</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]



Nikt mu nie odpowiadał; sam był. Przez rolety podniesione wpływało zimne światło poranne, gwar rozbudzonej już ulicy dochodził z dołu.

— Śniłem! — szepnął Jacek z ulgą i wznosił rękę do czoła.

— Zasnąłem był widocznie przy rozmowie wczoraj w fotelu i...

Skoczył w tył. Dojrzał we własnej dłoni, na wysokość oczu wzniesionej, kwitnącą gałązkę goryczki świeżą, błyszczącymi kroplami rosy jeszcze pokrytą...

Palce rozwarł z przerażeniem tak szybko, że kwiat z nich wypuszczony upadł na dywan tuż obok stóp jego, odzianych w buty przemoczone i zwalane. Lśniły na czarnej ich skórze rosą przyklejone drobne listeczki borówek i iglice smreków uschnięte... Ubranie jego całe miało ostry zapach żywicznego dymu, jak kiedy się noc przy wiatrze<sup>108</sup> z kosodrzewiny przepędzi.

Postąpił ku fotelowi i usiadł na nim z wolna, głowę wspierając na ręku.

„Czymże jest — myślał — wszystko, co widzimy, czymże jest tak zwana rzeczywistość życia, jeśli ja siedzę tutaj w tej chwili z górskim kwiatem w ręce i nie wiem po prostu, co się stało i jak to było możliwe...? Mówił Nyanatiloka (wszakże mnie się nie śniło!), że nie my się w takich wypadkach z miejsca na miejsce przenosimy, lecz stwarza sobie duch otoczenie wedle woli; ale przecież ja przed chwilą nie duchem jeno byłem w Tatrach, lecz z ciałem mym i z tym ubraniem nawet, które mam na sobie rosą pokryte i kawałkami zielska leśnego, przesiąknięte żywicznym dymem watry na noc rozpalonej...? Czyż jest na świecie jakakolwiek teoria, która by mogła usprawiedliwić to zamieszanie i nieporządek ten w wypadkach? Lord Tedwen istnienie świata fizycznego jako pozoru tylko złudnego udowodnił po prostu, ale nie odebrał przeto temu, co się staje, niewzruszonych praw, nie wyrwał z głębi naszych człowieczych dusz przekonania o porządku istnienia i stawania się... Nie wiem nic! Nie wiem goła nic!”

Ścisnął głowę rękami i trwał tak przez jakiś czas w milczeniu, usiłując już nie myśleć nawet o tym.

Zachrzęściła poza nim w ścianie metalowa skrzyneczka, którą mu z centralnego urzędu wprost do domu ranną pocztą przesyłano. Wstał i aby myśl rozerwać, dotknął sprężyny, skrytkę zamykającej. Paczka papierów wysypała się na stolik — były to przeważnie karty niewielkie, na których obok nazwiska zapisano tylko numer jakiś i godzinę, o której wysyłający pragnie rozmówić się z Jego Ekscelencją telefonicznie... Jacek przerzucał te karty prędko, nie myśląc prawie o tym, co robi. Myśl jego wbrew woli wracała uporczywie do zdarzeń nocy ostatniej, niezdolna zatrzymać się na doniesieniach mniej i więcej ważnych, które miał w ręku.

Nareszcie jedna rzecz zajęła go żywiej. Było to codziennie przysyłane mu sprawozdanie kierownika zakładów, którym polecił wedle planów najściślejszych nowy „wóz księżycowy” dla siebie zbudować. Dyrektor donosił, że robota postępuje z wolna, ale pewnie, i on spodziewa się za dwa lub trzy miesiące oddać Jackowi pojazd do drogi gotowy.

Dwa lub trzy miesiące! Drgnął niecierpliwie. Tak długo czekać wprost niepodobna! Jeżeli Marek tam, na Księżycu, pomocy jego potrzebuje, to może ona być już spóźniona — a przy tym... co tu może zająć w tym czasie, nim on zdąży wyjechać! Czyż nie ma już innego środka nad ten wóz, w przestrzeń ścieśnionymi wyrzucony gazami?

Obejrzał się. Za nim siedział w fotelu Nyanatiloka milczący, spokojny jak zawsze. Jacek przywykł już był tak do jego niespodziewanego i dziwnego pojawiania się w różnych miejscach i najczęściej wtedy, gdy o nim myślał, że nie okazał już nawet zdziwienia. Przystąpił jeno żywo ku niemu.

— Mówiłeś kiedyś — zaczął bez wstępu — że dla woli nie ma przeszkód mniejszych lub większych, że jeśli pokonała jeden milimetr przestrzeni, to już pokonać potrafi i tysiące mil...

— Tak myślę, bracie.

— Byliśmy dziś w nocy w Tatrach, nie ruszając się niby stąd...

— Tak myślę.

— Byliśmy tam naprawdę. Leży na mym stole lodyga goryczki, kwiatem okryta świeżym... Jestem pewien, że ją zerwałem dziś rano na stokach Żabiego... Nyanatiloka!

— Słucham cię, bracie.

<sup>108</sup>watry (gw.) — ognisko. [przypis edytorski]

— Ja chcę być na Księżycu, dzisiaj! Za godzinę, natychmiast! Być nie we śnie, ale rzeczywiście, jak w Tatrach dziś byłem, i móc tam działać.

— Nie wiem, czy zdołasz tego dokazać.

— Zrób to ty! Dopomóż mi!

Nyanatiloka potrząsnął głową z wolna i stanowczo.

— Nie.

— Dlaczego? Ja chcę, ja cię proszę o to!

— Nie. Nie teraz...

— Więc nie możesz zrobić tego widocznie! Snadź mądrość twoja cała i potęga polegają jedynie na robieniu figlów i sprowadzaniu omamień.

Urwał. Wstyd mu się zrobiło tego, co mówił — spojrzał na Nyanatilokę z obawą. Mędrzec buddyjski spojrzał nań pobłażliwie i uśmiechał się nieznacznie.

— Daruj! — szepnął Jacek.

— Nie mam ci nic do darowania, bracie mój...

— Uniosłem się...

— Przecież to zabawne — dodał po chwili, siadając z wolna na krześle — że mówię do ciebie tak, jakbym ci właśnie miał za złe, że cudów działać nie możesz...

Zamilkł szybko, przypomniawszy sobie, że jednak to, co ten buddysta już niejednokrotnie przed oczyma jego czynił, cudem bywało jednak...

— Nic nie rozumiem! — rzekł głośno, chociaż mówił tylko do siebie samego.

Nyanatiloka spoważniał.

— A jednak mógłbyś to, bracie, zrozumieć tak łatwo, gdybyś tylko chciał...

— Działasz cuda!

— Nie. Cudów nie działam. Nie działa cudów w ogóle nikt z tej prostej przyczyny, że nie jest zgoła cudem panowanie ducha nad pozorem i nie wykracza poza zakres praw Bytu odwiecznego... A jeśli ci odmawiam...

— Tak, dlaczego mi odmawiasz? — powtórzył Jacek.

— Posłuchaj mnie.

Nyanatiloka przysiadł się ku niemu i dłonie obie wsparłszy na poręczy krzesła, mówić począł, oczu od twarzy jego nie odwracając:

— Chcesz się dostać bezzwłocznie na Księżyc za przyjacielem swoim na skutek posłyszanych wieści. Dopomogłem ci już raz myślą tam być i patrzeć duszy oczyma na czynny twego przyjaciela, ale ciebie to nie zadowala. Chciałbyś tam być tym kształtem marnym owinięty, który nazywasz swym ciałem, z możliwością udzielania się innym, wykonywania pewnych ruchów, słowem: działania, tak jak ty jeszcze działanie w tej chwili rozumiesz. Nie sądzę, aby to było potrzebne i duszy twojej pomogło, a przecież o co innego zgoła nie chodzi.

— Owszem, chodzi o przyjaciela mojego, który pomocy mej potrzebuje.

— Co mu ty pomożesz? Czy weźmiesz z sobą maszynę swoją zabójczą i zniszczysz Księżyc cały, aby jego ocalić, jeśli mu co zagraża? Czy ty zresztą wiesz, co się tam dzieje naprawdę? Mówiłeś wczoraj w przytomności mojej z karłami i wnioskujeś z tego, coś od nich usłyszał, że przyjaciel twój Marek z zamiarem czy wbrew zamiarowi wdał się niespodziewanie w los księżycowego ludu i wpływa osobą swą na jego dzieje. Cóż chcesz teraz zrobić? Stań przy nim i dopomóż mu, aby się prędzej stało na Księżycu wszystko tak, jako jest na Ziemi?! Czy sądzisz, że dobre jest rzeczywiście to, co jest u was?

— Może Marka trzeba z niebezpieczeństwa wybawić — wtrącił Jacek wymijająco.

— Po co? A jeśli taki los jego, który wziął już na siebie? Nie przeszkadzaj mu umrzeć, bo może właśnie tego jest mu potrzeba. Jesteś pewien, że przyjaciel twój więcej zdziałać może żyw i sam niżli jasna jaka o nim legenda, która z pokoleń pójdzie w pokolenia? Czy chcesz ją przerwać w zaczątku? Zniweczyć? Uniemożliwić?

Podszedł ku siedzącemu ze schyloną głową Jackowi i dłonie mu obie z tyłu wsparł na ramionach.

— Słuchaj mnie! Nie myśl o Księżycu, nie myśl o globach zaziemskich: dość rychło je poznasz! Nie przeszkadzaj temu, co się dzieje, choćbyś nawet miał moc! Nie trzeba przeszkadzać niczemu, bo nie o to chodzi, co się dokoła nas dzieje, lecz o to, ku czemu we wnętrzu własnym dążymy...

Jacek uniósł głowę. Czuł za sobą postać stojącego Nyanatiloki, ale oczu nie odwracał ku niemu, jeno wyteżył je kędyś w zamyśleniu na ścianę przeciwległą, kędy<sup>109</sup> portretów kilka wisiało.

— Skąd ty wiesz, że nie idzie mi o siebie samego? — rzekł. — Może ja właśnie chcę uciec?

— Nie ucieczesz<sup>110</sup>. W twarz trzeba pojrzeć wszystkiemu i wszystko przejść, nie odwróciwszy się. Bez wysiłku, bez radości nawet. Być sobą.

Pochylił się jeszcze więcej. Jacek nie był już pewien, czy głos jego słyszy, czy tylko szelest myśli własnych, tamtego dziwną podniętą wzbudzonych.

— Osiąga się wszystko wtedy dopiero, gdy się nie żąda, nie pragnie niczego. Beznamiętnym trzeba się stać jak wszechświat, jak światło niezatroskanym; wiedzącym, a nie badającym, jak Bóstwo!

Myśli Jacka szły gdzieś w dal nieokreśloną i rozwiewną.

Wiedzącym, a nie badającym!

Stworzycielem prawdy własnej, będącej zarazem prawdą wszechświata, który się zamknął w człowieku.

Zamiast poszukiwaczem cudzych prawd, co niczym się okazują, i pustką, i pozorem...!

A prawda własna — to wiara!

Jakakolwiek wiara, ale twórcza, mocna, stworzona w duchu i niewątpliwa — a właśnie przez to prawdą niewzruszoną będącą!

To znaczy: wiedzieć, a nie badać!

Tworzyć, a nie szukać.

Myśleć, a nie wątpić.

Nie poddawać się, a czuć; nie pragnąć, a chcieć!

Gdzie droga do cudu takiego?

Nyanatiloka powiedział raz: „Trzeba się nauczyć być samotnym w pośrodku gwaru i ciszy<sup>111</sup>, jako na puszczy głuchej jeszcze samotnymi być nie umiecie”.

Nad Nilem to mówił, kiedy od zwalisk chramu<sup>112</sup> Izdydy powracała Aza...

— Ekscelencjo...

Drgnął i zerwał się żywo. Lokaj stał we drzwiach nieruchomy, wyprostowany.

— Co tam?

— Niepokoił się, że Ekscelencja na noc nie zeszedł do swojej sypialni...

Jacek rzucił ręką niecierpliwie.

— Co słychać?

— Pani Aza...

— Co? Przybyła?

— Tak jest. Osobnym pociągami dziś rano. Chcieliśmy zbudzić Ekscelencję wedle polecenia, ale sypialnia była pusta, tu zaś nie śmieliśmy wchodzić.

— Gdzie jest pani Aza?

— Wskazano jej przygotowane od paru dni pokoje. Kazała oświadczyć, że za godzinę będzie na śniadaniu i spodziewa się spotkać Waszą Ekscelencję...

Po odejściu lokaja Jacek zwrócił oczy na twarz Nyanatiloki. Patrzył nań pilnie, jakby chcąc wybadać, jakie na nim zrobiła wrażenie ta wieść o przybyciu w odwiedzinę śpiewaczki sławnej, ale lico jego spokojne było, pogodne i zastygłe, jak zawsze. Zwykły uśmiech nawet nie schodził mu z warg, w oczach nie było oburzenia, smutku ani nawet pobbżania...

— Czy zejdziesz zaraz na dół, bracie? — zapytał głosem zgoła obojętnym.

Aza czekała już tymczasem w sali jadalnej, rozgościwszy się swobodnie, jakby we własnym domu. Zrzuciła podróżne ubranie i w lekką suknię ranną odziana, z wonną przy ustach cygaretką siedziała w głębokim, skórą krytym krześle z poręczami. Przed nią na stole, nakrytym lnianym, wzorzystym obrusem kilkuwiekowym, lśniła srebrna zastawa do herbaty i kryształowe, grube, rżnięte czary z różnym owocem i słodyczami. Ona

<sup>109</sup>kędy — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>ucieczesz — dziś popr. forma: uciekniesz. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>ciżba — tłum. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>chram — świątynia. [przypis edytorski]

odsunęła dłonią filiżankę z niedopitą chińską herbatą i odrzuciwszy głowę na oparcie fotelu, patrzyła przymrużonymi oczyma na błękitny dymek egipskiego tytoniu, co się snuł z wolna ku rzeźbionemu stropowi. Przegub stopy wsparła na kolanie drugiej nogi; wśród rozrzuconych fałdów jasnego jedwabiu widniały dwie łydki smukłe i jędrne w czarnych, lśniących pończochach i stopy drobne, złotymi obute trzewikami.

Od czasu odwiedzin Łachcia i śmierci jego niespodziewanej Aza porzuciła już zupełnie dawne swoje mieszkanie, w którym i tak dotąd, włócząc się po świecie, gościem jeno rzadkim bywała. Dziwne to wszystko na niej zrobiło wrażenie. Ginęli dla niej ludzie niejednokrotnie — pod drzwiami jej i z dala — na kraniec świata niby przed nią uciekając — ginęli cicho, bez słowa jednego, bez skargi, bez wyrzutu albo też listami sążnistymi zapowiadając jej dzień i godzinę swojej śmierci, obwiniając ją lub błogosławiąc nieszczerze i po błazeńsku za „bolesne szczęście”, jakie im dała — a ona przechodziła zazwyczaj nad tym wszystkim do porządku dziennego — jak nad szpilką zgubioną, złamanym w gorsecie fiszbinem...

O Łachciu nie mogła myśleć spokojnie. Ile razy z domu wychodziła, zdawało się jej zawsze, że widzi na progu od ulicy tego trupa skurczonego, o przerażająco białej, męką przedśmiertną wykrzywionej twarzy, którego nie wiadomo po co jej przyniesiono...

Zatrzęsła się teraz na samo przypomnienie. Wiedziała, że zginął dla niej i przez nią.

Myśl jej, przeciw nieokreślonym wyrzutom zbuntowana, zżymać się zaczęła. Przecież ona nie wyrządziła mu żadnej zgoła krzywdy. Czegóż mógł chcieć? Cóż, że go pocałunkami oszalałymi doprowadziła do obłędu, a w chwili ostatniej, kiedy się ośmielił sięgnąć po nią, jak psa odepchnęła? Czyż dlatego zaraz życie sobie odbierać! Lub jeszcze gorzej: tak je ważyć na śmierć dobrowolnie i widocznie?

Zamajaczyły jej w pamięci oczy jego, w pierwszej chwili obłąkane zdumieniem i strachem, a potem smutne tak przeraźliwie i jakby gasnące...

Leżał złożonymi ramionami na jej kolanach i ku twarzy jej wyciągał głodne usta — prawie piękne w tym momencie. Kazała mu bluźnić. Przeklinać mu kazała sztukę swą i to odrodzenie przez czyn, którym się chelpił; głośno musiał zaprzeczyć wszystkiemu, co poprzednio ośmielił się być przeciw niej powiedzieć — i powtórzyć wyraźnie, że niczym jest on wobec niej i niczym jest wszystko wobec jednego ust jej pocałunku...

Ha! Przecież go nawet w pierś nie pchnęła, kiedy w najwyższym obłędzie miłosnym objąć ją chciał rękami; uderzyła go tylko wzrokiem i tymi słowy chłodnymi: „Cóż ty jesteś wart dla mnie — marny, podły i bezsilny, jak inni, chociaż jak inni chelpliwy...?”. A on rzekł, odchodząc: „Nie dlatego, że cię nie posiadał, lecz że owszem usta twoje pocałowałem, że przestał wierzyć już w siebie...”.

Śmieszna historia!

Rzuciła precz dopalony papieros i stopy w złotych trzewikach wyciągnęła na puzystym dywanie. Zła była na siebie, że myśli wciąż o rzeczy wedle przekonania swego drobnej i niewartej pamięci i tak na dnie gdzieś w duszy śpiącą słabość swoją potwierdza, kiedy by właśnie mocną być winna, mocną i nielitościwą, jak leśny ryś w gałęziach drzewa ukryty, co nad puszcza całą panuje.

Odwróciła się na szelest drzwi otwieranych. Na progu stał Jacek — przybladły nieco, i kłaniał jej się głęboko, przepraszając za spóźnienie. Nie wstając z krzesła, wyciągnęła ku niemu dłoń lewą, wypieszczoną, z długimi, różowymi paznokciami. Jacek pochylony dotknął jej lekko drżącymi, gorącymi wargami — i w tej chwili Aza, spojrzawszy z góry ponad jego głowę, dostrzegła we drzwiach dziwną postać półnagiego buddysty. Drgnęła mroźnym, niewytłumaczonym przestrawem i oczy rozwarła szeroko... Ta twarz wydała jej się znaną skądś, tak dobrze, tak dobrze znaną...

Powstała z wolna i podczas gdy Jacek, zdziwiony jej zachowaniem, na bok nieco ustąpił, ona wyteżyła oczy i pamięć...

Coś jakby mętne przypomnienie, kiedy małą jeszcze była dziewczeczką: sala olbrzymia, ludźmi zapchana, estrada w światłach rozjarzona, a na niej postać ta sama, te same dłonie o długich, subtelnych palcach, które teraz widzi na klamce drzwi — i ta twarz, długimi czarnymi okolona włosami...

I skrzypce czarodziejskie, w żywy chór aniołów dotknięciem dłoni tych zamienione, śpiewają. Czuje w dziecinnej piersi oddech zaparty: gra on, mistrz nad mistrze, skrzypce

Kobieta demoniczna,  
Pożądanie, Samobójstwo,  
Śmierć

niezrównany, pan strun i złota, i serc, wielbiony, sławny, potężny, kochany, bogaty, piękny — jak bóg...

— Serato!

Trójświatowiedny głowę z lekka pochylił.

— Rzeczywiście, niegdyś nosiłem to imię — rzekł bez śladu zakłopotania zwykłym, spokojnie brzmiącym głosem.

## VI

Dniem i nocą przemyślał Roda nad tym, jak by uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie chciał w towarzystwie Jacka jechać na Księżyc i postanowił raczej wszystko uczynić, aby do tego nie dopuścić. Zdawał sobie jednak zupełnie jasno sprawę z tego, że to „wszystko”, co w mocy jego leży, jest właściwie bardzo niewiele, i drżał na samą myśl pojawienia się z Jackiem w mieście przy *Ciepłych Stawach*.

Już nawet nie tyle gnębiła go obawa zemsty za Marka ze strony uczonego, któremu mimo całą pobłażliwość jego nie bardzo dowierzał, co strach przed wstydem, na jaki by się musiał na Księżycu narażać...

To by już było naprawdę ironią losu nie do pojęcia! On — Roda — przewodniczący Bractwa Prawdy, który przez całe życie zwalczał „bajki” o ziemskim ludzi pochodzeniu, powracający teraz właśnie z Ziemi i zmuszony zaświadczyć, że jest zamieszkana i pod względem urządzeń od Księżycu o niebo całe doskonalsza.

Roda bowiem stał się zapamiętałym wielbicielem zwłaszcza technicznej kultury na Ziemi. Poznał ją doskonale — przynajmniej w powierzchownych objawach. Jacek, mając niewzruszony zamiar wziąć obu „posłów” ze sobą na Księżyc z powrotem, chciał, aby przedtem — o ile się da — jak najwięcej skorzystali z pobytu na Ziemi, i najął przewodników, z którymi zwiedzali różne kraje i miasta, patrząc się i ucząc z każdym dniem więcej.

Początkowo odbywał tę podróż Roda wspólnie z Mataretem, ale później zdołał Jacka uprosić, że go od towarzysza uwolnił. Od owego pamiętnego dnia, kiedy Mataret wyznał prawdę niepotrzebnie, stosunki między nim a mistrzem były już tak naprężone, że nie mówili prawie do siebie, chyba żeby sobie rzucić oskarżenia i obelgi nawzajem. W podróży ten stan pogorszył się jeszcze, o ile to było możliwe. Innymi oczyma patrzyli na świat; Mataret, cały cud postępu ziemskiego uznając, nie przestawał być i tutaj po staremu sceptykiem, który i na odwrotną stronę medalu nie ma oczu zamkniętych. Podczas gdy Roda zachwycał się i chwalił ustawicznie, on — ziemski świat poznając — coraz częściej uśmiechał się szyderczo i wzruszał jeno ramionami, gdy go pytano, czy jednak nie lepiej i nie doskonaiej tu niż na Księżycu? Przychodziło stąd do zażartych kłótni między oboma członkami Bractwa Prawdy, które w końcu tak się stały nieznośne, że musieli się rozdzielić.

Pozbawiony towarzystwa swego rodaka Roda czuł się wprawdzie nieco osamotniony, ale ostatecznie to, co widział i słyszał, tak go pochłaniało, że nieczęsto brak ten odczuwał.

Korzystał zaś wiele i prawdziwie. Bystry z natury, chwycił w lot formę ziemskich urządzeń i wkrótce już zdawał sobie sprawę z panujących stosunków. Ponieważ zaś niepokoiła go ciągle myśl o możliwym, a bynajmniej niepożądanym już teraz powrocie na srebrny glob rodzinny, więc szukał wśród nich wyjścia dla siebie jak najdogodniejszego.

Jasno określonego planu nie posiadał jeszcze, ale mając w głowie jakieś niewyraźne zarysy, z których mogło się coś z czasem utworzyć.

Z pobytu na świecie dowiedział się o wrzeniu coraz wyraźniejszym i bardziej zdecydowanym, w domu swego opiekuna spostrzegł, że tutaj jest niejako węzeł jakiś tego ruchu. Niewiele mu stosunkowo czasu było na to potrzeba, aby odgadnąć, że o tajemnicę tu chodzi jakiegoś wynalazku straszną i potężną, która posiadaczowi zapewnić by mogła bezkarność, moc i przewagę.

Zrozumiał, że wydobyć tej tajemnicy było celem kilkakrotnych odwiedzin Grabca, a także niewątpliwie i tego przedłużającego się pobytu Azy w domu uczonego.

Roda wbrew dotychczasowym swoim zwyczajom milczał, patrzył i czekał.

„Przyjdzie moja godzina! — myślał. — Jako tamtemu opanowałem wóz, tak spróbuję przy sposobności i temu wydrzeć jego maszynę”.

Rzeczywiście wszyscy o tę maszynę walczyli. Grabiec, niepojętą dla siebie śmiercią Łachcia dotknięty i w działaniach swych osłabiony, tym więcej parł na Ażę, aby się śpieszyła... Pragnął mieć w rękę straszną, niszczącą potęgę i stawiać warunki społeczeństwu, światu — bez walki zwyciężać.

Bo mimo wszystko w chwilach spokojnego rozmysłu strach go ogarniał przed tą burzą, którą oto rozpętywał. Poruszył podziemne moce, rzucił zarzewie w olbrzymie masy zastygłego w fizycznej pracy robotnika — i już dziś przed wybuchem zląkł się, widząc, jak fala się wznosi, wydyma, rośnie. Chciał to morze na smycz niejako wziąć i w służbie wiedzących tego świata puścić na ohydny, cywilizowaną trzodę ludzką — a uczuł rychło, że gdy ono się raz rozpęta, nie będzie miał nad nim władzy nikt, gdy się rozwichrzy i rozkołysze, nikt go na powrót między połamane tamy nie wciśnie.

Pewnego jesiennego popołudnia, przeleciawszy z Józwą w parę godzin szmat kraju, odwiedziwszy po drodze ogniska ruchu, podsyciwszy tu i owdzie ogień już płonący, zażęgłszy go gdzie indziej, opuścił się na puste, słońcem spalone wzgórze ponad Wiecznym Miastem. Rozmawiali przez jakiś czas o dziennych sprawach rozszerzającego się wciąż sprzysiężenia, ale słowa padały im z ust leniwie, aż wreszcie umilkli obaj, w przedziwny gród, tam, pod stopami swymi zapatrzeni.

Jasne, złote słońce wisiało na niebie; powietrze samo, nasycone pyłem świetlnym, oczy niemal ślepiło. A pod tą błękitną i złotą sreżogą<sup>113</sup>, pod tumanem przejasnym i opalowym, co brzegi widnokregu zacierał i chłonał, spało w ciszy miasto Grabca ukochane, jedyny, wieczysty, królewski Rzym.

Tam, na północy daleko, na wschodzie i na zachodzie, dwa były centra życia, dwa czerwona i złotą krwią tętniące serca ładu europejskiego: Paryż i Warszawa. Dwa węzły potworne wszystkich sieci i dróg, dwa ośrodki tego, co tłum powszechnie nazywał kulturą, olbrzymie polipy, chłonna tysiącem ramion soki wszystkiej ziemi, stolice rządów i kupców, i przemysłowców, ogniska zabaw, grzechu, podłości, miernoty. Na wzór tych dwóch miast największych rozwijały się, rosły i przemieniały inne, nie mogąc im zresztą nadażyć, dawne stolice dawnych państw europejskich, zawsze ogromne, potworne, ruchliwe, a jednak przez tamte dwa „słońca” do drugiej zepchnięte rangi.

Rzym pozostał tym, czym był przed wiekami: miastem jedynym. Dziwnym cudem jakimś uchował się przed niwelującą wszystko, barbarzyńską ręką „postępu” i „cywilizacji”. Stały po dawnemu nietknięte ruiny na Forum: nad resztkami złotych domów na Palatynie chwiały się na wietrze cyprysy sędziwe i kwitnęły krwawe róże pod drzewami pomarańczowymi.

W kościele Świętego Piotra dzwony były po dawnemu i w Watykanie siwy starzec w potrójnej koronie — białą, słabą ręką bezludny żegnając dziedziniec — dumiał o tych czasach, kiedy stąd jego poprzednicy ruchem palca dźwigali narody Ziemi, a zaś głowy królewskie w pył uginali...

A na Kapitolu, na Kwirynale, a pałacu tysiącletnim u św. Jana Laterańskiego, w gigantycznych resztkach dawnych łaźni, teatrów, cyrków, w krużgankach bazylik, pod kopułami kościołów, w gmachach świt Odrodzenia pamiętających, w ogrodach, na placach, nad fontannami — stały posągi białe, bóstwa z dawien nieczczone, odłamy snów marmurowych, strzępy bujne minionej, twórczej młodości...

To miasto jedyne wymarzył sobie Grabiec na przyszłą dumną stolicę duchową odnowionego świata.

Pochylił głowę i patrzył w słońcu na setkę kopuł wydymających się ku niebu, pokrytych złotozieloną patyną wieków, na obeliski stare i strzeliste, na poszczerbioną turnię Cyrku Flawiuszów.

Dostojeństwo spokojne a mocne biło od tego miasta, co tysiąclecia przetrwało i nie uznało za stosowne zmienić się za przykładem innych.

Grabiec śnić począł...

Tam, na północy, na wschodzie czy na zachodzie, niechaj sobie będą wielkie „współczesne” metropolie, ogniska pracy, ruchu, codziennych drobnych zabiegów, niech się roją jak ule, niech huczają jak kuźnie, byle gwar ich dalej nie dochodził, jak po krańce tej

<sup>113</sup>*Sreżoga* — rozedrgane powietrze nad rozgrzaną powierzchnią, tworzące wrażenie mgły np. nad asfaltem w upalny dzień. [przypis edytorski]

wyzłoconej słońcem i jesienią Kampanii, byle nie mącił zadumanej ciszy pod cyprysami na ruinach... Tu będzie mózg i dusza ludzkości, nieprzemijająca świątynia „ziemskich bogów”, siedlisko a stolica wiedzących, co będą zarazem królami świata.

Niegdyś, kiedy cesarowie w marmurowych domach na palatyńskim wzgórzu mieszkali, okrąg świata słał miastu temu pszenicę, wino, oliwę, kruszec kosztowny i drogie kamienie, niewolników, kobiety i bogów nawet — okrąg świata mu służył, woli jego podlegał, za rację bytu swego miał po prostu istnienie, rozkwit i blask tego miasta jedyne.

Teraz ma się to powtórzyć. Co tylko kraje i ziemie, i morza wydać mogą najlepszego, tutaj ma spływać; tutaj ma być na nowo środek świata, myśl jego i wola.

Więści po łądach szerokich — po wyspach morza dalekich będą chodziły, że jest gród święty, do którego wstęp wybranym jeno jest dozwolony. Opowiadać o nim będą matki swym dzieciom, jakby starą baśń jaką wschodnią, że jest tam moc wszystka i wszystko piękno, światło, mądrość i życie, ale w nieprzebytych murach bramy są wysokie i nie giąć się trzeba, lecz raczej na miarę ich wzrósć, aby wnijść<sup>114</sup> do wnętrza.

O, miasto wyśnione, miasto ukochane!

Krótki, twardy śmiech Józwy wyrwał Grabca z zamyślenia. Odwrócił żywo głowę i spojrzał na towarzysza.

Stał on z pięściami wspartymi na jakimś starym, połamanym już i w zielsko wrosłym sarkofagu, z czołem jakby do uderzenia pochylonym, z namarszczonymi brwiami.

— Józwa, tyś się śmiał?

Przywódca rzucił w tył głowę.

— A co? Śmiałem się.

Zakreślił ręką szerokie koło.

— Przecież to zabawna rzecz pomyśleć, że po tej burzy naszej będą tu tylko gruzy bez kształtu i kamienie, na których zielsko porośnie, i krzewy, i potem las... Damy my radę, o! damy tym gmachom, co wieki przetrwały, tym starym sklepieniom połatanym sztucznie cementem, kolumnom tym, żelaznymi prętami związanym. O! Będą się tu w proch sypały te kopuły, będzie trzęsienie ziemi, jakiego od stworzenia świata nikt pono jeszcze nie widział!

Rozśmiał<sup>115</sup> się znowu drapieźnie, a potem, zwracając się wprost do Grabca, dodał:

— Słuchajcie, Grabiec, wy coś kręcicie... Jak się ma naprawdę sprawa z ową maszyną Jacka?

Grabiec nie miał ochoty odpowiadać. Ostatnie blaski zachodzącego słońca, tak podobne do królewskiej aureoli, miasto otaczającej, zmieniły mu się w oczach nagle na pożar; zdawało mu się, że widzi wieczny Rzym, walący się w gruz bezpowrotnie — i dziką, od dawnych hord barbarzyńców straszniejszą tłuszcę, co idzie przez zgliszcza i przez zwaliska — niepowstrzymana, szalona...

Dopiero gdy Józwa po raz drugi natarczywiej powtórzył pytanie, Grabiec zwrócił oczy na niego.

Zawahał się jedną chwilę. Czyż mu ma powiedzieć prawdę, że straszny wynalazek Jacka, jeśli się do ręki jego dostanie, to służyć mu będzie zarówno do pognębienia rozwielmożnionego dzisiaj społeczeństwa ludzkiej trzody, jak do utrzymania w tamach i... w niewoli nowej rozpiętanych na jeden dzień mas roboczych? Czy mu to ma szczerze i bezczelnie powiedzieć? I dodać jeszcze, że dopóki on żyw, to raczej wszystko się zwali na świecie, nim tu jeden kamień ze szczytu starych kolumn opadnie?

Patrzył na Józwę i myślał, jakie by to na nim zrobiło wrażenie. Tak, ten człowiek — usłyszawszy to — nawet by się nie zachnął, nawet nie oburzył, roześmiałby się tylko szerokimi ustami, białe, drapieżne i mocne zęby odsłaniając, tak pewien, że potęgą ostateczną i niemożliwą będzie zagłada i będzie zniszczenie, które on właśnie wie dzie za sobą.

— Posłałem Azę do Jacka — rzekł Grabiec na pozór spokojnie i obojętnie, w inną patrząc stronę — ona uczyni, co się da...

<sup>114</sup>wnijść (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>rozśmiać się — dziś: roześmiać się. [przypis edytorski]

— Głupstwo! — syknął Józwa pogardliwie. — Nie rozumiem tych półśrodków! I na co tutaj kobieta? jakaś komediantka? co ona potrafi? Lepiej by było rozbić ten dom jego w Warszawie na piargi i wziąć, co trzeba, przemocą.

— Nie należy zapominać, że Jacek może się bronić! Jednym ruchem palca wysadzić zdoła całe miasto.

Józwie oczy zabłysnęły.

— To cóż! Właśnie prześliczny początek! Warszawa, Paryż, a potem te inne, mniejsze wrzody na zarażonym cielsku Europy...

— Na to by już kolej nie przyszła — rzekł Grabiec, jakby do siebie. — W tych warunkach razem z Warszawą przepadłaby też i tajemnica piorunującej maszyny Jacka.

— Więc co?

— Musi on nam swój wynalazek oddać dobrowolnie, zwłaszcza że bez jego wskazówek, kto wie, czybyśmy sobie umieli poradzić!

Józwa wyciągnął ręce żylaste, potężne.

— I to zresztą niekonieczne — rzekł po chwili. — Niech diabli mędrców wezmą z ich maszynami! Mam ja u siebie składy potężniejszych a żywych materiałów wybuchowych! Niech się tylko wszyscy moi ruszą, niech taniec zawiodą, a duszą wam ręczę, Grabiec, że ani śladu, ni wspomnienia z tego ślicznego świata nie zostanie.

Grabiec usta już otwierał, aby odpowiedzieć, ale naraz zrozumiał, że wszelkie słowa są tutaj próżne i stracone. Pojrzał w oczy Józwy, płonące zacieklą, nieubłaganą nienawiścią do wszystkiego, co było i jest — po prostu dlatego tylko, że jest i że było — i po raz pierwszy w życiu zimny strach go objął. Przez jedno okamgnienie myślał, czyby nie pchnąć zawczasu noża w tę szeroką pierś, ale zbuntował się rychło sam przeciw tej myśli, podłej i tchórzliwej. To by znaczyło przed podróżą roztrzaskać okręt, do nowych krajów wiozący, z obawy przed burzą, która może pokonać siły i mądrość sternika...

Patrzył na Józwę. To nie był przecież człowiek tępy ani ślepy, nienawidzący dlatego, że przypadkowo urodził się i żył w ciężkich warunkach, na ręczną i ogłupiającą pracę losem skazany... Przeszedł on owszem ongi wszystkie stopnie szkół publicznych i miano go nawet dla wielkich zdolności posłać na koszt państwa do Szkoły Mędrców, gdy on nagle przepadł, jak kamień do wody rzucony.

Rychło się w zamęcie życia zapomina o przepadłym człowieku, nikt też wkrótce nie pamiętał, że Józwa żył, a tym mniej rozmyślał nad tym, co się z nim stało. A on tymczasem, doszedłszy pewnego dnia do przekonania, że złe jest to, co jest, w poszukiwaniu siły zstąpił w głąb i zbierał moc, wiedziony jedynym, obłądnym pragnieniem zniszczenia...

— Dziwna, żem ja go spotkał<sup>116</sup> i poznał — szeptał Grabiec do siebie, zwracając oczy na słońce zachodzące w krwawych blaskach nad Rzymem.

## VII

Potrząsnął z wolna głową i uśmiechnął się.

— Nie — zaczął, nie patrząc na Azę, jakby nie na jej odpowiadał pytanie — nie wyrzekałem się niczego, żadne mnie nie spotkały zawody, nie byłem zgoła na nic rozgorczyony, niczym rozczarowany.

Jacek poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Więc czemuż...

Urwał nagle i zamilkł, wstydem jakimś ogarnięty, że pyta o to, co by powinien już być może zrozumieć.

Nyanatiloka podniósł nań oczy spokojne i jasne.

— Tamto było mało. Poszedłem dalej, chciałem żyć.

— Życ...! — szepnął Jacek do siebie, jak echo.

W jednej chwili stanęło mu żywo w pamięci wszystko, co słyszał o tym człowieku dziwnym, jeszcze jako chłopiec nieletni, i co wiedział o nim teraz.

„Chciałem żyć” — mówił Serato-Nyanatiloka, on, którego imię było niegdyś synonimem życia samego, rozpetanej mocy, szczęścia, rozkoszy, władztwa.

Mówiono o nim wówczas jak o bożyszczu. Kędy się pojawił ze skrzypcami czarodziejskimi, ludzie jak obłąkani padali przed nim na kolana, a on robił z nimi po prostu,

<sup>116</sup>dziwna, żem ja go spotkał — dziś: dziwne, żem (...). [przypis edytorski]



co chciał. Jeśli można było kiedykolwiek rzec o jakimś artyście, że władał, a nie służył sztuką swą tłumowi, to o nim niewątpliwie. W przesławnych, nieporównanych i jedy-nych improwizacjach swoich chwiał słuchaczami jak trzcina nadbrzeżną; jednym ruchem smyczka, jednym palca przesunięciem rzucił ludzi z obłędu radości w smutek i przygnę- bienie, szeptał im baśnie cudowne, przerażał ich i unicestwiał, pod nogi swoje miotał lub w tejsze chwili, mocą cudotwórczą, podłych zjadaczy chleba przemieniał na rozszałających, z wichrami pędzących bogów życia.

Przypomniało się Jackowi, co mawiał o nim biskup jeden, dzisiaj już nieżyjący:

— Ten człowiek, gdyby chciał, mógłby skrzypcami swymi nowe stworzyć objawienie, a ludzie poszliby za nim, choćby ich wiódł do piekła.

Kapłan mówił to z lękiem i krzyż kreślił na czole, a w oczach Jacka, młodego chłopca podówczas, rosła postać skrzypka do fantastycznych, nadludzkich rozmiarów, stawała się jakimś symbolem wywyższenia, władania, królewskości i pomazaństwa.

Nie można było powiedzieć, iż Serato jest bogaty, gdyż to określenie zbyt słabe nie malowało dosadnie tej potęgi złota, która przez palce jego nieopatrznie płynęła. Nie było myśli, której by nie mógł urzeczywistnić, ani tak fantastycznego zamiaru, którego wyko-nać by nie zdołał. Jeden koncert przynosił mu więcej, niż wynosiły niegdyś listy cywilne królów i cesarzy, dopóki jeszcze w Europie istnieli.

Piękny, zdrowy, niezatroskany, życiem jak burza huczący pił rozkosz istnienia pełnymi pierściami i naprawdę nie było rzeczy, której by mu los odmówił. Kobiety drżały, patrząc nań, i mógł wśród nich wybierać, jak sułtan z baśni *Tysiąca nocy*, pewien, jak ów sułtan, że żadna wezwania jego nie odrzuci, chociażby wiedziała, że śmierć ją czeka nazajutrz z jego ręki.

Nikt nie widział nigdy Seraty smutnym ani przygnębnym; mówiono o nim, że się tak śmieje, jak słońce świeci na niebie. I gdy pewnego dnia wieść się rozniosła, że ten człowiek zginął kędyś nagle i niepojęcie, przypuszczano powszechnie zbrodnię i szukano długo jej śladu — tak dalece nie mógł nikt pomyśleć, aby on sam dobrowolnie odwrócił się od tego życia, które chciwymi usty z pełnej dotąd pił czary.

Mimo woli wzniosł Jacek oczy i zwrócił spojrzenie na twarz siedzącego przed nim pustelnika.

I to jest on! On sam — Serato...!

Nyanatiloka, Trójświatowiedny.

Pólnagi, spokojny, uźebrany chlebem żyjący, a boski...

„Chciałem żyć” — mówi.

Chciał żyć...!

Więc czymże było tamto — ten szal bujny, kipiącej mocą sztuki, sławy, miłości? Nie byłoby to właśnie życiem, które jemu, Jackowi, błyska czasem jak ogień przelatujący przed mózgiem, zmęczonym mądrością? I możnaż było tamto wszystko rzucić tak niepowrotnie a lekko...

— Nie żal ci...?

Dawny skrzypek wzniosł powoli głowę.

— Czego? Czy patrząc na mnie, możesz przypuścić, że było tam coś poza mną, czego bym mógł w obecnym stanie swoim żałować? Nie cofnąłem się od niczego, nic nie odrzuciłem, jenom poszedł dalej i wyżej. Tamto mogło być coś warte, lecz to, co mam teraz, warte jest bez porównania więcej. Sławę miałem, bogactwo, władzę. Cóż mi to znaczy, co inni myśleli o mnie, wobec tego, że dzisiaj za to, bez cudzego zdania, wiem ja sam, czym jestem? Bogatszy jestem dziś niż kiedykolwiek, bo nie mam pragnień niezaspokojonych wobec tego, że nie pragnę niczego, co przez innych tylko mogłoby być spełnionym — miałem<sup>117</sup> pozornej władzy nad bliźnimi, mam doskonałą nad samym sobą.

— A sztuka — wtrącił Jacek — czy nie tęsknisz za nią?

Nyanatiloka uśmiechnął się.

— Jakaż harmonia zewnętrzna, chociażby najdoskonalsza, może się równać z tym dostrojeniem duszy, które teraz zdobyłem? Jaka moc twórcza artysty z tą pewną świadomością, że świat swój cały stworzyłem i póki chcę, utrzymuję?

Powstał i zbliżył się ku Jackowi.

<sup>117</sup> *miał* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

— Niepotrzebnie zresztą o tym mówimy — rzekł — gdy jest tyle rzeczy ważniejszych. Nie trzeba myśleć o tym, czym człowiek był, aby nie brakło czasu na myślenie, czym być może. I to każdy, każdy może być, każdy bez wyjątku, kto zechce.

Jacek zaśmiał się.

— A tak, kto zechce! Kto się zdobędzie na moc, aby się wyrzec od razu wszystkiego, jak ty.

Nyanatiloka przerwał mu ruchem dłoni.

— Ileż ci razy mam powtarzać — zaczął łagodnie — że ja się niczego nie wyrzekałem. Wszak wyrzec się, znaczy porzucić jakąś rzecz ponętną, wartość dla człowieka mającą. Ja wyzbyłem się tylko pewnych form życia, które stały się dla mnie próżnymi z chwilą, gdy doskonalsze poznałem. Po latach pracy duchowej, która z każdym dniem większą rozkoszą mi była, po latach odosobnienia i samotności najszczytniejszej, w której moc życia w nieskończoność się potęguje, zdobyłem to, co my nazywamy „wiedzą trzech światów”, która, jeśli nie jest mądrości słowem ostatnim, jest niewątpliwie pierwszym i zasadniczym. Tej wiedzy już się nie traci. Mógłbym teraz powrócić do form życia dawnego, wejść między ludzi tutejszego społeczeństwa, szaleć jak oni, pracować niepotrzebnie, cieszyć się sławą, bogactwem, powodzeniem i być w duszy nadal tym, czym jestem, ale śmiech mnie ogarnia na samą myśl o tym, tak to już dla mnie nie ma żadnego powabu.

Rozłożył ręce i głowę wznosił nieco ku górze.

— Żyję w formie najdoskonalszej — mówił dalej — osobistej, a wszechogarniającej, przez to, że nauczyłem się łączyć ze światem i duchem jego w jedność prawdziwą, jaka snadź była na początku, nim się świadomość człowiecza poczęła. Nie potrzebuję patrzeć na łąki kwitnące, słuchać morza huczącego ni burzy, bo sam jestem, zaprawdę, ziemią rodzajną i kwiatem, i rzeką, i drzewem, wichrem i morzem. W tętnie swej krwi, w rytmie myśli swojej czuję harmonię bytu: tę najgłębszą, tę pod zjawiskami złudnymi ukrytą, pod tym, co się człowiekowi, wyrwanemu ze świata, wydaje nawet złym, niesprawiedliwym lub niepotrzebnym. Całe długie życie moje poprzednie, chociaż skąpe dla mnie nie było, dać mi nie zdołało ni jednej chwili szczęścia bodaj podobnego temu błogostanowi, w jakim się obecnie znajduję ciągle i bez obawy utracenia go kiedykolwiek.

Nyanatiloka mówił to, do Jacka się zwracając, zupełnie tak, jakby zapomniał o obecności Azy, która w głęboki fotel wtulona, z brodą o złożone na poręczy dłonie opartą patrzyła nań w milczeniu szeroko rozwartymi oczyma.

Początkowo słuchała, co mówił, później słowa jego stały się dla niej dźwiękiem bez znaczenia, na który zważać nawet nie miała ochoty. Słyszała tylko brzmienie głosu równe, spokojne i miękkie; widziała z boku ramię nagie i jędrne, choć szczupłe, przez słońce południowe barwą dojrzałego owocu powleczone. Jakaś młoda świeżość i moc szły od tego człowieka. Włosy czarne i lśniące, lekko faliste, spadały mu na odkryte czerstwe ramiona i Azie zdawało się, że czuje zapach jego kędziorów, rzeźwy, przypominający woń górskich ziół, rosnących nad zimnym, kryształowym strumieniem. Twarz jego widziała w zgubionym profilu: linię wypukłą, gdzie skroń łączy się z kością czołową, wzniesioną powiekę oka, jeden kąt ust świeżych, drgających, czerwonych.

„Młody, jasny, boski — szeptała w myśli — taki był i wówczas...”

Zerwała się nagle z przerażeniem.

— Serato!

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią wzrokiem nieco roztargnionym, nierad widocznie, że mu przerywa.

Ona patrzyła przez pewną chwilę, jakby niepewna, oczom własnym niedowierzająca.

— Serato? — powtórzyła z odcieniem jakiegoś zdumienia.

— Słucham.

Aza liczyła coś półgłosem, oczu zeń nie spuszczać.

— Sześć... dziesięć... Osiemnaście, nie! Dwadzieścia! Tak jest. Dwadzieścia lat.

Nyanatiloka zrozumiał i uśmiechnął się.

— Tak. Przed dwudziestu laty opuściłem Europę, na Cejlon się udając.

— Ja byłem dzieckiem, małą dziewczynką w cyrku... Pamiętam... Mówiono wówczas, że Serato ma lat czterdzieści.

— Czterdzieści i cztery — poprawił.

Jacek, który śledził tę rozmowę z rosnącym zajęciem, zerwał się teraz z krzesła.

— Ty! Ty byś miał sześćdziesiąt kilka lat obecnie?

— Tak. Czy cię to dziwi?

Jacek cofnął się o krok, nie wiedząc, co myśleć, z oczyma w spokojnej twarzy pustelnika utkwionymi.

— Wszak to jest młody, trzydziestoletni człowiek — szeptała Aza, jakby do siebie, w bezbrzeżnym zdumieniu. — Młodszy jest niż wtedy, gdy go widziałam, przed dwudziestu laty. To nie może być.

— Dlaczego?

Wypowiadając ten wyraz zwrócił się twarzą na przelotną chwilę ku Azie i uderzył ją owym spokojnym spojrzeniem chłodno patrzących oczu.

Zamilkła nagle, nie wiedząc nawet, dlaczego ogarnia ją lęk niewytłumaczony. Przyszła jej na myśl bajka jakaś odwieczna, gdzie trup, zakłębionym straszonym przy sztucznym życiu i przy młodości utrzymany, rozlał się, gdy je złamano, w okamgnieniu cuchnącym błotem około własnych kości.

Krzyknęła lekko i cofnęła się wstecz.

Nyanatiloka tymczasem mówił do Jacka:

— Czy nie rozumiesz, że przy pewnym udoskonaleniu może wola panować nad wszystkimi funkcjami ciała, jak zazwyczaj panuje nad niektórymi tylko ruchami? Wszakże już fakirzy najniższych stopni, tak od wiedzy prawdziwej dalecy jak Ziemia od Słońca, choć w jej promieniach żyjący, zdołają wedle woli powstrzymać tętno serca i pracę nerwów i wprawiać się w ten sposób na jakiś czas w stan pozornej śmierci.

— Tu chodzi o życie, o niewytłumaczoną młodość twoją — wtrącił Jacek.

— I czyż to nie wszystko jedno, w którym kierunku wola działa? Idzie ostatecznie o pewien stan organów, o ich funkcje, jak wy tu w Europie swoim językiem uczonym mówicie, albo, jak my byśmy powiedzieli, o wyrwanie formy z czasu i postawienie jej ponad nim.

Jacek ścisnął rękami głowę.

— Myśl się miesza, myśl się miesza. Więc ty mógłbyś właściwie żyć wiecznie?

Nyanatiloka uśmiechnął się.

— Nie mogę nie żyć wiecznie, bo wszak duch jest nieśmiertelny, a ja duchem jestem, jak ty, jak my wszyscy. A co do ciała, które czym innym nie jest, jak tylko formą ducha zewnętrzną i przemijającą, to nie warto go nazbyt długo utrzymywać. Póki potrzebne, lepiej, że młode jest i zdrowe, zdolne słuchać wszelkich rozkazów, niżby wędznąć miało i słabością swoją przeszkadzać, ale kiedy spełni już swe zadanie, dość człowiekowi wiedzącemu wolę utrzymującą je rozluźnić...

Urwał i naraz zmieniając ton, rękę wyciągnął do Jacka.

— Pójdź, nie wiem, dlaczego w dusznej izbie siedzimy. Słońce już zaszło i chciałbym trochę z dachu na gwiazdy popatrzeć. Zamyślimy się tam razem i mówić potem będziemy o istnieniu z tej i z tamtej strony gwiazd jak o rzeczy jednej, ciągłej i nieprzerwanej.

Aza nie zauważyła nawet, kiedy wysunęli się z pokoju, choć jej się zdawało, że patrzy na nich ustawicznie. Siedziała jakiś czas jakby w odrętwieniu, oszołomiona całkowicie tym, co usłyszała, nie umiejąc sobie sprowadzić do kategorii ludzkiego rozumu historii wieczyście młodego skrzyпка, co stał przed nią teraz w postaci buddyjskiego świętego.

Naraz przyszło jej na myśl, że ona musiała się raczej pomylić, że ten człowiek nie jest i nie może być zaginionym przed dwudziestu laty Seratą. Widocznie rzucone przez nią przypadkowo imię przyjął i okrył się nim, jak gdyby z niewytłumaczonego powodu chciał, aby jak najmniej wiadano, kim on jest w istocie.

— To oszust.

Zerwała się odruchowo; chciała dzwonić na służbę, wołać Jacka, krzyknąć, aby tego człowieka zamknięto w więzieniu, nie pozwolono mu nazywać się tamtym imieniem...

Wsparała się dłonią o stół.

Czyż to możliwe jednak, aby go nie poznała, innego zań wzięła, aby ktokolwiek do niego był tak podobny?

Spuściła z wolna powieki i pod powiekami zamajaczyła jej scena, tak dawna, że snem się już prawie stała, a jednak żywa i wyrazista...

Ongi — przed laty dwudziestu — Serato miewał szalone pomysły. Czasem, błagany i wzywany nagłymi telegramami, mimo wstawiennictwa najpierwszych dostojników,

artystów i swoich przyjaciół, w teatrach pierwszorzędnych grać nie chciał, chociaż mu góry złota sypano pod nogi. Innym zaś razem występował tam, gdzie się go najmniej śmiano spodziewać, i zamieniał swoją obecnością przydrożną gospodę na pamiętną długą salę koncertową. Bywało też, że jak grajek wędrowny szedł ze skrzypcami zapyłonym gościńcem, ciągnąc za sobą w pola z wyludnionego miasta całe tłumy opętane.

Aza, mała w cyrku dziewczynka, słyszała o tym od starszych kolegów i koleżanek, z dziwnym drżeniem warg imię jego wypowiadających — i śnił jej się skrzypek czarodziejski, światami na czele rzeszy przeciągający, jak boskie jakie zjawienie, jak boska moc ucieleśniona. Nawet nie pragnęła go zobaczyć, tak go jej żywo malowała dziecięca fantazja. Gdy było ciemno i ona zmęczona w kątku cicho zasiadła, opowiadała sobie niezmiennie jedną i tą samą bajkę najcudniejszą:

— Przyjdzie...

Będzie to dzień wcale do innych niepodobny, jaśniejszy jakiś i słodszy, kiedy on się pojawi i weźmie ją za rękę i każe pójść za sobą na świat, pod tęczę jakieś, na obłokach jak bramy rozpostarte...

Przyjdzie z pewnością. Uwolni ją, małą, biedną Azę od błazna straszego, który żąda od niej rzeczy nieprawdopodobnie ohydnej; zabierze ją na łąki, na pola, które są pono gdzieś za murami miasta, i ona tam śpiewu skrzypiec jego słuchając, zapomni już o cyrku, o linie, na której trzeba tańczyć, aby nie bito, aby ludzie klaskali.

Uśmiechnęła się gorzko na to wspomnienie śmiesznych marzeń dziecięcych. Nie była przecież tak naiwną; wiedziała aż nadto dobrze, co znaczą wzroki podstarzałych panów z pierwszych rzędów krzesel, ślizgające się po jej trykotach opiętych na szczupłym, dziecięcym ciele, i jaki mają cel błazna nagabywania.

A jednak...

A jednak w tych chwilach marzeń ukrytych nabywany przedwcześnie, z dnia na dzień, cynizm życia gubił się gdzieś naprawdę, opadał, jak ta żółwia skorupa czy powłoka żabia, w której uwięziona była zaklęta królewna z bajki. I wychodziła wtedy ze siebie samej niejako taką, jak była jeszcze w istocie w głębi duszy: dzieckiem, patrzącym na świat zdumionymi oczyma i śniącym o rzeczy jasnej, cudownej...

I przyszedł. Przyszedł rzeczywiście dnia jednego, raczej jednego wieczoru. Znużona była nad wszelki wyraz. Kazano jej po linie pochyło wyciągniętej wbiegać na deskę, skąd miała skoczyć na trapez rozbujany, potem na drugi, na trzeci, wirować, tańczyć w powietrzu. Wzięła rozpęd za pierwszym razem i ześlizgnęła się w połowie z liny drucianej, padając na bok dotkliwie. Wśród widzów posłyszała kilka lekkich okrzyków przestrachu, które zaraz zagłuszyły syki niezadowolonych. Kierownik przedstawienia podszedł ku niej i sprawdziwszy, że cała, łypnął zlymi oczyma.

— Biegaj, psia...!

— Boję się — szepnęła w nagłym ataku trwogi.

— Biegaj — zasyczał groźnie przez zęby.

Cofnęła się posłuszna o parę kroków, drżąc na całym ciele. Poskoczyła — i nagle jakby ją siła niewidzialna osadziła na miejscu przed samym początkiem liny.

— Boję się — jęknęła prawie z płaczem — boję się.

W widowni zaczynano się niecierpliwić. Afisze zapowiadały na ten wieczór „widowisko niebywałe, jedyną, oryginalną królewnę powietrza, czarodziejkę latającą”, a tymczasem czarodziejka stała zalękła, nieporadna, z czerwonymi powiekami i z wargami dziecinnie do płaczu skurczonymi.

— To oszustwo! — wołano w dalszych rzędach. — Zwrócić pieniądze! Przerwać przedstawienie!

Tłum bezlitosny, żądający tylko zabawy za swój grosz, szydził z niej, miotał wyzwiska, wyśmiewał się, robił głośno nieprzyzwoite uwagi.

— Biegaj!

Usłyszała głos kierownika, wściekłością nabrzmiała, jakby przez sen. Cofnęła się jeszcze raz do rozpędu, zbierając wszystkie siły rozprężonej woli. W oczach jej pociemniało, w uszach szum miała nieznośny, drżały jej kolana — czuła, że spadnie, nim końca liny dobiegnie.

Podskoczyła, zrobiła kilka kroków z zamkniętymi oczyma i naraz uczuła, że ktoś ją chwytą za ramię właśnie w chwili, gdy stopą miała dotknąć drutów wyciągniętych.

Obejrzała się. Stał przy niej, dostawszy się snadź z widowni, człowiek jakiś wytwornie odziany, o czarnych falistych włosach, i powstrzymywał ją białą, miękką, a silną jak stal dłonią.

— Czekaj.

Nie miała nawet czasu dziwić się ani przerazić — ogarnęło ją tylko niewypowiedzianie słodkie uczucie, że jest pod czyjąś opieką. Dyrektor skoczył ku natrętowi błady z wściekłości, lecz nim usta otworzył, opiekun jej rzekł głosem spokojnym a rozkazującym:

— Proszę mi dać skrzypce jakiegokolwiek!

— Serato! Serato! — huczało już w całym amfiteatrze jak w ulu.

Serato! Gwałtownym ruchem zwróciła głowę, wpatrzyła się weń chciwie, zachłannie, serce jej niemal przestało bić.

Bajka, wysniona, złota baśń: przyszedł, weźmie, powiedzie...

Nie! Coś innego w niej zadrgało, coś, z czego w pierwszej chwili nawet sprawy sobie zdać nie umiała. Czuła palce jego mocne na odkrytym, dziecięcym ramieniu, żar ją objął jakiś pod przelotnym wzrokiem jego, co twarz jej musnął, w piersi się coś zatłukło. Miała ochotę lkać, zgubić się, unicestwić, zapagnęła, aby on ją zgniótł swymi rękami albo nogą stanął na piersi, i równocześnie uciekać chciała, uciekać...

Cisza nagle ogarnęła teatr. Usłyszała jakiś dźwięk niezemski, przedziwny, jakiś srebrny płacz. Zdumiała się prawie, skąd by pochodził.

Serato grał.

Nikt teraz już na nią nie zwracał uwagi. Przysiadła nieco na uboczu i patrzyła. Jakiś szum krwi w uszach kradł jej dźwięki muzyki; widziała tylko dłoń jego białą, wodzącą smyczek, opuszczone powieki, usta rozchylone nieco w wygolonej twarzy, wilgotne, krwawe. Dreszcz dziwny przebiegł ją od stóp do głów i po raz pierwszy w życiu to dziwne uczucie, że są na świecie pocałunki, uściski i że ona jest kobietą.

Przestała być dzieckiem w owym okamgnieniu.

Zakołowało jej w głowie; przez sekundę była tylko cała tym jednym, nieprzytomnym pragnieniem: czuć jego oczy, jego ręce, usta jego czuć na sobie.

Naraz zbudziła się w niej znowu świadomość. Spokojnie, prawie wyzywająco rozejrzała się dokoła. On — Serato — nie patrzył na nią. Zatopiony w przedziwnej improwizacji, zmieniwszy w narzędzie cudu jakiegoś z orkiestry podane skrzypce, zapomniał pewno o jej istnieniu i o tym odruchu litości, który go na cyrkową arenę dla jej wybawienia sprowadził.

Grał sobie samemu, a ludzie słuchali.

W amfiteatrze cisza była niepojęta. Aza przebiegła okiem szeregi siedzeń; wszędzie słuchacze na posągi zamienieni; jedni chłonący oczyma postać skrzypka królewską, inni z twarzą w dłoniach ukrytą i jeszcze inni patrzący w dal szklanymi źrenicami, z których duch odbiegł, aby się kołysać kędyś za muzyką na falach powietrza.

Nagle gniew ogarnął Ażę, że on się nad nią zlitował i teraz na nią nie zważa, i zazdrość, że uniósł widzów, którzy jej zwykle klaskali, i odruchowa małpia żalność. Nim mogła sama zastanowić się nad tym, co robi, właśnie w chwili, gdy struny skrzypiec ledwo uchem dosłyszane śpiewać poczynały jakiś święty, cichy sen, wydała przeraźliwy okrzyk cyrkowy i jednym rzutem wbiegła na naprężoną linę, i skoczyła prosto na trapez o kilkanaście metrów niżej zawieszony.

Postrzeżono jej skok szalony w amfiteatrze i zaczęto wołać, krzyżeć, klaskać, pokazywać ją sobie palcami. Nikt już muzyki Seraty nie słuchał — wszyscy na nią patrzyli, jak rzuca się, naprawdę do ptaka podobna, z drążka na drążek, z jednej liny na drugą.

Gorzkie, zaciekle uczucie tryumfu w piersi. Nigdy nie była tak szaloną, tak zuchwałą, wyuzdaną po prostu w tym tańcu powietrznym, gdzie jeden fałszywy krok, jedno chybienie na milimetr równowagi znaczyło śmierć... Gięła się i prężyła, dając drobne kształty swoje gawiedzi na pokaz z przedziwną bolesną rozkoszą, co nie wiadomo skąd nagle się w niej zbudziła, wyzywała spojżenia lubieżne, szczyrzyła zęby w bezczelnym uśmiechu do ludzi, odzierających ją z sukien oczyma.

Usiłowała nie spojrzeć na skrzypka — gniotła ją jednak bolesna ciekawość...

Nieznacznie, nieznacznie, tak, aby on nie widział. Ręce podnosząc, nachyliła głowę; szybki rzut oka pod ramię...

Stał obok porzuconych skrzypiec na arenie i uśmiechając się z zadowoleniem, bił jej oklaski wraz z innymi.

Zeskoczyła z podniebnej huśtawki i wbiegła pędem do garderoby, ukrywając straszne, szarpiące łkania, których długo nie mogła ukoić.

Wtedy po raz pierwszy i ostatni zarazem widziała Seratę. Jednak każdy rys jego twarzy, spojrzenie oczu, wyraz ust tak się wbiły w jej świadomość, że po upływie długich lat stawał on w jej oczach jak żywy i prześladował często jak zmora, której niepodobna odegnać.

Nie! Ona się nie mogła omylić! To jest naprawdę Serato, on sam — ten człowiek niepojęty, czarem jakimś wyczyszc młody, co teraz tutaj przychodzi z niezrozumiałą dla niej nauką, z nadludzki i przerażającymi ją siłami...

Nagły dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Chwila podobna do owej, którą przeżyła ongi przed dwudziestu laty, kiedy on dłoń na jej dziecinnym ramieniu położył, jeno ogień potężniejszą falą uderzył dziś na nią...

Zaplotła ręce na karku i wpatrzyła się z podniesioną głową przed siebie.

Myśli jej grały.

— Mocniejsza jestem niż wszystkie moce świata: niż mądrość, niż sztuka, niżli zemsta nawet! Mocniejsza będę niż świętość twoja...

Uczuła dziwnie rozkoszne łaskotanie krwi w piersiach naprzód podanych, mgła jej jakaś oczy na jeden moment przesłoniła, usta same rozwarły się nieco:

— Przyjdź! Przyjdź...!

## VIII

Siedzieli w milczeniu z głowami pochylonymi, słuchając ze skupioną uwagą wywodów jednego z „braci wiedzących”, który rozwijał właśnie wśród nich, w zgromadzeniu mędrców, teorię nową o początkach życia.

Niewielki, o dużej, płowej głowie i szarych oczach bystro patrzących, mówił na pozór sucho, jakby lekcję nauczoną wydawał, cyfry wymieniał, nazwiska uczonych, fakty i odkrycia — i zaledwie czasem twarz mu drgnęła nieznacznie, kiedy w krótkim, pionującym i niespodziewanym zdaniu jednym błyskiem myśli wiązał w całość i oświecał mozołem wieków zdobyte i aż dotąd sprzeczne jeszcze na pozór spostrzeżenia całych pokoleń badaczy.

I zdawało się słuchającym, że ten człowiek niepokąźny, ale myślą potężny, buduje przed ich oczyma piramidę przedziwną, o podstawie jak świat szerokiej, gdzie każdy głaz oddzielny, jakimś łukiem śmiałym i nadpowietrznym z innymi spojony, dźwiga niewzruszenie piętro nowe, coraz zwartsze<sup>118</sup>, śmiglejsze, coraz wyżej ku niebu wstępujące, aż ponad mającący już w myślach szczytowy cios, zwornik ostateczny, z którego wzrok jednym rzutem całokształt budowy obejmie. Wszystko, co dotąd sprawdzono, odkryto, wynaleziono, wysiłkiem rozumu zdobyto, czy stworzono, cegłą się stawało i granitem dla mędrca o szarych oczach; zdało się czasem, że jednym słowem, jak gdyby pewnym i sprawnym młota uderzeniem, łupie bezkształtny głaz doświadczenia, z którym dotąd rady sobie dać nie umiano, i wydobywa zeń jądro przedziwnie do budowy dopasowane.

Słuchacze, przyzwyczajeni wstępować pod chmury i świat w samotnych wieżach myśli swej z góry oglądać, wznosili się z mową bez zawrotu głowy na te wyżyny, gdzie ich wiódł pewnie i śmiało.

Zakończył długi wykład, oczy mu szare zapłonęły, słowa z ust popłynęły żywiej. Rzucił ręką naokoło, jakby ze szczytu wskazywał ściany piramidy swojej, skąd stopiły się już dla swobodnego oka poszczególne cegły i kamienie w całość jedną, doskonałą, nienaruszoną i tak prostą przedziwnie.

— Przeszliśmy — kończył — labirynt dziwu od plazmy najprostszej, pod nieorganicznym pozorem chcącej się jeszcze zataić, od zarodka, i pierwiej: od wszczęcia się tego zarodka, nim pierwszy jego podział ku zbudowaniu nowej istoty nastąpił, aż do przemian w mózgu, dumnej myśli ludzkiej towarzyszących; widzieliśmy wszystko i wiemy, że da się to jedno z drugiego wywiązać i wywieść, jak wzór matematyczny ścisły, błędowi niepodlegający, pewny, nieuchronnie do jednego prowadzący wyniku. Ten wzór oto, jakby

<sup>118</sup>zwartszy — dziś: bardziej zwarty. [przypis edytorski]

tajemnicze słowo zaklęcia z dawien przeczowane, a nieodkryte, ja określiłem, krzesząc i zestawiając materiał doświadczenia przez dziesiątki wieków nagromadzony.

Widzieliśmy tedy życie we wszystkim jego mechanizmie od najprostszego do najskomplikowańszych<sup>119</sup> i wiemy już, że wedle jednej wszędzie odgrywa się zasady, bez wyjątków, przeskoków, bez dowolności, którymi się ludzi oko ludzkie, nie dość jeszcze głęboko patrzące. Dowiedzieliśmy się także niewątpliwie, że nie celem istnienia jest życie, nie wynikiem jakiegoś rozwoju, niedającego się owszem beżeń pomyśleć, lecz jego początkiem, alfą i omegą, bytu całokształtem i jedynym walorem. Niegdyś, przed długimi wiekami, szukano uporczywie i mozolnie, jak by z nieograniczonego bytowania wyrozumieć powstanie organizmu — dzisiaj wiemy nie tylko, że jest w tym zasadnicza i pierwotna konieczność, lecz nadto, wedle jakiej zasady to się dzieje; tu i tam jedna władza niewzruszona matematyczna formuła.

Urwał na chwilę i obróciwszy się, wskazał ręką szereg znaków zapisanych na czarnej tablicy.

— Oto jest zagadka istnienia — podjął znów z gorzką ironią w głosie — rozwiązana, do banalnej nagości cyfr sprowadzona. Jesteśmy dziś czarodziejami naprawdę i moglibyśmy wedle niej stwarzać nowy świat, nowy byt, rzeczywistość nową i dowolną, gdybyśmy tylko... Ach, tak! Taka drobnostka stoi na przeszkodzie zniszczeniu tej mocy odnalezionego zaklęcia. Widzicie, panowie, że zrównanie, które tu napisałem, ma w pewnej zasadniczej części swojej postać matematycznej całki i jak każda całka wymaga uzupełnienia przez pewną ilość stałą, owo C matematyków, tworzywo fizyków, odwieczna *vis vitalis* biologów, słowem: to coś, o którym się nie wie w tym wypadku, czym jest właściwie, i wiedzieć się już nie będzie, bo to z formuły zgoła nie wynika.

Pochylił głowę i ręce rozłożył ruchem bezradnym.

Jacek ze skronią na dłoni opartą słuchał, milcząc jak inni. Słowa ostateczne uczonego towarzysza nie były dlań niespodzianką: wiedział już w chwili, gdy zoczył owo równanie magiczne na tablicy wypisane, że mądrość ludzka, w najwewnętrzniejszej<sup>120</sup> tajnie istnienia się wdzierając, uderzyła tu znowu o mur niewidoczny, a wyczuwalny, stanęła znowu twarzą w twarz wobec jednej i tej samej, wiecznie się powtarzającej zagadki, wobec tego Nic, które zarazem jest wszystkim.

„A Słowo stało się ciałem” — zadźwięczało mu w uszach przypomnieniem. Mimo woli wzniosł oczy na wyniosłą postać lorda Tedwena, z przydzielonego miejsca wszystkim widną.

Starzec siedział prosto, z rękoma na pulpicie złożonymi, z oczyma patrzącymi nieruchomo przed siebie spod zaczerwienionych powiek. Za ledwie lekkie drgnięcie w łuk zaciśniętych ust świadczyło o życiu zastygłej, surowej twarzy. Jacek sądził, że sir Robert odezwie się teraz, gdy mówca uczony zakończył swój wykład — i czekał niecierpliwie jego słów, ciekaw, jak będzie rozwijał wobec grona najmądrzych na Ziemi słuchaczy konieczność dogmatu, jako uzupełnienie wiedzy, niczym bez niego będącej.

Lord Tedwen jednak milczał i milczeli wszyscy dookoła. Jacek po kolei przebiegał oczyma zgromadzonych, patrzył na starców, chylących czoła myślą poorane, na mężów w sile wieku, z dziwnym, zaświatowym smutkiem w wytężonych oczach, na ludzi, co z lat młodzińskich wyszli dopiero, a od brzemienia wiedzy barki już mieli przygięte: szukał ust, które by się głosem rozwarły, żądał słowa, objawienia...

Głuche milczenie mówiło aż nadto wyraźnie: „nie wiemy”. W tej chwili, kiedy zagadkę fizykalną bytu, rozwoju i życia ujęto w matematyczny, jasny wzór, kiedy dotarto nareszcie po długich i mozolnych kołataninach do ostatecznego zrozumienia mechanizmu świata, w tej wyrocznej chwili to straszne słowo: „nie wiemy!” patrzyło z zadumanych oczu mędrców, kładło się pieczęcią na ich ustach zaciśniętych, mgłą powlekało wysokie, brudami pokryte czoła.

Natarczywym, o słowo krzyczącym wzrokiem wparł się Jacek w chłodne oczy lorda Tedwena.

<sup>119</sup>najskomplikowańszy — dziś popr. forma: najbardziej skomplikowany. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>najwewnętrzniejszy — dziś popr. forma: najbardziej wewnętrzny. [przypis edytorski]

„Mów! — błagał go tym spojrzeniem, nalegał, rozkazywał — mów, mów, wybaw nas od tej nicości, w którą się grążymy z myśli naszej jasnymi słońcami, wybaw nas, jeśliś sam jest wybawiony...!”

Starzec zrozumiał.

Poruszył głowę z wolna, patrząc w krąg, czyli nikt głosu nie żąda<sup>121</sup>, a kiedy pod jego wzrokiem wszyscy czoła jeno schylali, wzruszając bezradnie ramionami, on podniósł białą dłoń...

Powstał z siedzenia wysoki, poważny, dostojny, dźwigający niemal całe stulecie na barkach rozłożystych. Przez chwilę stał tak w milczeniu, jak gdyby się wahał.

— Tu wiedza się kończy — rzekł wreszcie — zdobyliśmy wszystko, co można było zdobyć, usłyszeliśmy wszystko, co znieść było można ludzkim rozumem. Powiedziałem wam ja, com w latach dobył samotnych, pracy mojej myślowej snadź już ostatnich; mówili po mnie inni, mędrzy doskonali, światło ziemi, przyjaciele moi albo uczniowie, gdyż mistrza między wami już nie mam, będąc najstarszym. Dotarliśmy do jądra wszechrzeczy i może powinien bym powstać w tej chwili i rozwiązać to zjednoczenie badaczy, bo dalej już iść nie można, znieść nasz zakon wiedzących, gdyż wiedzieć już więcej nic nie będziemy. Krążymy teraz błędnym ruchem, jak ryby dokoła szklanej kuli nie do przebiccia. Słońce daleko za nami, chłód nas ogarnia. Mieliśmy odwagę dotrzeć aż dotąd, miejmy też odwagę przyznać: tutaj wiedza się kończy.

— Nieprawda!

Jacek drgnął na ten głos. Zapomniał prawie, że za zezwoleniem lorda wziął był ze sobą jako gościa Nyanatilokę na doroczne zgromadzenie mędrców. Ze zdumieniem też spojrzął na niego i z lękiem prawie, słysząc, jak niespodziewanie twardym słowem odpowiada starcowi.

Sir Robert zamilkł na jeden moment; jak szybka fala po morzu, zmarszczka przebiegła mu po czole, ale w tejże chwili uśmiechnął się jeno z wyniosłą pobłażliwością...

— Gość nasz — rzekł — nie rozumiejąc dobrze słów moich, przeczy tej oczywistej prawdzie i niestety, już ostatecznej, że doszliśmy do kresu ludzkiej wiedzy i dalej kroku zrobić nie zdołamy żadnego. Gość nasz, mądrością Wschodu czcigodną karmiony, nie dość ściśle snadź<sup>122</sup> określa sobie różnicę między wiedzą a wiarą, czyli uznawaniem za pewne rzeczy rozumem nieudowodnionych... Zarówno wiedzy, jak wiary przedmiotem jest prawda, ale prawdy te są z pochodzenia i z rodzaju swego różne i mieszać ich nie można. Jesteśmy u kresu wiedzy, powtarzam: tam dalej już tylko dla wiary jest miejsce.

Zgromadzeni kiwać poczęli poważnie głowami, słuszność przyznając słowom swego arcymistrza. Jacek, pojrząwszy w krąg, zobaczył twarze zadumane z półuśmiechem rezygnacji na ustach, i inne, bolesną ironią mimo woli skrzywione, i jeszcze inne, smutne już tylko... Znał tych wszystkich ludzi, na świecie najmędrszych, i wiedział, co który myśli. Mógł wskazać palcem tych, co się trzymali wiary całym wysiłkiem: nielicznych katolików Kościołowi posłusznych i pełniących wszelkie jego przykazania (jako że katolicyzm był religią jedyną, która się ostała wśród powodzi wieków) i tych znowu, co tworzyli sobie sami i tylko dla siebie systematy religijne, mniej lub więcej mgliste i mistyczne, wypełniając sobie nimi tę przestrzeń pustą a nieprzebytą, o którą wiedza, uderzając, rozbijała się, jak morze o brzeg arktycznego lądu. Większość wśród nich stanowili panteiści o najwyższym ducha polocie, co od matematycznych wzorów swej wiedzy odrywali oczy, aby objąć miłosnym spojrzeniem świat, w którym — wedle ich wierzenia — objawiała się najświętsza *amor Dei intellectualis*; nie brakło jednak także chłodnych racjonalistycznych deistów, teozofów różnego pokroju i mistyków wszelkich odcieni, aż do ludzi, którzy mimo wielkiej nauki i wiedzy przerażającej ogromem zabobonów się różnych trzymali, śmiesznych nieraz i dziecinnych.

„*Horror vacui*<sup>123</sup>” — pomyślał Jacek, patrząc na tych ludzi, co za wszelką cenę szukali pozytywnej treści metafizycznej życia i świata, chociażby nawet trudno ją było pogodzić z tym, co im mówiła myśl ich badawcza a strudzona.

Przez jedną chwilę zazdrość go ogarnęła, gdy porównał w myśli ich wiarę, nawet najkruchszą, z tym stanem, w jakim on się znajdował i jemu podobni — ci, ze smutkiem

<sup>121</sup>czyli (...) nie żąda — konstrukcja z partykułą -li (wzmacniająca); dziś: czy nie żąda. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*horror vacui* (łac.) — lęk przed pustką. [przypis edytorski]



największym słuchający słów Roberta Tedwena. Uczucie nicości, pustki najstraszniejszej, przerażającej i to przekonanie najgłębsze, że jeśli się ma żyć, to tę pustkę trzeba czymś wypełnić — a równocześnie jakaś niemoc, niedołęstwo samozachowawczego zmysłu, brak jakiś czy zbytek, niepozwalający uwierzyć — w cokolwiek, byle uwierzyć.

Z tej to gromady boleściwej wyszło i tych kilku sceptyków zapamiętałych, siedzących przed nim z śmiertelnie rozpaczliwymi oczyma a pogardliwym na białych ustach uśmiechem. Podobni do szaleńców ranę własną coraz więcej rozdzierających, zawzięcie sondowali bystrymi rozumami istnienie i osłupiałymi twarzami patrzyli w nicość, przyznać się już nawet nie chcąc, że i oni radzi by w głębi duszy ujrzyć cokolwiek innego — choćby marną uludę, którą by zaraz w następnej godzinie rozbili, tak są bowiem widokiem wiecznym kryształowej pustki na śmierć zmęczeni i przerażeni na śmierć.

Jacek zakrył twarz obiema dłońmi i w zadumie pogrążony nie uważał przez chwilę, co się wokoło niego dzieje. Dopiero gdy go silniejszy głos Nyanatiloki znowu uderzył, podniósł głowę i z myśli swych zaledwie ocknięty słuchać jął.

Buddysta stał na wzniesieniu, przez lorda Tedwena snadź na mównicę wezwany, włos spadający na czoło ruchem głowy odrzucił w tył i wznosił ramię sńiade.

— Bo nie wiare ja wam niosę — mówił kończąc zdanie zaczęte — nie jeszcze jedno nowe wierzenie do tysiąca już istniejących, które by wzmogło tylko zamieszanie, lecz wiedzę. Z całą świadomością i odwagą powtarzam wobec was, o najmędrsi: jest wiedza jeszcze poza tym kresem, który wyście oto wskazali, wiedza prawdziwa, radosna, dająca moc...

Poruszano głowami w niedowierzaniu, słuchając słów raczej z pobłażliwą łaskawością niżli z istotnym zaciekawieniem. Jacek zrozumiał, że Nyanatiloce udzielono głosu i mówić pozwolono wyłącznie dlatego, że jest on jego przyjacielem. Myśl ta ubodła go nieznośnie, jakby zniewaga wyrządzona dziwnemu pustelnikowi. Nagła odraza go zdjęła do tego zgromadzenia mędrców, którzy słuchaliby przybysza niewątpliwie, gdyby wystąpił był przed nimi jako cudotwórca i nowe objawienie im obiecywał, lecz nie wierzą ani przypuścić nawet nie chcą, w niezadowolającą ich mądrość własną mimo wszystko zaufani, by ktoś w dziedzinie wiedzy mógł innymi niż oni pójść drogami i dalej zająć niż oni.

Powstał odruchowo i chciał przyjaciela pociągnąć za sobą do domu, ale Nyanatiloka, ruch jego spostrzegłszy, dał mu ręką znak, aby się jeszcze zatrzymał. Po czym nie zważając na uśmiechy i oznaki zniecierpliwienia u słuchaczy, obrócił się ku czarnej tablicy, na której mówca poprzedni swój matematyczny wzór życia był napisał, i wskazując dłonią na człon jego nieznaną, a stały, rzekł swobodnie, jakby lekkiej rzeczy jakiejś dotykał, a nie najgłębszych tajemnic istnienia:

— Czy nie sądzicie, że stąd należałoby zacząć, zamiast stawać tutaj bezradnie? Chcę wam mówić właśnie o tej stałej, a niepojętej ilości w równaniu bytu, która jest zarazem jego tworzywem i regulatorem. Wy wszyscy wiecie, że to jest duch... Źle mówię! Wy raczej wszyscy wierzycie w to mniej lub więcej silnie: i to właśnie nie wystarcza, że tylko wierzycie. Patrząc na was, o najmędrsi, i widzę smutek na waszych czołach, w oczach rozterkę, tęsknotę za rzeczą niewyrażalną w bolesnym rozchyleniu waszych ust. Nie zadowala was wasza wiedza, choć wielka, i wiara nie uspokaja najmocniejsza, gdyż nazbyt mądrzy jesteście, aby w rozdrobieniu bytu kres zobaczyć ostateczny, a zaś zbyt przyzwyczajeni krajać ostrzem myśli wszystko dane, aby się wierze poddać bez zastrzeżeń i nie mieć żadnej chwili wątpliwości. Na rozdrożu stoicie; darujcie, że wam to mówię, lecz i ja szedłem niegdys tą waszą drogą i sądziłem jak wy, że jest jedyna.

Urwał i zwrócił się twarzą ku sędziwemu przewodniczącemu zgromadzenia.

— Czy mnie nie poznajesz, mistrzu? — rzekł. — Kiedyś począł nauczać, byłem przed czterdziestu laty jednym z pierwszych uczniów<sup>124</sup> twoich, nim odszedłem od badań, aby szukać harmonii naprzód w sztuce, w życiu, wreszcie w wiedzy najgłębszej, niedociekającej, lecz twórczej, daleko stąd na Wschodzie.

Lord Tedwen oczy dłonią osłonił, zdumienie najwyższe na twarzy mu się odbiło.

— To ty? To ty? — wyszeptał.

<sup>124</sup>uczni — dziś popr. forma: uczniów. [przypis edytorski]

— Tak. Ja to jestem, nauczycielu, ja, Serato, jedyny, któregoś na próżno przy sobie zatrzymywał, choć wielką łaską to było, jeśliś kogo za ucznia raczył przyjąć. Stoję przed tobą po latach czterdziestu i widzisz, że nawet starszy nie jestem niż wówczas, gdy od ciebie odchodził, skrzypce w ręce ująwszy, i tobie dziękował, żeś chciał dla mnie dobrze, a wskazał drogę mimowolnie, którą iść... nie należy, przynajmniej dopóki się nie ma wiedzy innej, z głębi ducha dobytej i pozwalającej z uśmiechem patrzeć na wszelką nicłość doczesnego istnienia. To, ku czemu wy dążycie na próżno w rozpacznej<sup>125</sup> tęsknocie, początkiem być winno. Patrzcie na mnie! Wy odkryliście formułę życia niewątpliwą, ujęliście ją w znaki algebraiczne, na czarnej tablicy wypisali: i stoicie przed nią bezradni! Ja, nie znając jej, życie swe nawet materialne trzymam w ręku i nie pozwalam mu zamierać, i nie używam po temu innego środka, jak tylko swojej wiedzy i woli!

Niepokój ogarnął słuchaczy. Obojętni aż do tej chwili, powstawali teraz z miejsc, podając sobie nawzajem znane wszystkim dawne imię dziwnego człowieka, który w ten sposób do nich przemawiał. Niektórzy cisnęli się bliżej, inni z niedowierzaniem kręcili głowami, żywo rozprawiając. Jeden sir Robert po chwili pierwszego zdumienia spokój odzyskał zupełny. Patrzył w milczeniu na Nyanatilokę, a gdy ten przestał mówić, ozwał się powoli i dobitnie:

— Jeśliś ty jest Serato naprawdę, dokonałeś rzeczywiście cudu dziwnego, jednakże działać w duchu, a wiedzieć, to nie jest jedno. Zwierzę każde płodzi życie, nie mając jasnej świadomości własnego istnienia. Wszelka wiedza jest zawsze i tylko badaniem.

— A czemu nie ma być tworzeniem? — odparł Nyanatiloka. — Darujcie, mędracy, że śmiem wam powiedzieć: zapominacie w tej chwili, iż badanie i dla was jest tylko środkiem wiodącym do pożądanego celu, jakim jest najzupełniejsze uświadomienie bytu. To jest wiedza właśnie, to jest prawda niczym innym, jak samym bytem świadomym będąca. A jeśli wszechświat cały, z życiem swym i wszystkimi siłami, samookreślającym się duchem został stworzony, czemuż i prawd nie tworzyć tą drogą, tych najistotniejszych? Czemuż nie rozświecać tajemnicy wprost w duchu, gdy ona tam cała i bez reszty się mieści? Wszakże i wy znacie wyraz „intuicja”, i wiecie, że jest ona zawsze na początku i każdemu badaniu drogę musi wytykać. Dlaczego miast ją zabijać po pierwszym drgnieniu, wiodąc dalej rachuby, nie dać się jej wprzód w bujny kwiat rozwinąć? Jeśli wola usunie zewnętrzne przeszkody i doprowadzi ducha do odpowiedniej doskonałości, to znaczy wolności, da nam intuicja wiedzę na szczegóły nierozproszoną a najprawdziwszą, bo w ten sam sposób powstała, jak byt, i bezpośrednim świadomym jego równoznacznikiem będąca.

Wzniósł obie ręce i wyciągnął je z góry ponad głowami mędrców. Jacek nie widział go jeszcze nigdy takim, choć wielokroć słuchał jego nauki. Oczy mu płonęły słonecznie, jasność biła od całej przedziwnie młodzieńczej jego postaci.

— Bracia — wołał w uniesieniu — przyjmijcie mnie jako posła od duchów waszych własnych, który wam dobrą przynoszę nowinę. Przyszedłem wam mówić o tym wszystkim, co w świadomości waszej śpi, nie umiejąc się inaczej dostać na zewnątrz, jak w kruchym wierzeniu: o wiecznym bóstwa królowaniu, o dusz nieśmiertelności, o wiedzy nieprzemijającej, o tym, co wartość nadaje życiu jedyną!

Śmiech nagły zabrzmiał około drzwi. Jacek zwrócił głowę pośpiesznie, patrząc, kto by się wedrzeć ośmielił do przybytku mędrców i zakłócać jego powagę. Uniósłszy się nieco w siedzeniu, dojrzał ponad ramiona towarzyszy łysą czaszkę Grabca. Ktoś go tam przy drzwiach, zdobnych odwiecznym egipskim znakiem ziemi skrzydlatej, zatrzymywał czy pytał, jakim prawem tu wchodzi, lecz on, nie odpowiadając, usunął jeno<sup>126</sup> ruchem dłoni odzwiernego i szedł prosto ku krzesłu prezydenta.

Brwi lorda Tedwena zbiegły się razem; z surową wyniosłością spojrzął na przybysza.

— Sir Robercie! — zakrzyknął Grabiec, śmiało wzrok jego wytrzymując — sir Robercie, niegdyś władco i panie, zaprzestań słuchać śmiesznych bajął wschodniego oamiciela, bo doprawdy, że nie czas dzisiaj wyrzekać się wam czegokolwiek ani szukać za światem szczęśliwości, gdy ona jest blisko...

— Ktoś jest? — zapytał lord Tedwen krótko.

<sup>125</sup>rozpaczny — dziś popr.: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Ja jestem moc! Nie boże królestwo na mgłach wam przynoszę, nie o nieśmiertelności dusz ja wam chcę prawić, ale wam daję królestwo wasze własne: nieśmiertelność rasy wielkich utwierdzam! Z drogi niechaj mi zejść ci, co życiu chcą przeczyc.

Pojrzał wyzywająco na Nyanatilokę, nie mając go za nic innego, jak za ascetycznego pustelnika ze Wschodu, jakich ostatecznie w różnych czasach dość się po Europie włóczyło... Zdawało się, że czeka przede wszystkim na jakieś słowo z jego strony, aby go przed oczyma mędrców pognać, ale Nyanatiloka nie objawiał wcale ochoty wdawania się w rozprawę. Uśmiechnął się tylko tajemniczo i ustąpił z mównicy, zajmując dawne miejsce swe obok Jacka.

Więc Grabiec, na szemrania między zgromadzonymi wcale nie zważając, wstąpił sam żywym i śmiałym krokiem na podniesienie i zwrócił się twarzą wprost do mędrców siedzących w szerokich stallach.

— Nie proszę was nawet — zaczął — o głos, nie przepraszam, że samowolnie się tutaj wdarłem. Niektórzy z zebranych znają mnie dobrze i wiedzą, że to, czego pragnę, aż nazbyt mnie usprawiedliwia... Na zgromadzenie mędrców przyszedłem, bo nie dość mi mówić z tym lub owym, nie dość tego lub owego pozyskać: chcę się zwrócić do was wszystkich, wszystkich mieć za sobą!

— Mów pan do rzeczy i krótko — ozwał się przewodniczący, któremu ktoś szepnął tymczasem imię Grabca — nie mamy czasu do zbytku.

Grabiec skłonił lekko głowę ku starcowi i jął wyhuszczać rzeczowo plan, z którym przyszedł do stowarzyszenia braci wiedzących. Głos jego miarowy, siłą woli powstrzymany, płynął równo, ale znać było, że kipi pod nim niepokój najwyższy, niepokój człowieka drżącego o los swojego dzieła, któremu życie poświęcił. W chwilach kiedy przestawał mówić, aby powietrza w piersi zaczerpnąć, rozglądał się po sali ogromnej, śledząc okiem, jakie wrażenie słowa jego sprawiają, lecz ze spokojnych twarzy słuchaczy nie mógł wyczytać niczego.

— Powiedziałem wam wszystko — zakończył wreszcie. — Wiecie już teraz, czego chcę: dajcież mi odpowiedź. Od was zależy zostać panami świata albo zginąć w zawierusze, która lada dzień się rozpęta, a może być jeno wichrem lecącym przed wschodzącym rydwanem waszej mocy.

Cisza zaległa po tych słowach. Wszystkie oczy zwróciły się powoli na twarz lorda Tedwena, który siedział milczący, z przymkniętymi powiekami i z lekkim uśmiechem na starczych pomarszczonych licach. Usta mu jeno czasem drgały nerwowo i dłoń na pulpicie wsparta kurczyła się mimowiednie... Zdało się, że w myśli przeżywa jeszcze raz swoje dzieje, że przypomina sobie cierniową drogę od szczytów władzy, dobrowolnie rzuconej, aż do stóp krzyża, skrytego zazdrośnie gdzieś w sercu — tak głęboko, aby go ostrze jego własnej myśli nawet naruszyć nie mogło...

Tymczasem niecierpliwi wśród zebranych, a zwłaszcza ci, co dawniej już porozumieli się z Grabcem i myśl jego za dobrą uznali, poczęli naprzód z rzadka, potem coraz śmieiej na prezydenta nalegać, aby dał odpowiedź...

Lord Tedwen powstał. Błady był teraz; przelotny rumieniec znikł z lic jego pergaminowych — spod brwi namaszczonej szeroko rozwartymi, stalowymi oczyma pojrzał po zgromadzonych.

— Czego chcecie?

— Czynu! — zakrzyknął Grabiec.

— Czynu! Czynu! — zakrzyknięto chórem. — Jeden czyn nas może jeszcze zbawić! Wyrwać z zakłętą koła naszej wiedzy! Uwolnić od ciężaru naszej mądrości!

— Czyn jeden jest tylko: w głębi ducha!

Nie słuchano go już nawet. Otoczono wieńcem Grabca, dopytywano o szczegóły przygotowanej walki, rozwijano różne pomysły... Kilku tylko najstarszych i kilku najsmutniejszych sceptyków trzymało się na uboczu od tego zamieszania i rozgwaru.

Jack mimo woli pojrzał na Nyanatilokę. Siedział on spokojnie, ze złożonymi na pierśiach rękoma, patrząc wytężonym okiem przed siebie...

— Mów! Odezwij się!

Nyanatiloka wzruszył ramionami.

— Nie pora. Z miłości jeno ku tobie dziś się tu odzywałem; teraz już nawet głosu mojego by nie usłyszano...

Rzeczywiście hałas wzrastał. Dały się już słyszeć głosy nieprzyjazne, wprost przeciw Tedwenowi zwrócone; domagano się odeń natarczywie, aby zdanie swoje wypowiedział.

Sir Robert stał jakiś czas nieporuszony. Dopiero gdy gwar zmieszanych głosów przycichł na chwilę, on powiódł spokojnym okiem wokoło, jak gdyby przeliczając tych, co nie brali udziału w powszechnym zamieszaniu. Niewielu ich znalazł i uśmiechnął się gorzko.

— Czego chcecie ode mnie? — powtórzył.

Grabiec zwrócił się doń.

— Lordzie — rzekł — słyszałeś, com mówił, i widzisz, że wszyscy niemal odpowiadają chętnie memu wezwaniu...

— Nie szedłem nigdy za większością...

— Za sobą samym idź, lordzie! Byłeś niegdyś władcą, od wieków najpotężniejszym: zechciej nim stać się jeszcze i teraz...

Lord Tedwen wyprostował się dumnie.

— Gdybym był chciał, nie byłbym schodził stamtąd, gdzie byłem. Rzuciłem męty i wiry rzeczypospolitej, gdyż nazbyt była pospolita; nie czas mi teraz wpływać na nie na powrót!

— Właśnie o to chodzi — rzucił Grabiec popędliwie — aby od pospolitości zbawić świat...

Starzec zaśmiał się.

— Złudzenia! Jam to właśnie chciał uczynić i zbawić przynajmniej najlepszych, zawiązując przed półwiekiem to bractwo; w arce z drzewa cedrowego zbawić chciałem myślicy od powszechnego potopu, a widzę, że sami statek rąbiecie...

— Wzniesiemy go na szczyt góry Ararat, skąd światu będzie rozkazywać!

— Pójdziecie na dno!

— To słowo twoje ostatnie, lordzie?

— Tak.

Grabiec zwrócił się do rozproszonych po sali mędrców.

— Kto z was jest ze mną?

Ogromna większość poczęła się kupić około niego; przy lordzie Tedwenie pozostało kilku zaledwie...

Jacek chciał wystąpić, lecz poczuł, że chwyta go i na miejscu z dala od obu obozów zatrzymuje silna ręka Nyanatiloki.

— Słuchaj, patrz i zrozum!

Wyzywającą, dumną twarzą pojrzał Grabiec na starca.

— Widzisz?

— Widzę — odparł lord Tedwen i wzięwszy oburącz księgę złotą, w której zapisane były imiona wszystkich członków braci wiedzących, rozdarł ją przed oczyma zgromadzonych.

## IX

„Jeżeli nie pokonałem tamtego, to jednak tego zgniotę z pewnością! — myślał Roda, skradając się jak kot ku zamkniętym drzwiom wiodącym z gabinetu Jacka do jego pracowni”.

Trwoga go przejmowała w ciemności za każdym szelestem urojonym, choć wiedział, że na razie przynajmniej jest zupełnie bezpieczny. Pierwsza część zuchwałego planu udała mu się wyśmienicie. W chwili kiedy Jacek z nieznośnym gościem swym o czarnych i przerażających oczach wybierał się na zjazd mędrców doroczny, Roda, korzystając z jego nieuważności i z nikłej swej postawy, zdołał się ukryć pod fotelem i tak w gabinecie pozostać. Słyszał zgrzyt zasuwanych pociśnięciem guzika metalowych okiennic i w nocy, która po tym nastąpiła, trzask drzwi zamykanych.

Był sam. Nie wychodził jednak z kryjówki przez kilka godzin, obawiając się, że Jacek, na odjeźdźnym przypadkowo nieobecność jego zauważywszy, może jeszcze powrócić i tutaj go szukać. Siedział skulony w najniewygodniejszy sposób, dusząc się prawie, w cieniu zupełnym, bez możliwości liczenia upływającego czasu.

Wreszcie, kiedy mu się zdawało, że Jacek powinien już być na swym samolocie za dziesiątą granicą, gdyby w Europie jeszcze granice istniały, wyszedł powoli i ostrożnie

i członki rozprostował zeszywniałe. Jakiś kawałek papieru, ręką wyciągniętą strącony, spadł ze stołu na podłogę. Roda zwinął się momentalnie w kłębek jak zwierzę czujący niebezpieczeństwo i długa godzina minęła, zanim zdał sobie sprawę, że przecież nic mu zagrażać nie może. Drzwi oddzielające gabinet od reszty mieszkania głosu nie przepuszczały, a otworzyć ich nie mógł nikt, dopóki Jacek nie wróci. Miał dwa lub trzy dni swobodnego czasu przed sobą.

„To się tedy udało — myślał — ale to dopiero trzecia część zadania i najłatwiejsza. Należało teraz dostać się do pracowni, zabrać straszliwy aparat, a potem czekać cierpliwie powrotu Jacka i wymknąć się z łupem niepostrzeżenie, kiedy drzwi otworzy”.

Wiedział, gdzie Jacek klucze od przejścia chował, i podpatrzył tajemny znak, za pomocą którego jedynie drzwi można było otworzyć. Zaczął szukać rękoma w ciemności około siebie. Długie siedzenie pod fotelem, na środku pokoju stojącym, miało ten skutek, że wyszedłszy stracił najzupełniej orientację. Poruszał się z wolna i ostrożnie. Dobrze znane meble, które przypadkiem spotykał, wydały mu się dziwne i o kształtach niespodziewanych, tak że zamiast połapać się wedle nich, w którym miejscu się znajduje i w jakim kierunku ma szukać drzwi upragnionych, gubił się jeno<sup>127</sup> do reszty, nie mogąc już zgoła określić swego położenia. Miał wrażenie, że przeniesiono go w ciemności do jakiegoś obcego i tajemniczego gmachu...

Wybawiło go biurko, o które naraz uderzył głową. Obszedł je dokoła i znalazł krzesło, na którym zwykle Jacek siadywał. W jednej chwili rozwickła się wszystko w jego świadomości. Mógł teraz nacisnąć guzik na biurku się znajdujący i światło sobie zapalić, ale nie zrobił tego przez zbytek ostrożności czy też nierozumne przy całym zuchwalstwie tchórzostwo, boć wiedział dobrze, że przy zamkniętych drzwiach i okiennicach żaden blask nie dostałby się na zewnątrz.

Zresztą nie odczuwał już potrzeby światła, odkąd zdobył pewny punkt orientacyjny. Tyle razy myślał o tym, jak się tutaj sam po ciemku znajdzie, i wbijał sobie w pamięć wszystkie szczegóły urządzenia, że mógł się teraz śmiało poruszać.

W parę chwil miał już klucze, z tajemnej a z dawna wypatrzonej skrytki dobyte, i zaczął pracować około drzwi do właściwej pracowni uczonego wiodących. I to poszło nadszpiegowanie łatwo. Zamek odskoczył bez szelestu i Roda miał przed sobą wąską szycę korytarza, na którego końcu przez szyby w długich oszklonych drzwiach majaczył słaby, siny obrzask wieczyste płonące światła elektromagnetycznego.

Ta nieoczekiwana jasność ucieszyła Rodę nad wszelki wyraz. Obawiał się, że i w pracowni przyjdzie mu ruszać się po ciemku, co mogłoby cały zamysł jego zniweczyć, gdyż nie znał jej tak dobrze, jak gabinetu, w którym często u Jacka przesiadywał. Śmiało tedy pomknął naprzód. Szklane drzwi były znowu zamknięte, i to sprawiło mu trudność nieprzewidzianą, bo klucza od nich nie miał.

Mógł wprawdzie łatwo wygnieść szybę i tak powstałym otworem dostać się do wnętrza, ale nie chciał tego zrobić, aby się nie narażać na dodatkowe niebezpieczeństwo przez pozostawienie niepotrzebnego śladu po sobie. Jeśli plan jego miał się udać w zupełności, nie powinien był nikt poznać, że on tu w ogóle przebywał.

Powrócił do gabinetu i jął po omacku szukać klucza, drżąc na samą myśl, że Jacek mógł go zabrać ze sobą i zniweczyć w ten prosty sposób jego plan tak świetnie rozpoczęty. Na próżno jednak myszkował po wszystkich znanych sobie skrytkach. Klucza nie było, albo przynajmniej nie było go w miejscu dlań dostępnym.

Zmęczony, a przy tym już zgłodniały, powlókł się znowu ku drzwiom, straciwszy prawie nadzieję, aby mu się udało je otworzyć. Mechanicznie, myśląc o czym innym, oglądał zamek przy słabym, zza szyb bijącym obrzasku, który jednak wystarczał w zupełności jego oczom bystrym, a nadto do ciemności już nawykłym. Przez głowę przebiegały mu straszne przypuszczenia, że na przykład w tej chwili może Jacek nadszpiegowanie wcześniej powrócić i otworzywszy drzwi, zastać go w tym podejrzanym miejscu. Niepokoiło go to tym więcej, że nie wiedział zgoła, ile czasu upłynęło od chwili, gdy go tu zamknięto. Miał wprawdzie na taki wypadek przygotowaną wymówkę, że przypadkowo dostał się w pułapkę, zdrzemnąwszy gdzieś w kącie w fotelu, i zagrożony śmiercią głodową (mógł

<sup>127</sup> jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

bowiem nie wiedzieć, kiedy Jacek wróci), szuka teraz wszelkich możliwych przejść, aby się wydostać, ale sam nie bardzo ufał skuteczności tego środka obrony.

Naraz wydał lekki okrzyk radosny. Rzucił okiem przypadkowo w wąską szparę między zamkiem drzwi a wgłębieniem w uszaku i zauważył, że nie wypełnia jej zasuwa. Wziął nóż i ostrożnie wraził jego ostrze w szparę. Nóż przeszedł bez oporu — widocznie drzwi nie były wcale na klucz zamknięte.

Roda chwycił całą mocą za klamkę — drzwi nie poruszyły się. Był snadź<sup>128</sup> w nich jakiś zatrzask ukryty, który należało odnaleźć. Zabrał się do roboty. Zwinnymi palcami badał każdą śrubę, każdej ozdoby na drzwiach dotykał, wkładał ostrze noża we wszystkie szpary i otwory, jakie tylko mógł namacać — wszystko na próżno.

Już miał, zniechęcony, odstąpić od drzwi i dać za wygraną, gdy naraz zauważył, że są one zamknięte na najprostszą w świecie „zakrętkę”, jakich się od tysiąca lat powszechnie używa. Wściekłość go ogarnęła na myśl, że tyle czasu strwonił niepotrzebnie. Przecież to było do przewidzenia, że na końcu korytarzyka, z drugiej strony już przed włamaniem zabezpieczonego, drzwi o cienkich, nieprzedstawiających poważnej zapory szybach, nie będą już opatrzone żadnym zamkiem osobliwym.

Zakrętka znajdowała się zbyt wysoko jak na mały wzrost Rody; przyniósł więc krzesło z gabinetu i wszedłszy na nie, drzwi otworzył.

Znalazł się teraz w upragnionej pracowni uczonego. W pierwszej chwili stanął oszłomiony pośród mnóstwa niepojętych dla siebie przyrządów i naczyń, nie wiedząc po prostu, jak szukać między nimi straszliwej maszyny, na której zabrani mu zależało. Po pewnym czasie dopiero przypomniał sobie, że jak słyszał z rozmowy Jacka, ma to być niewielka czarna skrzynka składana, podobna z wyglądu do podręcznego aparatu fotograficznego. Począł się rozglądać, przemykając ostrożnie między przyrządami w obawie, aby nie potrącić którego i nie uszkodzić, albo, co gorsza, trafiwszy na piekielną maszynę, nie spowodować przypadkiem wybuchu.

Na środku pracowni stał duży bęben metalowy o kolorze przyciemniałej miedzi, od którego pęki drutów izolowanych biegły ku ścianie, gubiąc się w wybitym w niej otworze. Dwa cienkie przewody złociste, z osobliwego jakiegoś stopu sporządzone, łączyły ten bęben zewsząd zamknięty z niepokazną skrzynką na trójnogu, która musiała być prawdopodobnie owym poszukiwanym aparatem.

Rodzie zimny pot wystąpił na skronie. Należało zabrać tę skrzynię, czego nie można było uskutecznić bez przecięcia drutów z bębniem ją łączących, a nie spowodować przy tym wybuchu, który by nie tylko jego zabił, ale i całe miasto niewątpliwie zniweczył. Na chwilę strach go ogarnął tak wielki, że gotów już był wyrzec się zdobyczy. Bezradny i drżący patrzył na aparat, jak mysz na kawałek przynęty w pułapce umieszczonej. Na szczęście przypomniał sobie, jak Jacek mówił przy jakiejś sposobności do Nyanatilo, że od pewnego czasu nigdy maszyny naładowanej nie zostawia w pracowni.

Wyjął nóż i położył go na drutach, aby je przeciąć, lecz ręka tak mu drżała, że nie mógł się na to zdobyć. Gdy tak stał przerażony i niepewny, co począć, wzrok jego padł przypadkiem na drugą skrzynkę całkiem do pierwszej podobną, która leżała osobno na uboczu. Poskoczył ku niej żywo w nadziei, że jest to drugi aparat, który będzie mógł bez trudu unieść ze sobą. Skrzynka ta jednakowoż była pusta. Widocznie Jacek zamierzał drugą maszynę dopiero zbudować — może z zamiarem wzięcia jej z sobą na Księżyc — i kazał sporządzić zewnętrzną dla niej powłokę, czekającą jeszcze na wypełnienie.

Roda nie namyślał się dłużej. Powrócił do aparatu stojącego na środku pracowni i z zamkniętymi oczyma ciął nożem po drutach. Posłyszał lekki syk — krew mu z przestrachu zakrzępla w sercu, ale nie było to nic innego, jak tylko świst drutów, które przecięte skręciły się momentalnie jak węże.

Za kilka chwil Roda powracał do gabinetu, unosząc cenny łup ze sobą. Na miejscu zabranego aparatu ustawił próżną skrzynkę i przecięte przewody tak z nią połączył, że ktoś wchodzący, choćby sam Jacek nawet, nie od razu zamianę mógł spostrzec. Drzwi zamknął za sobą skrętnie. W ciemności, nie rozstając się ani na chwilę ze zdobyczą, którą sobie chustą na piersi przywiązał, wyszukał skrytkę i włożył w nią klucze z powrotem, po

<sup>128</sup>snadź — widocznie, prawdopodobnie; przecież. [przypis edytorski]

czym poszedł omackiem ku drzwiom wchodowym<sup>129</sup>, gdzie postanowił być w ukryciu powrotu Jacka oczekiwać.

Wtulony w fałdy portiery przycisnął dużą głowę do marmurowego obramienia drzwi i przycisnął się jak kot, aby w chwili, gdy drzwi się otworzą, wyslizgnąć się jednym skokiem. Senność zaczynała go morzyć, spotęgowana jeszcze znużeniem i przebytymi wzruszeniami. Na darmo usiłował ją pokonać, powtarzając sobie w myśli, że zasnąć teraz to znaczy narazić się na niechybne niemal wykrzycie, gdyby Jacek wszedł niespodziewanie. Majaki jakies chodziły mu po głowie, dziwnie błoga ociężałość członki ogarniała. Świadomość jego rozplywała się z wolna; coś mu się zdało, że jest na Księżycu, że w długiej nocy czeka na przyjscie spiskujących z nim przyjaciół i uczniów.

Naraz...

Nie wiedział, co to znaczy, że wskrosz fałdów materii postrzega światło. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest właściwie i co się to stało, co jest majakiem, a co rzeczywistością, gdy dotknąwszy przypadkowo przywiązanego na piersi aparatu w jednym mgnieniu oka uprzytomnił sobie wszystko. Zasnął snadź<sup>130</sup>, nie wiedząc o tym. Chciał się zerwać. Ale nagle trwoga potworna członki mu sparaliżowała. Jeśli w pokoju było jasno, to znaczyło, że jest tu ktoś, czyli że Jacek powrócił.

Jakoż usłyszał jego głos:

— Nie ma czasu do stracenia. Czysty szal tych ludzi ogarnął...

Potem znowu milczenie.

Nie mógł na razie wyrozumieć, czy Jacek mówi sam do siebie, czy też jest kto drugi w gabinecie, a nie śmiał uchylić fałdów portiery, aby się ruchem nie zdradzić. Słyszał krok szybki miękki dywanem tłumiony i głuchy stuk krzesła przesuwanego; znać było, że Jacek krąży po pokoju wzburzony jakąś wiadomością czy wypadkiem.

Wreszcie ucichło, chodzący zatrzymał się widocznie. Słychać było kilka słów niewyraźnie rzuconych.

Roda zaparł oddech. Jedną ręką przycisnął silniej aparat do piersi przywiązany, drugą z niesłychaną ostrożnością rozszerzył nieco szparę między uszakiem drzwi a zwieszającą zasłoną, aby głos go lepiej dochodził.

— Cóż możesz zrobić? Mówię ci raz jeszcze, porzuć to wszystko i pójdz ze mną w daleki świat, a wkrótce zobaczysz, że nie było się czym przejmować ani o co kłopotać.

Zimny pot pokrył Rodę w jednej chwili od stóp do głów. Poznał głos Nyanatiloki, którego przenikliwości bał się instynktownie i więcej niżli Jacka i wszystkich ludzi na Ziemi. Zdało mu się, że straszne oczy pustelnika przebijają już tę wąż zasłonę, za którą się ukrył — odruchowo chciał krzyknąć, uciec, ale na szczęście mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Słyszał uderzenia swego serca tak głośne, że bał się, aby już one same go nie zdradziły.

— Teraz iść z tobą nie mogę — odparł Jacek jakby z wahaniem. — Muszę być tu, na miejscu.

— Po co?

— Bądź co bądź to mój obowiązek. Z tego powodu nawet odwlekam wyprawę, choć tam może przyjaciel mój mnie potrzebuje.

Dalszej rozmowy nie mógł Roda dosłyszeć. Oddalono się snadź od jego kryjówki, i mówiono szeptem, jak robią częstokroć ludzkie, którzy zbyt ważne rzeczy mają sobie do powiedzenia, aby głos podnosić nawet wtedy, gdy są przekonani, że ich nikt nie podsłuchuje.

Roda chwycił tu i ówdzie jakiś wyraz oderwany, który przypadkiem głośniejszym echem zabrzmiał w ustach mówiącego. Było to najczęściej powtarzane imię Grabca — dwa czy trzy razy obilo mu się o uszy nazwisko Azy i Marka... Potem zdawało mu się jeszcze, że jest mowa o Księżycu, o nim i o Matarecie.

„Będziesz ty miał Księżyc!” — wyszeptał w duszy i mimo wewnętrzną trwogę uśmiechnął się złośliwie. Stuk odsuwanego krzesła dał mu znać, że Jacek znów powstał.

— Czy nie najlepiej byłoby — mówił teraz głośno do Nyanatiloki — skończyć z tym wszystkim od razu i radykalnie?

<sup>129</sup>wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Zaśmiał się z cicha jakimś śmiechem okropnym, który ściał krew w żyłach Rody.

— Wszak wiesz — ciągnął, nie mogąc snadź dłużej tłumić głosu — że dość mi przejść tam, poza te drzwi żelazne, i dwie małeńkie wskazówki połączyć ze sobą...

— Tak. I co?

— Ha, ha! Najzabawniejsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić! Nie na próżno raczył mi rząd powierzyć stanowisko dyrektora telegrafów całej Europy. Kazałem przewody powszechnej sieci drutów sprowadzić do mojej pracowni... Niby dla doświadczeń. Ha, ha, pyszne doświadczenie! Stwarzać jeszcze nie umiemy, ale potrafimy niszczyć. O tak, wystarczy puścić w przewód główny jedną iskrę z mego aparatu...

— I co? — powtórzył Nyanatiloka spokojnie.

— Piorun. Grom, jakiego pono od początku świata nie rzuciła wola świadomej istoty. Cała Europa, dosłownie cała Europa, siecią telegraficznych drutów oplątana, miasta, łądy, góry: to wszystko w jednej chwili zamieni się w potworną masę wybuchową, każdy atom, rozluźniając się na cząstki pierwotne, działa jak nabój dynamitowy, woda nawet i powietrze...

— I co?

— Czy nie rozumiesz, że taki wybuch straszliwy musiałby zepchnąć Ziemię z jej orbity, jeśliby jej wręcz na kawałki nie połupał? Księżyc, jak dziki koń w manieżu z uwięzi spuszczonej, poszedłby w przestrzeń i kto wie, o jakie ciało niebieskie by gruchnął; zamąciłaby się równowaga słonecznego układu...

— I co?

— Śmierć.

Zmartwialemu Rodzie zdało się, że słyszy śmiech Nyanatiloki.

— Nie ma śmierci. Przecież ty sam wiesz dobrze, iż nie ma śmierci dla tego, co istnieje prawdziwie. Rozwiałbyś tylko uludę marną i nie wiadomo po co, kiedy ją tak wiele duchów z tak wielkim trudem ze siebie wysnuło, czyniąc ją swą rzeczywistością. Co ci do innych, gdy sam dla siebie możesz ten majak zniszczyć jednym woli poruszeniem. A do tego nawet jeszcze nie dojrzałeś. Czyn niepotrzebny, czyn dziecka, co gasi światło, aby nie widzieć straszącego je obrazu, a potem jeszcze więcej boi się w ciemności.

Rozmowa znowu przycichła. Po jakimś czasie dopiero doleciało Rodę wyraźniejsze westchnienie, a potem słowa Jacka głuche, choć głośniejsze niż wypowiedziane.

— Tutaj naprawdę nie mam nic do roboty, a jednak nie mogę iść za tobą, dopóki wiem, że będę tęsknił za tym, czego nigdy nie miałem i nigdy nie będę miał. Tyś przeszedł przez życie jak burza płomienna i nie potrzebowałeś niczego żałować w chwili, kiedyś się zamknął w sobie i swój świat zaczął stwarzać. Ja mam czasem wrażenie, że jestem dzieckiem niezaradnym, które by chciało, aby mu się złote bajki jeszcze wysniły.

Dalsze słowa rozplynęły się w szepcie, który snadź Nyanatiloka tylko mógł usłyszeć. Rodę cała ta mała dłoń zrozumiała rozmowa niewiele obchodziła, a jeśli słuchał, to tylko dlatego, że spodziewał się pochwycić jakie słowo, które by mu mogło być wskazówką, kiedy się drzwi otworzą i on będzie się mógł uwolnić z pułapki. Bardzo mu było niewygodnie, a przy tym ciągle obawiał się, że może nie jest dość dobrze ukryty i fałdy portiery kształt jego zdradzają. Na domiar wszystkiego po słowach, które usłyszał, piekielną trwożką przejmowała go maszyna do piersi przywiązana. Niejasne tylko przeczucie mówiło mu, że aby działała, musi być do niej z zewnątrz jakaś siła doprowadzona i mieć znów ujście, jak to widział na ogromnym bębnie, w pracowni stojącym, ale to nie uspokajało zgoła jego lęku nerwowego. Były chwile, że czuł się bliskim omdlenia i drżał tak, że naprawdę Jacek mógł go zauważyć po ruchu przykrywającej go portiery, gdyby był patrzył w tę stronę...

Jacek jednak siedział przy biurku z twarzą w dłoniach ukrytą, nie myśląc nawet patrzeć ku drzwiom. Stał przed nim Nyanatiloka wyniosły, spokojny jak zawsze, i jeno na twarzy błąkał mu się zamiast zwykłego uśmiechu cień smutnej jakiejś zadumy.

— Światy się tutaj walą — mówił — a ty nie masz odwagi wstać i odejść ze mną i nie oglądać się nawet za tym, co jest konieczne i nieuchronne, i... obojętne, choć tak strasznie wygląda. Żal mi cię. Smutny jestem po raz pierwszy od dawnych, dawnych czasów, smutny tak, jakbym miał umrzeć. Tym smutniejszy, że wiem, gdzie leży źródło twego wahania. Ty oszukujesz sam siebie, wynajdujesz różne powody, aby się nie przyznać



do tego jednego: strach ci, że odszedłszy stąd, nie będziesz patrzył w oczy tej kobiety... Pomyśl, że odszedłszy stąd i odnalazłszy samego siebie, nie będziesz tego w ogóle pragnął.

Jacek wznosił głowę.

— A czy nie myślisz, że mogę się lękać tego samego właśnie, że poszedłszy za tobą, nie będę pragnął już patrzeć w jej oczy? Jeśli to pragnienie, będące męką moją, a może i przekleństwem, jest zarazem jedynym mym szczęściem?

Zamyślił się w głuchym milczeniu, aż naraz powstał gwałtownie i począł trząść rękami około głowy, jakby chciał odegnąć obsiadające go roje nieznośnych os.

— Muszę się ratować! — zakrzyknął — i mam ratunek, mam, mam, chcę mieć!

Trójświatowiedny pojrzał nań pytająco.

— Mój przyjaciel mnie potrzebuje — rzekł Jacek. — Zwlekałem i tak już zbyt długo. Pojadę na Księżyc. To mój obowiązek. Wóz w tych dniach powinien być gotów.

Potem z wymuszonym nieco uśmiechem spojrzął na Nyanatilokę.

— Jeśli powrócę żyw, bez względu na to, co tu zastanę, pójdę za tobą!

Nyanatiloka skinął z wolną głową, a potem, patrząc Jackowi w oczy, ruchem ręki wskazał na zamknięte drzwi pracowni. Jacek zawahał się na chwilę.

— Przed odjazdem zniszczę tę zabójczą maszynę — rzekł wreszcie. — Nie chcę, aby się w niczyje, może szalone, ręce dostała.

To powiedziawszy, z nerwowym pośpiechem zadzwonił na lokaja i zmieniając ton, zwrócił się jeszcze do milczącego wciąż towarzysza:

— Każę sobie przygotować samolot, aby obejrzeć wóz mój księżycowy. Pozostań tu tymczasem; za jeden lub dwa dni powrócę i pożegnaj się z tobą.

W chwili kiedy lokaj wchodzący drzwi otwierał, w zapadającym mroku wieczornym Roda wyslizgnął się jak kot niepostrzeżenie z gabinetu i rzucił się w dół po schodach, nie patrząc już poza siebie.

## X

Od czasu nagłego wyjazdu Jacka Aza przemyślała już tylko nad tym, jak by najprędzej zadanie swoje wypełnić: opanować zabójczą maszynę... Nie domyślała się naturalnie wcale, że zniknięcie Rody miało z tym jakikolwiek związek, i nie przypuszczała ani na chwilę, że mógł on już unieść cenną dla niej zdobycz.

Ze świata dochodziły głuche odgłosy zapowiedzianego przez Grabca „trzęsienia ziemi”. Wybuchwały niespodziewanie bezrobocia, krótkotrwałe co prawda, ale zorganizowane przedziwnie, kończące się tak samo, jak powstały: na pozór zgoła bez przyczyny.

„Grabiec ćwiczy swoje wojska — myślała Aza, czytając wieści — i mierzy swe siły”.

Jakoż tak było rzeczywiście. Nie należało jej więc bezwarunkowo tracić czasu, jeżeli chciała we wszechznającym się ruchu rolę jakąś odegrać, a nie być po prostu zdeptaną przez tę wzburzoną falę ludzką, co jak morze z przepastnych głębokości biła spieniona i niecierpliwa o brzeg...

Jacka nie udało się jej pozyskać wbrew wszelkim przewidywaniom i przypuszczeniom. Zazwyczaj wrażliwy na każde jej słowo, każdy uśmiech i ruch, poddający się jak chłopię jej woli, nawet kapryśowi, stawał się niepojęcie twardym i niedostępnym, kiedy jeno wspomniwała o sprawie najżywiej ją w tej chwili obchodzącej.

Trzeba więc było szukać innej drogi. Wzrok Azy mimowolnie zwracał się na Seratę. Wprawdzie, gdy na rozum rzecz brała, ten dziwny mędrzec i cudotwórca wydawał się jej jeszcze mniej przystępnym niż Jacek, bądź co bądź pod jej wpływem będący, ale była to już droga ostatnia, której nie można było pominąć...

Dziwne było uczucie Azy wobec niego. Chwilami odzywało się w niej zmysłowe jakieś pragnienie zdobycia tego człowieka, który niegdyś pierwszy, i mimowiednie obudził w niej kobietę — spotęgowane jeszcze przewrotną żądzą złamania jego świętości... Gotowa mu była oddać się, gdyby się tylko dało do tego doprowadzić, i wyobrażała sobie nie bez pewnej rozkoszy, że w chwili miłosnego oszołomienia może osłabnąć jego wola, którą młodość swą trzyma, i ona odepchnie go jako zgrzybiałego starca, jak łachman sterany.

— Zwycięstwo! — uśmiechały się drapieżne jej usta, tracąc zwykły wyraz dziecięcy — zwycięstwo większe niż to, które Grabiec może odnieść nad światem całym...

Kiedy o tym myślała, zapomniała prawie, że to nieprawdopodobne opanowanie Nyanatiloki miało być jeno środkiem dla osiągnięcia celu, zdobycia jakiegoś marnego i w gruncie rzeczy nic ją nieobchodzącego przyrzędu śmierciodajnego — i dyszała całą rozkoszną żądzą spróbowania swoich sił, walki, zwycięstwa... Grabiec, a nawet sam Jacek wydali się jej wobec tego świętego zdobywcą marną i niemal zachodu niewartą...

Do Nyanatiloki trudno jej jednak było dostąpić. Mędrzec rozmawiał z nią, gdy tylko tego chciała, lecz tak obojętnie, jakby ona już nie tylko kobietą, lecz nawet człowiekiem nie była, a jeno jakąś maszyną mówiącą. Wzrok jego ślizgał się po niej z roztargnieniem i znać było, że on się zmusza po prostu przez szacunek dla domu Jacka, w którym była gościem, aby ją zauważyć, słuchać i znosić cierpliwie. Kiedy mu raz nasunęła wspomnienie owego spotkania w cyrku przed laty dwudziestu, Nyanatiloka rzekł „pamiętam” tak spokojnie i nic nieznaczająco, że ona aż drgnęła z przykrym uczuciem upokorzenia. Chciała go wy badać, czy bodaj nie będzie unikał w słowach tego wypadku, co by dla niej było dowodem, że jednak nie jest mu obojętną, ale on — nie podtrzymując zresztą ze swojej strony rozmowy — mówił z nią, gdy chciała, o tym z tą samą chłodną i uprzejmą obojętnością, z jaką odpowiadał na jej chytre pytania co do swego dawnego życia, stosunków z kobietami, miłości, miłostek...

To wszystko jednak, zamiast zrazić Azę, podniecało ją jeszcze więcej, tak że wkrótce nie mogła już myśleć o niczym innym, jak tylko o możliwości i sposobie pokonania tego mędrca nadludzkiego...

Jacek tymczasem nie wracał z oględzin wozu swojego. Oprócz obszernego pisma do Seraty przyszedł tylko od niego krótki list do Azy, w którym przeproszał, że ją samą w domu pozostawia, i usprawiedliwiał się kłopotami, jakie ma ze strajkującą co pewien czas fabryką, oraz koniecznością osobistego dozoru roboty.

Aza zamyśliła się, przeczytawszy tę kartę pobieżną. Jakże inaczej pisywał do niej ten Jacek jeszcze niedawno, nawet wtedy, gdy dotknięty czymś, spod przewagi jej chcąc się niby uwolnić, usiłował być chłodnym i obojętnym! Zrozumiała, że jest to wpływ Nyanatiloki, jeśli nie bezpośredni, to w każdym razie uboczny, i zawziętość tym większa ogarniała ją przeciw temu człowiekowi, który zjawił się tutaj chyba po to, aby wszystkie jej plany krzyżować.

„Gdyby nie on” — rozumowała — nie ten w cudaka indyjskiego zamieniony skrzypek, wszystko poszłoby łatwo. Jacek sam nie byłby miał siły oprzeć się jej urokowi. Byłaby zrobiła z nim, co by jeno zechciała — wcześniej czy później. Niewątpliwie wydałby jej był tajemnicę swego wynalazku, a nawet, kto wie, czyby się nie zgodził, miast innym korzyści płynące z niego oddawać, na spół z nią tylko potęgę tę wyzyskać i nad światem samowładnie zapanować? Byłaby ona wtedy królową naprawdę, nie potrzebując się oglądać na Grabca ani na nikogo, na nikogo na świecie...

Nyanatiloka to zepsuł.

„Zemszczę się — mówiła w myślach. — Ty sam, ty sam, stary czarowniku, musisz mi za to oddać jego moc; zdradzisz przyjaciela jak Judasz, gdy zechcę, i zmarniejesz, zdechniesz w mych oczach, jak tylu innych pyszałków...”

Były jednak chwile, kiedy sama nie bardzo wierzyła w powodzenie własnych zamysłów wobec przedziwnego człowieka. Przychodziło jej wtedy na myśl, czy nie lepiej byłoby dać tutaj pokój temu wszystkiemu i przenieść się na inny świat...

Wszak Jacek wybierał się na Księżyc. Gdyby zechciała, wzięłby ją z pewnością ze sobą — do Marka, który niewątpliwie jest królem i samowładcą całego globu srebrnego...

Przymknęła oczy wtedy i śniła na jawie ten znany sobie uśmieszek mocarnego człowieka, z którym by ją pewno na Księżycu powitał, rad, że ją widzi tak ponad wszelkie spodziewanie, wdzięczny, że o nim pamiętała i aby się z nim złączyć, naraziła się na podróż niebezpieczną a szaloną...

Tęskniła prawie za nim. Nawet nie za tym uśmieszkiem, nawet nie za spojrzeniem jego oczu i dotknięciem ręki, jak raczej za tą mocą jego męską i spokojną, w niczym do chłodnej, wyniosłej i zamkniętej w sobie obojętności Trójświatowiednego niepodobną, która kielznała ją, jak wzrok pogromcy kielzna dziką panterę, i słodkim napelniała spokojem.

Krótko trwały w niej takie chwile „słabości”, jak je sama nazywała, ale przychodziły dość często, tak że walczyć z nimi musiała i przeciwstawiać cały chłód swego rozumu tym fantastycznym, nie wiadomo skąd budzącym się porywom...

Raz w takim usposobieniu napisała do Jacka, odpowiadając właśnie na kartę, w której ją o przedłużeniu swojej nieobecności powiadał. Nie mówiła mu o przelotnych planach swoich wprost i nie żądała jeszcze, aby ją zabrał ze sobą, ale w każdym razie w liście jej brzmiała jakaś nuta tęsknoty i głębokiej, przyjaznej serdeczności, tak rzadko się u niej szczerze odzywająca.

List zastał uczonego w warsztatach mechanicznych wielkiej fabryki, w której właśnie wóz jego księżycowy przygotowywano. Był on zniecierpliwiony niespodziewanie wolnym postępem robót i ciągłymi przeszkodami, zwłaszcza że znał ich źródło i obawiał się poważnie, aby go wypadki nie ubiegły. Postanowienie odlotu na Księżyc, które zrazu było tylko odruchowym pragnieniem pomagania opuszczonemu przyjacielowi, stało się dlań z czasem rodzajem deski ratunkowej czy tarczy, którą się zasłaniał lub przynajmniej zasłonić usiłował przed wzrastającym dokoła niego i w nim samym zamętem.

To było jeszcze najprostsze wyjście z rozterki. Odlecieć i nie wiedzieć już o niczym, pozbyć się obowiązku zajęcia stanowiska w rozpoczynającej się burzy, z Grabcem lub przeciw niemu, uchylić się od konieczności wyboru między Nyanatilką i Azą, a mieć przy tym tę wymówkę przed samym sobą, że się spełnia wzniosły czyn, narażając się dla przyjaciela... Jacek zdawał sobie najzupełniej sprawę, że to, co robi, jest podyktowane raczej słabością i niezdecydowaniem, lecz rozumiał zarazem, że jest to jedyna rzecz, na którą może się zdobyć bez wyrzutów i wątpliwości, czy nie powinien był postąpić inaczej.

Jedyną jego obawą dotąd było, że wszystko naokół niego iść może raźniej, niżby on sobie życzył, i nim zdoła puścić się w podróż swoją nadpowietrzną, wybuchnie walka, uniemożliwiająca tu już fizycznie odlot w niewykończonym jeszcze wozie... Toteż naglił zarówno zarząd warsztatów, jak i robotników, około wozu pracujących, patrząc z rozpaczą, jak się robota wolno naprzód posuwa.

List Azy przyniósł mu nową rozterkę. Poczul z niego, wyczytał między wierszami tę myśl, że Aza byłaby może gotowa odlecieć wraz z nim ze starej Ziemi w międzygwiazdne przestrzenie, i w pierwszej chwili drgnął dziwnie jasną radością.

Tak, tak! Odlecieć z nią razem precz od tego życia, od stosunków, które duszą, od społeczeństwa, co przytłacza, i od groźących walk, wyrwać ją przeszłości, która tu w dole — na Ziemi — pozostanie, jak rzecz nieistniejąca, i nowy rozpocząć los...

Zaśmiał się gorzko.

— Tak, oddając ją w ręce Markowi!

Po raz pierwszy uczul coś — jakby przypływ nienawiści do dawnego przyjaciela z dzieciennych lat. Równocześnie wydało mu się, że jest w nader śmiesznym położeniu. Przecież to oczywista — rozumował — że Aza przybyła do jego domu i teraz podsuwa mu myśl wspólnego na Księżyc odjazdu w tym wyłącznie celu, aby się z Markiem połączyć! Używa go po prostu za narzędzie swej woli. Nie mówi mu nawet wprost, co chce, lecz czeka, aby propozycja wyszła od niego, a wtedy jeszcze zapewne wzdragać się będzie i każe się prosić, jak o łaskę, by to uczyniła, czego sama widocznie pragnie nade wszystko.

Miał chwilę, kiedy chciał już kazać przerwać roboty około wozu.

— Zostanę tutaj — mówił do siebie głośno. — Cóż mnie ostatecznie obchodzi los jakiegoś szaleńca, który kiedyś był moim przyjacielem! Wszystko jest podle, wstrętne i złe! Najmędrsi nawet nie umieją zachować spokoju i chciwe ręce wyciągając po niepewną władzę, nawet najwięksi nie umieją się zadowolić wielkością swego ducha... Dostyc już tego, doprawdy, dość! Powiniennem wrócić do domu i położyć rękę na małej dźwigni mojej maszyny i unicestwić ten świat, niewart już czego innego...

W tej chwili zaniepokoił się przypomnieniem, że po powrocie z owego ostatniego zebrania mędrców nie zaszedł wcale do swojej pracowni i nie obejrzał postawionego tam aparatu...

Machnął ręką.

To głupstwo! Przecież do mojej pracowni nie mógł się nikt dostać beze mnie... Chyba jeden Nyanatiloka. Ten ci był ze mną wprawdzie na zebraniu, ale któż wie, czy nie potrafi on być w dwóch miejscach równocześnie!

Na wspomnienie mędrca zadumał się znowu głęboko... Nęciła go myśl udania się z nim razem w samotność cejlońskich puszczy lub niedostępnych gór himalajskich na poszukiwanie wiedzy ostatecznej i tak różnej od tego, co w Europie i wśród ludów po europejsku myślących mógł znaleźć — a bał się, że nie zdobędzie się jeszcze na spokój konieczny do jej uzyskania.

W każdym razie myśl ta pomogła mu do otrząśnięcia się spod uroku listu Azy i pozbycia się niepokoju, jaki mu przyniósł ze sobą.

Postanowił odpisać uprzejmie, lecz chłodno i w taki sposób, jakby nie rozumiał i nie spostrzegł zupełnie zawartego między wierszami listu życzenia, aby mu towarzyszyć w zamierzonej podróży...

W podróż jednak puścić się musi bezwarunkowo! Byle tylko wóz szczęśliwie i jak najprędzej był już gotowy!

Skończywszy list pośpiesznie w hotelu, kazał sprowadzić automobil i ruszył natychmiast z powrotem do fabryki, którą opuścił był przed godziną właśnie dla odpisania śpiwaczce.

W drodze zaniepokoił go jakiś ruch niespodziewany, mijał ciągle ludzi, którzy — jak mu się zdawało — byli robotnikami i powinni by obecnie stać przy pracy.

„Znowu jakieś bezrobocie — pomyślał. — Fatalność już widocznie ciąży nad tym moim wozem i nad całą podróżą księżycową!”

Kazał pospieszać woźnicy, ludzając się nadzieją, że wpływ jego osobisty może zdoła powstrzymać robotników od porzucenia ponownego pracy, na której mu tak wiele zależało.

Na progu fabryki spotkał dyrektora. Stał samotnie z rękami w kieszeniach i świstał przez zęby.

— Co słychać? — zapytał, wyskakując z automobilu.

Dyrektor ruszył ramionami, nie witając go nawet ukłonem, choć zazwyczaj odnosił się doń z uprzedzającą grzecznością.

— Robotnicy...? — zapytał Jacek.

— Poszli — odparł dyrektor spokojnie.

— Bezrobocie znowu?

— A tak!

— Kiedyż się to skończy?

— Nie skończy się.

— Jak to?

— Ano tak. Poszli sobie i nie ma ich. Mówią, że już nie wrócą. Mnie się to wszystko zdumilo. Niech diabli wezmą taką robotę!

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i poszedł, pozostawiając Jacka zdumionego na schodach.

Teraz dopiero, obejrawszy się, dostrzegł, że stoi około niego nieco opodal kilku ludzi, którzy przypatrują mu się z zajęciem, szepcząc coś między sobą. Niektórych z nich poznał; byli to robotnicy fabryczni, starsi majstrowie, innych jednak nie widywał nigdy w tej okolicy. Przez jeden moment miał ochotę zapytać się ich, co tu robią i czemu tak patrzą na niego, ale — ostatecznie — co go obchodziło!

Przygnębiony i bezradny, począł schodzić ze schodów, zmierzając do czekającego na dole samolotu.

Na ostatnim stopniu zastąpił mu drogę jeden ze znających go robotników.

— Niech pan zaczeka!

Jacek spojrział nań ze zdziwieniem.

— Czego chcesz, przyjacielu?

Robotnik nie odpowiadał, lecz zagroziwszy mu drogę jedną ręką, drugą dawał znaki poza siebie. Jacek mimo woli spojrział w tę stronę. Zza węgła szedł ku niemu człowiek ogromny o ponurej, upartej twarzy pod rozwichrzoną czupryną.

— Pan jesteś mistrz Jacek? — zapytał wręcz, przystępując ku uczonemu.

— Tak. Ale ja nie wiem, kto pan jesteś.

— To mniejsza. Nazywają mnie Józwa...

— A! Grabię ci raz wspominał...

— Może. Mnie także mówił o panu. Pan masz maszynę, za pomocą której można miasta i całe kraje niweczyć...

- Co komu do tego?  
— Owszem. Mnie jest coś niecoś do tego. Potrzebuję tej maszyny.  
— Nie będziesz jej pan miał.  
— Będę!

Skinął na robotników, którzy w okamgnieniu otoczyli Jacka zwartym pierścieniem.

— Mogę pana kazać zabić natychmiast!

— Tak. I co z tego?

— Więc zatrzymamy pana tutaj, a tymczasem przetrząśnie się pańską pracownię w Warszawie.

Jacek mimo grozy położenia uśmiechnął się mimowolnie. Spod spuszczonego powiek niewymownie wzgardliwym wzrokiem patrzył teraz na Józwę. Miał ochotę zapytać go, czy wyważywszy drzwi jego pracowni, aby zabrać zabójczą maszynę, zdoła również dostać się do jego mózgu i wyłuszczyć stamtąd tajemnicę jej zastosowania, bez czego będzie ona zawsze tylko marną, na nic niezdatną lupiną.

W tejże chwili przystąpił do Józwy jakiś człowiek i podał mu kartkę z kilkoma nakreślonymi wyrazami... Przywódca rzucił na nią okiem i uśmiechnął się, po czym dał znać robotnikom, aby odstąpili Jacka.

— Nie potrzebujemy już pana — rzekł. — Mój przyjaciel, Grabiec, donosi mi właśnie...

Urwał, a potem dokończył z uprzejmym, nieco szyderskim ukłonem, ręką na stojący opodal samochód wskazując:

— Możesz pan wracać swobodnie do domu. A radzę panu dobrze skarbu swego pilnować...

Jacek wzruszył ramionami i wsiadłszy do samochodu, kazał wrócić do hotelu.

Tutaj nie miał już nic do roboty. Warsztaty widocznie stanęły na czas dłuższy — trzeba się było wyrzec myśli o rychłym wykończeniu wozu i na razie przynajmniej zapomnieć o podróży na Księżyc.

W hotelu kazał sobie przygotować na wieczór samolot z zamiarem jak najspiesniejszego powrotu do Warszawy.

W domu jego tymczasem Aza doprowadzała grę swą do końca.

Wieczór był parny, duszny. W powietrzu wisiała, zda się, burza — burzę czuć też było na ulicach olbrzymiego miasta. Z nastaniem zmroku zapłonęły wprawdzie światła jak zazwyczaj, ale po jakimś czasie grążyły się zaczynały w cieniu całe ulice, jakby ręka jakaś złowroga pozrywała przewody i psuła elektryczne maszyny. Ruch mimo to nie ustawał ani na chwilę, jeno że zamiast zwykłych przechodniów, teraz nie wiadomo czemu po domach się kryjących, pojawiły się tłumy jakieś nieznanne, po raz pierwszy oglądane w śródmieściu, o których nikt nie umiał powiedzieć, skąd wyszły i gdzie się kryły zwyczajnie.

Spokojny, wypasiony i niezatroskany dotąd mieszkaniec ze zdumieniem patrzył na ludzi o posępnych, zaciekłych twarzach, w bluzy proste odzianych, o których istnieniu jeśli wiedział, to jeno ze słyszenia, prawie za bajkę to sobie mając, że tacy są gdzieś i żyją jak on...

Pomruk zły szedł ulicami, chociaż wszystko spokojne było jeszcze na pozór. Aza słyszała go z dachu Jackowego domu, gdzie wyszła się schronić przed dusznym powietrzem pokojów, którego nawet pracujące całą siłą wentylatory nie były zdolne odświeżyć. Siedziała na płaskim tarasie, w składanym krześle rozciągnięta, i patrzyła spod spuszczonego powiek na ten męt tam w dole, oświetlony płonącymi jeszcze w najbliższej okolicy latarniami. Dalej — była już noc nieprzenikniona i czuło się jeno, że przewala się wśród niej tłum, gotów ją w każdej chwili rozjaśnić wybuchającymi minami i pożarem, na wspańnię domy rzuconym... Śpiewaczka wiedziała, co to znaczy. Przez pewien czas siedziała nieporuszona, wciągając niejako wszystkimi porami z dziwną rozkoszą to elektryczne napięcie buntu i walki, które wisiało już w powietrzu. Nozdrza rozdymały jej się drapieżnie, usta zastygły w jakimś lubieżnym półuśmieszku. Miała przez chwilę wrażenie, że czuje drażniący zapach dzikiego zwierza, ruszającego się z komyszy<sup>131</sup>...

<sup>131</sup>komysz — krzak, zarośla. [przypis edytorski]

Nagle ocknęła się i zerwała. Wszak to ostatnia chwila, aby działać! Jeżeli jutro rozruch się pocznie, a ona nie stanie przed nim jak anioł ognisty, ze straszliwym narzędziem śmierci i zniszczenia w ręku...!

Szybko zbiegła po schodach na niższe piętro i udała się wprost do gabinetu Jacka. Wiedziała, że zastanie tutaj Nyanatilokę.

Stanąwszy na progu, spojrzała pod światło płonącej na stole lampy, która zastępowała zwykle strumienie blasku elektrycznego, przygasła już z powodu przerwania przewodów.

Mędrzec siedział w krześle z pochyloną na piersi głową i można było sądzić, że śpi, gdyby nie oczy szeroko rozwarłe, którymi wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą. Nagi był do pasa, mając jeno chustę wełnianą około bioder owiniętą. Długi czarny włos spływał mu w spokojnych pasmach na ramiona.

Aza zatrzymała się we drzwiach. Na jeden moment onieśmienie ją ogarnęło, a potem nagle niespodziewany przyływ żądy wprost obłądnej, ażeby wyrwać tego człowieka z nieruchomości i wiecznej równowagi, zedrzeć zeń świętość, zmusić do namiętnego dreszczu... Zapomniała niemal w tej chwili, że nie to właściwie było jej celem, że miała go jeno podeptać, aby sobie otworzyć przejście do owych drzwi, za plecami jego się znajdujących.

— Serato!

Nie ruszył się z miejsca, nie zwrócił oczu, nawet nie drgnął na dźwięk swego imienia.

— Słucham — rzekł zwykłym, spokojnym głosem...

Wszystkie plany Azy, które sobie układała długo i mądrze dla tej rozstrzygającej walki, zamąciły się i pierzchyły naraz z jej myśli.

Odruchowym instynktem pchnięta, skoczyła ku niemu i przywarła usta do nagiej jego piersi, dłonie jej błądziły koło jego twarzy, chwyciły za włosy rozsypane, osuwały się wzdłuż ramion... Urywaniem wśród obłądnych pocałunków głosem zaczęła mu szeptać słowa pieściwe, mówić o rozkoszach niewysłowionych, których on zapewne w życiu swoim całym jeszcze nie przeczuł, wzywać go, prosić, aby ją przygarnął do siebie, bo ona ginie z miłości...

Nie wiedziała nawet zgoła w tej chwili, czy mówi to, co myśli i czuje naprawdę, czy też jeno straszną jakąś komedię odgrywa, która ją samą porwała... Czuła tylko, że odchodzi od przytomności z tym ostatnim jeszcze błyskiem świadomym, że wszystko od razu na jedną rzuciła kartę.

Nyanatiloka nie drgnął nawet. Nie odpychał jej, nie usuwał się od jej pocałunków, nie zmrużył powiek rozwartych. Zdawać się mogło, że nie jest człowiekiem żywym, lecz jakąś przerażającą figurą woskową, gdyby nie uśmiech nieco wzgardliwy, który mu się po wargach przewinął.

Aza nagłym przestraszeniem tknięta odsunęła się od niego.

— Serato, Serato... — wykrztusiła ze ściśniętego kurczem gardła.

Na jego twarzy, smagłej jak zawsze, nie było znać ani śladu rumieńca; krew w żyłach nie zatętniła mu żywiej.

— Czego pani żąda?

— Jak to...? Ty pytasz! Ciebie chcę, ciebie! Czyżes ty nie czuł moich pocałunków?

Wzruszył nieznacznie ramionami.

— Czulem.

— I... i...?

Spojrzał jej teraz wprost w twarz wzrokiem jasnym, spokojnym.

— I dziwię się, że to ludziom sprawia przyjemność...

— A!

— Tak. A nawet, że to i mnie niegdyś przyjemność sprawiało.

Wzrok Azy padł przypadkowo na ostry brązowy sztylet do rozcinięcia papieru, leżący obok na stole. Nim miała czas zdać sobie sama sprawę z tego, co robi, pochwyciła nóż i całym rozmachem pchnęła go w lewą, nagą pierś Nyanatiloki.

Krew trysnęła jej na twarz i suknię — widziała jeszcze, jak pustelnik zerwał się, wyprężył i przechylił w tył...

Z krzykiem przerażenia i grozy rzuciła się ku drzwiom do ucieczki. W przedślonku spotkała Jacka, który właśnie, opuściwszy się samolotem na dach domu, szedł pośpiesznie do swej pracowni. Na jej widok stanął jak wryty. Dostrzegł krew na jej twarzy i odzieniu.

— Azo! Co się stało? Jesteś ranna?  
Usunęła mu rękę, którą chciał ująć.  
— Nie, nie... — mówiła jakby sennie, patrząc mu w twarz nieprzytomnym wzrokiem.  
— Nie chodź tam! — krzyknęła nagle, widząc, że Jacek zwrócił się ku drzwiom gabinetu, skąd wyszła.  
— Co to jest?!  
— Ja... ja...  
— Co?  
— Zabiłam... Nyanatilokę.

Kobieta, Mężczyzna, Dusza,  
Mędrzec, Mizoginia

Z krzykiem przerażenia rzucił się Jacek ku drzwiom. W tejże jednak chwili na progu stanął Nyanatiloka. Błądy był jak trup, w pobielających wargach nie znać było ani kropli krwi, która za to obfitą, zaledwie przyschlą falą zalewała mu ciało i owiniętą około bioder przesłonę. Na piersiach, pod lewą brodawką, miał świeżo zasklepioną bliznę.

Aza, zoczywszy<sup>132</sup> go, zatoczyła się i oparła plecami o ścianę. Krzyk zamarł jej w ściśniętym gardle.

Jacek cofnął się o krok.  
— Nyanatiloka...?  
— Nic, już nic, mój przyjacielu. Byłem bliski śmierci...  
— Ty jesteś krwią świeżą zlany, na piersi masz bliznę!  
— Przed chwilą była tu rana. Mogłem być umrzeć, bo nóż przeszedł przez serce...  
Ale w ostatniej chwili przytomności wspomniałem, że jestem ci jeszcze potrzebny. Wysiłkiem gasnącej woli chwyciłem tlejącą jeszcze iskrę świadomości i począłem się zmagać ze śmiercią. To była walka najcięższa, jaką kiedykolwiek stoczyć mi wypadło. Ale w końcu, jak widzisz, zwyciężyłem.

— Ty się chwiejesz na nogach...!  
— Nie, nie! — uśmiechnął się blade. — To reszta osłabienia, która wnet przejdzie. Nic mi już nie jest. Czekałem na ciebie, wiedząc, że wrócisz tej nocy... Odejdziemy stąd...

Jacek poderwał się nagle.  
— A moja maszyna!  
Mędrzec wstrzymał go ruchem dłoni.  
— Nie ma jej już tam. Skradziono ci ją. Nie przeczułem tego wcześniej. Tak może lepiej. Wszak bez ciebie nikt jej użyć nie zdoła?

— Nie...  
— Więc dobrze. Odejdziemy stąd obaj na zawsze, na zawsze...  
Aza teraz dopiero oprzytomniała. Jasność jakaś przerażająca rozplonęła jej w mózgu. Jednym rzutem poskoczyła naprzód i padła do nóg Nyanatiloce.

— Daruj mi, daruj!  
Uśmiechnął się.  
— Nie jestem wcale gniewny.  
Chciał postąpić, ale ona rękami objęła jego stopy. Włos jej złoty, nieprzeplacony, jasny włos w gwałtownym ruchu rozwiązany, posypał się przed nim na posadzkę, usta jej wonne przyłgnęły do jego bosych nóg...

— Ty święty jesteś naprawdę! — wołała. — Zmiłuj się, zmiłuj nade mną, boży człowieku! Weź i mnie ze sobą! Jak pies będę ci służyć! Będę czynić, co zechcesz! Poświęć mnie, oczyść!

Wzruszył obojętnie ramionami.  
— Kobiety nie mogą dostąpić łaski wiedzy.  
— Dlaczego? Dlaczego?  
Nie odpowiedział na jej jęk. Tam za oknami zahuczały jakieś strzały, tłum się zakotłował, zaryczał... Krwawa łuna uderzyła w szyby; Nyanatiloka objął ręką ramiona Jacka.  
— Pójdź!

Jacek się nie opierał. Słyszał jeszcze za sobą, jak we śnie, krzyk Azy, wlokącej się za nimi po ziemi, słyszał słowa jej, którymi zaklinała cudotwórcę, aby jej nie odtrącał, grożąc, że nadeptana przezeń, wpadnie na dno zbrodni, występku, podłóści... Spojrzał na mistrza — zdawało mu się, że usta jego się poruszyły, jakby mówił:

<sup>132</sup>zoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

— Cóż mnie to obchodzi? Wszak kobieta nie ma duszy...



## EPILOG

Po ośmiu dniach śmiertelnej trwogi i niepewności Matarret ośmielił się nareszcie wypełznąć ze swej kryjówki. Ogłuszający huk, który dzień i noc łomotał w zawarte ciężkie drzwi sklepionej piwnicy i dreszczem przejmował grube mury, tak że miejscami rysować się poczyniły, ustał był od niejakiego czasu i tam na świetle snadź zapanował już spokój...

Matarret wahał się długo. Ilekroć zbliżył się ku drzwiom, aby kute zawory odsunąć, stawała mu w pamięci ta straszna chwila, kiedy w oczach jego w nocy owej pamiętnej miasto zaczynało się walić, i ogarniał go znowu przypływ trwogi podobnej do tej, co rzuciła go wówczas tu, w najgłębszy loch Jackowego domu.

I byłby może pozostał jeszcze w tym podziemiu nie wiadomo jak długo, gdyby nie głód, śmiercią wprost grożący. W pospiesznej ucieczce nie myślał nawet o zapasach; całym pożywieniem jego przez te osiem dni był bochen chleba, zachwycony gdzieś przypadkiem po drodze, kiedy przebiegał około drzwi piekarni, mieszczącej się na dole wielkiego domostwa. Wody nie miał zupełnie, zadawała się musiał winem, które w wielkiej obfitości stało tu pod ścianami w beczkach pękatych i we flaszkach rzędami na półkach ułożonych.

Nie myślał wcale, jakiemu przypadkowi zawdzięczał to, że loch był właśnie otworzony i że on się w nim mógł ukryć. Wpadłszy tu, zasunął jeno wrzeciądże za sobą i przysiadł w ciemności zalekniiony, nie śmiejąc przez pierwsze kilka godzin nawet ruszyć się z miejsca. Gdy mu pragnienie dokuczyło, piekąc ogniem wyschłe już i tak ze strachu podniebienie, począł po omacku szukać dokoła siebie, najpierw w myśli, że może gdzie dla odświeżenia ust znajdzie wilgoć ciekącą po murze...

Piwnica sucha była doskonale i wilgoci nie znalazł, ale natrafił na beczki i butelki. Przeląkł się w pierwszej chwili, czy nie są to zapasy jakowychś cieczy chemicznych Jackowi do naukowych doświadczeń potrzebne, i mimo pragnienia wahał się długo, nim rozbitą flaszkę zbliżył do ust.

Pierwszy łyk wina rozszedł mu się w jednej chwili rozkosznym ogniem po żyłach i skrzepił znakomicie zwątlone trwogą jego siły. Miał ochotę pić dalej, aż do niepamięci, ale przemógł w nim rozum, ostrzegający, że ten napój jedyny i zbawienny może się stać śmiertelnym w razie nadużycia. Poskromił się więc i postanowił nie pić więcej, jak tylko tyle, aby nieco przygasić dokuczające mu pragnienie.

Zrazu było wszystko dobrze i wino okazało się napojem znakomitym, który nie tylko poił go i wzmacniał fizycznie, lecz nadto, w podniecenie umysł jego wprawiając, podtrzymywał duchowo i rozweselał. Jednak po dwóch czy może trzech dniach — czasu bowiem w ciemności dokładnie liczyć nie mógł — ciągle i przymusowe upajanie się poczęło fatalne wywoływać skutki. Żołądek jego, skąpym kęsem suchego chleba jeno oszukiwany, nie znosił już w końcu wcale tęgiego napoju; bolesny zawrót głowy i ogólne osłabienie ogarniały go i z każdą chwilą bardziej gnębiły. Wolał już cierpieć pragnienie, niż wziąć do ust chociażby jeden łyk wina, do którego wstręt poczuł nieprzemierzony.

Ostatni dzień spędzony w tym przypadkowym więzieniu był mu już męką niewysłowioną; brak pożywienia sprawiał, że wino, do którego mimo woli wracał z konieczności, silniej go zatruwało i na odwrót, zatrucie winem wywoływało tym gwałtowniejsze uczucie głodu.

Chwilami zapadał w sen pełen majaczeń, który trwał nie wiadomo jak długo. Zwidywały mu się wtenczas różne straszne rzeczy: rozruchy krwawe, miny potworne, miasta całe walące, i walki jakieś, niby to z ludźmi, niby ze złośliwymi, księżycowymi szernami prowadzone... A potem znowu następowało niespodziewane ukojenie. Śniło mu się, że stoi wraz z Jackiem na jakimś wzgórzu ponad miastem i słucha opowiadania o nowych, szczęśliwych stosunkach na Ziemi. Jacek uśmiecha się doń dobrotliwie i mówi, że wszystko szczęśliwie się skończyło, że teraz panują naprawdę najlepsi, najmędrsi, i on wkrótce pojedzie już na Księżyc, aby tam wspomóc Marka w zaprowadzaniu ładu wiecznego...

I znów jasny sen ginął w gorączkowym strasznym chaosie.

Miasto słoneczne na dole zamieniało się nagle w kupę gruzów dymiącą — luny pożarów gdzie okiem sięgnąć krwawiły nieboskłon, jęki śmiertelne zewsząd dolatywały i śmiech potworny, szatański czleka jakiegoś, wyrosłego na bezmiar, co twarz miał Józwy i pięści jego potężne...

Mataret zrywał się ze snu w przerażeniu i chciał krzyknąć, wołać pomocy.

Cisza dookoła niego była bezmierna i noc i jeno głód coraz gorszy, coraz więcej trawiący targał mu jelita i pchał go rozpaczliwie ku wyjściu.

Mimo to, i chociaż odgłosy walki już były od dość dawna ucichły, z drżeniem odsuwał rygle ciężkich drzwi, ażeby wyjść na świat. W ciemnym i wąskim korytarzu i jeszcze na schodach w górę wiodących zatrzymywał się co kilka kroków i oddychał ciężko, pragnąc jak gdyby nabrać odwagi z powietrzem świeższym w zduszoną pierś wciągany.

Wyobrażał sobie, co zobaczy, gdy stanie na ulicy, i przygotowywał się z góry na ten widok.

„Naokoło będą gruzy” — myślał. Prawdopodobnie dom Jacka już nie istnieje i kto wie, czy chcąc wyjść na światło, nie znajdzie zapory ze spiętrzonych cegieł, kamieni i belek żelaznych, które go już może żywcem pogrzebały, podczas gdy on o tym nawet nie wiedział... A jeśli mu się uda szczęśliwie wyjść, to znajdzie się niewątpliwie w pustce straszliwej i ostatecznej. Miasta już nie ma, zwaliska jeno wszędzie i pośród nich trupy i pożar pełzający po gruzach, trawiący, co się jeno da strawić w tych kupach głazu i żelaza.

Drzwi na końcu schodów były rozwarte. Wyszedł nimi do szerokiej sieni; dom stał jeszcze widocznie, a przynajmniej dolne jego piętro było nienaruszone. Cichość jednak martwa panowała dookoła. „Snadź domownicy zbiegli lub ich może zabito” — myślał Mataret, przemykając się wzdłuż marmurowych ścian ku szerokim podwojom, na ulicę wiodącym. Za lekkim naciśnięciem roztworzyły się bez szelestu; stanął w oślepiającym blasku światła słonecznego i zdumiał się.

Miasto miało zwykły, codzienny wygląd. Zaledwie zauważyć było można tu i ówdzie jakiś sklep zamknięty, okno rozbite lub drzwi wylamane, gdzieniegdzie na murach widniały świeże dziury, jak gdyby strzałami wybite, w dali, zdawało się Mataretowi, że widzi dom jakiś zwalony czy też zniszczony pożarem... To wszystko. Ludzie snuli się po ulicy jak zazwyczaj, trochę ich może mniej było, ale w zachowaniu ich nie przebijalo nic, co by świadczyć mogło o nadzwyczajnych jakich zdarzeniach.

Przed domem stało dwóch policjantów, jak gdyby symbol żywy niewzruszonego porządku.

Na lekki stuk drzwi, zamykających się za Mataretem samorzutnie, jeden z nich odwrócił się żywo i chwycił za broń u boku wiszącą.

— Czego tam szukasz? — huknął gniewnie.

Mataret zląkł się.

— Schowałem się właśnie... — zaczął nieśmiało.

Tymczasem zbliżył się i drugi policjant. Przyjrzał się Mataretowi uważnie, po czym zwrócił się półgłosem do towarzysza:

— Ekscelencja...

— Nie — odparł tamten. — Jego ekscelencja Roda nie jest łysy. Widziałem go. To musi być ten jego towarzysz czy sługa, z którym przybył z Księżycy.

Podszedł ku Mataretowi.

— Do tego domu nie wolno wchodzić — rzekł.

— Ależ ja zawsze tu byłem...

— To nic nie znaczy. Tym gorzej raczej. Kto wie, ptaszku, czy ty nie jesteś współnikiem...

— Trzeba go związać — odezwał się drugi policjant.

— Tak jest — przyświadczył pierwszy — i zaprowadzić na odwach lub wprost do ekscelencji...

Ponieważ kajdanki okazały się za wielkie na drobne ręce Matareta, więc związano mu dłonie sznurem i tak poprowadzono. Nie opierał się ani o nic nie pytał. Osłabienie ogarnęło go straszne, zaledwie powłóczył nogami, w oczach mu się ćmiło. Policjanci zauważyli wreszcie, że już nie może iść dalej, wsadzili go więc na rogu ulicy do samochodu i powieźli przed gmach jakiś wspaniały, którego on dotąd w wędrówkach swych po mieście nie zauważył.

Tutaj wprowadzono go do dużej poczekalni, w której przesiedział godzinę, nim drzwi się wreszcie rozwarły. Służący w liberii zawezwał go przed oblicze ekscelencji...

Mataret chwiejnym krokiem wszedł do gabinetu i oniemiał. W pokoju z przepychem urządzonym, na krześle przed biurkiem, w bogatym stroju siedział mistrz Roda.

— Ty... to ty? — wykrztusił po chwili.

Roda zmarszczył brwi.

— Noszę tytuł ekscelencji, proszę o tym nie zapominać.

Po czym skinąwszy na służącego, aby się oddalił, pozwolił Mataretowi zbliżyć się i usiąść.

— Gdzie się ukrywałeś? — zaczął surowym tonem.

— Jeść mi daj — jęknął Mataret — jeść i pić...

Ekscelencja łaskawie nie wzbraniał mu się posilić, a kiedy Mataret, pokrzepiony nieco, stanął znów, przyjął go dobrotliwie i zaraz na wstępie obiecał wziąć go do swojego boku, jeśli mu tylko będzie posłuszny.

Mataret patrzył przez pewien czas na dawnego mistrza, a potem towarzysza niedoli, ze zdumieniem graniczącym wprost z nieufnością wobec swych zmysłów. Nie dowierzał własnym oczom i uszom i nie mógł wyrozumieć, czy Roda mówi poważnie, czy też kpi tylko...

— Ależ powiedz mi, co się stało — wybąknął wreszcie.

— Mówiłem ci już, że należy mi się tytuł ekscelencji.

— Skąd? Jak?

— Świat uratowałem!

— Co?

— Uratowałem porządek społeczny!

— Nic nie rozumiem.

— Naturalnie. Zawsze byłeś tępy... Gdyby nie ja, już by to miasto dzisiaj nie istniało.

— Więc rewolucja?

— Zgnieciona! Zgnieciona dzięki malutkiej maszynie, którą ja bohatersko z narażeniem własnego życia uniosłem z domu tego Jacka przeklętego.

— Jakże to?

W Rodzie odezwała się dawna żyłka oratorska. Zapomniał o nowej swojej powadze i wyskoczywszy nabytym na Ziemi narowem na krzesło, mówić począł w ożywieniu, wymachując przy tym rękami:

— Tak, tak! Nie w ciemną mnie bito. Skradłem naszemu czcigodnemu opiekunowi, a raczej zdobyłem na nim, piekielną maszynę, którą mógł być świat cały w powietrze wysadzić! Uniosłem ją tu na piersi, i czułem, że los Ziemi niosę, rozumiesz? Los tej Ziemi, która i dla nas, ludzi z Księżyca, matką była przedwieczną... Serce mi drgało żywiej; snadź Bóg mnie tu sam sprowadził, abym ją i plemię człowiecze ocalił...

Zamilkł na chwilę, spostrzegłszy snadź, że dziwnie te słowa w ustach jego wydawać się muszą uchu Matareta, przywykłego z dawien do innych wręcz zdań, przezeń wygłaszanych. Zaraz jednak, niezmiuszony, podjął na nowo:

— Zresztą mniejsza o to. Ty tego i tak nie zrozumiesz. Ostatecznie o tę maszynę dobijali się wszyscy. Mogłem ją być zanieść do Grabca i nawet miałem tę myśl początkowo.

— I co zrobiłeś?

— Czekaj! Do Grabca napisałem tylko, że maszyna zdobyta, aby w razie czego sądził, że mi ją przemocą odebrano... Można ją także było oddać Józwie lub za nagrodą, niby wrogom wydartą, zwrócić Jackowi, jako prawemu właścicielowi...

— Co zrobiłeś?

— Ach! Jaki ty jesteś niecierpliwy! Zrobiłem to, co najlepsze było w tym wypadku. Ty wiesz, że zawsze miałem poszanowanie dla władzy prawowitej...

— Ha, ha!

— Tak jest, nie śmieję się. Cenię władzę. I dlatego po dojrzałszym rozmyśle udałem się do przedstawicieli rządu...

— I oni... za pomocą tej maszyny?

Roda zaśmiał się szeroko.

— A tak. Za pomocą tej maszyny.

— Wybili, wymordowali przeciwników?

— I, to nie, tak źle nie było... Zresztą...

Zeskoczył z krzesła i zniżając głos, rzucił do ucha Mataretowi:

— Zresztą, powiem ci w zaufaniu: z tej głupiej maszyny w ogóle nie można było strzelać.

— Jak to?

— Po prostu, nie było można. Widocznie brakowało czegoś w aparacie, który ja przyniosłem. A kiedy wyważono przemocą drzwi w pracowni Jacka, aby zabrać resztkę, okazało się, że on zniszczył wszystko przed swoim nagłym zniknięciem.

— Więc co?

— Nic.

— Nie rozumiem.

— Boś głupi. Wszak o tym, że maszyna jest bezużyteczna, nie wiedział i nie wie nikt prócz rządu i mnie. Słyszeli zaś wszyscy z dawna, że Jacek straszliwą broń posiada... Wystarczyło, gdy się wieść rozeszła, że ten zabójczy aparat jest w rękach władzy...

— Ach! Pojmuję, pojmuję...

— Widzisz. Rozgłoszono to zaraz i połączono druty całej sieci telegraficznej z tą niewinną skrzyneczką. Rząd powiedział: jeśli mamy ginąć w rewolucji, to raczej niech ginie świat cały! Uczeń pierwszy stchórzyli. Potem przyszła kolej na robotników i cały ten motłoch, któremu żal się zrobiło słonka bożego...

— A Grabiec? A Józwa? A tylu innych?

— Grabca rząd kazał powiesić. Józwę zabili własni jego zwolennicy, gdyż nie chciał się poddać, pragnąc, owszem, aby świat wysadzono w powietrze, czego oni znowu nie chcieli...

— I ty ostatecznie jesteś ekscelencją?

— Tak jest. Mam tytuł „Stróża maszyny” i „Zbawcy porządku”.

Z powagą niewysłowioną przeszedł się Roda po gabinecie i stanął znów przed dawnym towarzyszem, ręce w tył zakładając.

— Czy ci nie mówiłem zawsze — zaczął — że dam sobie radę? Kto by był pomyślał, kiedy nas tutaj w klatce razem z małpą zamykano...

Urwał i obejrzał się lękliwie, czy kto nie słyszy. Po czym poklepał Mataretę łaskawie po ramieniu.

— Nie zapomnę o tobie. Cierpiełeś razem ze mną, więc chociaż mam wiele do zarzucenia zachowaniu się twemu wobec Jacka, przed którym mnie oczerniałeś, jakobym był kłamcą, wszystko ci przebaczę i postaram się, aby...

Zamilkł, gdyż w tej chwili Mataret plunął mu w twarz i obróciwszy się na pięcie, wyszedł z gabinetu.

W sieniach nie było już policjantów, nikt go więc nie zatrzymywał. Wolnym krokiem zwłókł się z szerokich schodów marmurowych i wpadł w tłum uliczny. Ten i ów z przechodniów spojrzął na dziwnego karzełka — niektórzy znali go jako przybysza z Księżyca, przystawali więc, aby mu się przyjrzeć, ale przeważnie nie zwracano nań wcale uwagi.

Szedł więc w ruchu ogólnym zagubiony, bez celu, bez myśli prawie, dokąd idzie. Czasem wzrok jego padł na dom jakiś strzałami rozwalony, z którego robotnicy pospiesznie gruzy już usuwali, gdzieś tam spotykał grupki ludzi rozmawiających żywiej o wypadkach ostatnich dni, ale poza tym nie zauważył śladu żadnego, że groźna burza przeszła nad światem. Najwidoczniejszą zmianą była jedynie wzmożona liczba miejskich strażników i policjantów, którzy podejrzliwymi, brutalnymi oczyma wodzili za przechodniami...

Mataret myślał o Jacku. Gdzie się mógł podziać tak nagle? Czy nie zginął w rozruchu? Czy nie jest uwięziony? Mimo woli przychodziły mu na pamięć wszystkie chwile w towarzystwie uczonego spędzone, rozmowy z nim, zamiary nowej księżycowej wyprawy, celem niesienia pomocy Markowi... A może istotnie Jacek na Księżyc odleciał, jego tu pozostawiwszy?

Wzniósł głowę ku niebu, gdzie na błękitie rysował się mleczny, blaskiem dziennym przyćmiony sierp późnego Księżyca, pośród chmur pierzastych i rozwianych.

Ocknął się z zamyślenia, uderzywszy o zbity tłum ludzi stojący pod jakąś ogromną płachtą papieru na murze przyklejoną.

Czytano w głos wydrukowane na niej obwieszczenie; słychać było okrzyki zdumienia, a częściej jeszcze słowa uznania i pochwały dla rządu, który wydał rozporządzenie...

Mataret zbliżył się zaciekawiony i wydrapawszy się szczęśliwym przypadkiem na cokół latarni ulicznej, czytać począł sam...

W oczach mu pociemniało.

Właściwie nie powinno by go to nic obchodzić, a jednak czuł, że go wstyd ogarnia, jego, barbarzyńskiego przybysza z Księżyca, za to, co się na Ziemi teraz dzieć poczyna.

Ogłoszenie Rządu Stanów Zjednoczonych Europy, do ogólnej podane wiadomości, brzmiało, jak następuje:

„Obywatele!

Rząd opiekuńczy, dbały o dobro rzeczy społecznej, staraniem jego powierzonej, wobec niesłychanych i nader ubolewania godnych wypadków ostatnich dni, widzi się zniewolonym raz na zawsze koniec położyć złu, które społeczeństwo na piersi własnej, własną ofiarną krwią, niestety, wyhodowało.

Uczeni, odkrywcy i wynalazcy byli niegdyś bezsprzecznie błogosławieństwem ludzkości. Im to poniekąd zawdzięczamy dobrobyt, z opanowania sił przyrody płynący, bo chociaż myśmy własnymi, pracowitymi rękami zbudowali fabryki i porządek gospodarczy ugruntowali, to trzeba przyznać, że oni niejednokrotnie wynalazkami swymi dali nam impuls do tej pracy owocnej. I chociaż oświata ogólna jest także zasługą społeczeństwa, które ku wiedzy i ducha podniesieniu się kwapiąc, szkół miliony pobudowało i ujęło nauczanie w swe ręce, to jednak nie da się zaprzeczyć, że mędracy niemałą tu rolę odegrali, pomagając swymi badaniami do otwarcia nowych dziedzin myśli.

Była to słuszna wypłata społeczeństwu, że im pozwoliło rozwinąć się i stworzyło im pracą swoją konieczne dla spokojnych dociekań warunki.

W końcu jednak wynaleziono już wszystko, czego nam potrzeba, i dowiedziano się daleko więcej, niż możemy potrzebować. Uczeni ci, którzy się dumnie „wszystkowiedzącymi” nazwali, stali się dla nas zbyt kosztownym i społeczeństwo jedynie przez pamięć zasług dawnych ich poprzedników cześć im oddawało.

Atoli stała się rzecz straszna. Ci z łaski społeczeństwa żyjący mędracy sprzysięgli się przeciw niemu i wespół z najciemniejszym motłochem usiłowali dla własnej korzyści zatrzeć utwierdzonym od wieków porządkiem na Ziemi.

Obywatele! Mędrców już nie potrzebujemy! Wystarczy nam to, cośmy dotąd zdobyli. Rząd, dobro społeczności ludzkiej mając na oku, położyć tu musi kres rozpanoszonej pysze i wicherzycielstwu.

I przeto:

1. Rozwiązuje się od dzisiaj stowarzyszenie uczonych, pod nazwą *Braci wiedzących* istniejące.

2. Znosi się wszelkie pensje, dotąd uczonym wypłacane, pozostawiając im wolność zarobkowania ręcznego, jeśli chcą żyć.

3. Także znosi się wszelkie zakłady, tak zwanej czystej nauce i badaniam bezpłodnym poświęcone, pozostawiając jedynie instytuty społecznego pożytku i ekonomicznej wartości.

4. Zakazuje się na przyszłość najsurowiej i pod ciężkimi karami utrzymywania prywatnych laboratoriów oraz wydawania dzieł, które by przez osobną cenzuralną komisję w rękopisie za pożyteczne wprost nie były uznane.

5. Utrzymując w mocy i w pełnym uposażeniu istniejące szkoły zawodowe, zamyka się raz na zawsze wszelkie szkoły wyższe, tak zwane filozoficzne, czyli ogólne, a przede wszystkim dotąd kosztem rządu utrzymywaną *Szkołę mędrców*.

6. Aby uniemożliwić obejście powyższego rozporządzenia, zakazuje się stanowczo wszelkiego prywatnego nauczania, bez względu na to, pod jakim by ono pozorem było prowadzone.

Obywatele! Rząd tuszy<sup>133</sup>, że z wdzięcznością przyjmiecie do wiadomości to rozporządzenie”.

<sup>133</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję; por. *otucha*. [przypis edytorski]

Mataret zsunął się z latarni i, wsparty o mur, patrzył przed siebie osłupiałymi oczyma, tak mu się nieprawdopodobnym i potwornym wydało to, co przeczytał. Niedługo stosunkowo pobyt na Ziemi i ciągła styczność z Jackiem nauczyły go cenić nade wszystko dorobek myśli ludzkiej i rozkwit jej swobodny, toteż teraz miał wrażenie, że przed oczyma jego dokonywa się jakieś straszliwe samobójstwo.

Wzniósł głowę i spojrzął bystro w tłum. Szukał ludzi, którzy by drgali tym samym, co on, oburzeniem, nadśluchiwał, czy się słowo buntu nie odezwie.

Ale przechodnie, stanąwszy na chwilę przed tym ogłoszeniem, tak doniosłym dla losów ludzkości, robili zaledwie kilka uwag mniej lub więcej obojętnych, przeważnie wyrażali uznanie rządowi lub co najwyżej dziwili się jego stanowczości i szli dalej niezatroskani, rozmawiając o rzeczach codziennych, tu i ówdzie zaledwie słowem o wypadki ostatnich dni potrąciwszy.

Ktoś wspomniał o maszynie Jacka piekielnej na dowód niesłychanej złośliwości uczonych, za którą słusznie karę teraz ponoszą. Inny wymienił nazwisko Rody jako zbawcy, wyrażając się przy tym z uznaniem o rządzie, który mu w nagrodę wielkiego czynu wysokie nadał odznaczenie. W treść tej rozmowy wplątało się z boku opowiadanie jakiegoś starszego jegomości prawiącego dwom młodszym towarzyszom, że pono w najbliższych dniach wystąpić ma znowu w teatrze przesławna Aza, która od dłuższego czasu już się na scenie nie pokazywała.

Wiadomość, rzucona przypadkiem i z ust do ust podawana, zelektryzowała wkrótce cały tłum, tak że zapomniano o rozporządzeniu mędrców dotyczącym. Dopytywano się, czy to prawda. Skąd przyszła wieść? W jakiej roli naprzód da się widzieć boska aktorka?

Mataret nie słuchał więcej. Wolnym krokiem powłókł dalej, ze schyloną na piersi głową, z szydyczko i wzdarczliwie wykrzywionymi ustami:

— Ziemia — szeptał — stara Ziemia...

Za nim, przed plakatem głoszącym śmierć wiedzy, brzmiała jeszcze ciągle rozmowa o sławnej śpiewaczce i tancerce niezrównanej — Azie.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trylogia-ksieczycowa-stara-ziemia>

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Żułowski, *Stara Ziemia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dagmara Deska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-1064-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).